

CZAS NIE LECZY RAN, CZAS NALICZA ODSETKI

HOTEL
Bankrut



**MAGDALENA
ŻELAZOWSKA**

Magdalena Żelazowska

Hotel Bankrut

Napisz tak:

Tu żyć się nie da, tu nie da się mieszkać, Mało, że syfi i bieda, to do tego depresja. Władza nie głaszcze, raczej myśli, jak cię zarznąć, a na przykład chodnik – krzywy. Proszę bardzo.

(...)

Tyle dziur jest zapadłych w Polsce i że akurat tobie przyszło żyć w najgorszej z nich, że w takiej nędznej miejscówce los cię zamknął.

Wyślij sobie pocztówkę stamtąd.

Wyślij sobie pocztówkę

Łona i Webber, słowa: Łona

Rozdział pierwszy

Leon

Człowiek myśli, że kogo jak kogo, ale jego na pewno to nie spotka.

Do pewnego momentu każdy sądzi, że ma przed sobą jakąś przyszłość, a porażka dotyczy tylko niektórych. Patologii, pechowców albo wyjątkowych nieudaczników. Wiadomo, każdemu może powinąć się noga, ale żeby tak zupełnie się stoczyć? Dno ma się zapisane w genach. Wystarczy rzut oka i od razu wiadomo - z tego delikwenta nic nie będzie. Od urodzenia coś go ciągnie w dół.

Najpierw zły przykład rodziców. W szkole wagary i papieroski. Potem gangsterka albo nieletnia ciąża. I już równia pochyła, już spirala nieszczęść. Długi, kryminał i komornik, a wszystko obficie podlane wódką. Na nic kuratorzy i straszenie sądem. Dla przegranych nie ma ratunku.

Leon Laskowski pokręcił głową, wypłacając zawstydzonej kobiecie gotówkę za przyjęty łańcuszek. Pięćdziesiąt przeżytych wiosen to wystarczająco długo, by przestać wierzyć w mrzonki. Lata prowadzenia lombardu nauczyły go, że nie urodził się jeszcze człowiek, który nie mógłby skończyć na bruku. Na przykład ta klientka. Zupełnie nie przypominała bankrutki - czysta, schludna, normalna. A jednak.

Kiedy kilka lat wcześniej rejestrował spółkę, od inicjałów nazwaną skrótem L&L, w okolicy rozwijanym jako lombard i lichwa, nie przypuszczał, ile nauczy się o życiu. Klientela punktu przy ulicy Organizacji Wolność i Niezawisłość, w skrócie WiN, co bardziej odpowiadało upodobaniom i sumieniom mieszkańców Starych Bałut, stanowiła galerię typów i losów ludzkich, tworzących leksykon błędów i życiowych porażek. W swojej dzielnicy Leon znał każdą rysę, każde pęknięcie i każdy wykwit pleśni na murze. Z taką samą dokładnością mógł wymienić skazy w duszach i umysłach tutejszych ludzi. Widział zbyt wiele, by coś mogło go jeszcze zaskoczyć. Przyjmował w swych progach kobiety i mężczyźni, trzeźwych i pijanych, starych i młodych. Na wykolejenie zawsze była dobra pora.

Od razu wiedział, kto przychodził kupić, a kto sprzedać. Tych drugich rozpoznawał z daleka, kiedy niepewnie krążyli przed wejściem, łudząc się, że nikt ich nie zauważy. Rzadko wkraczali z otwartą przyłbicą, częściej wślizgiwali się ukryci za kołnierzem płaszcza, nerwowo rozglądając się na boki. Wkładali kaptury, naciągali czapki, wiązali szale sięgające nosa. Za to, co przynosili, dostawali ochłapy, ale dla nich liczyła się każda złotówka.

Jedni milcząc, spuszczaali wzrok, w napięciu czekając na wycenę. Inni przesadnie dużo opowiadali o sobie, jakby szukali usprawiedliwienia. Zarzekali się, że mają tylko przejściowe trudności i lada moment przyjdą wykupić to, co oddawali w zastaw. Kłamali. Lombard był jak sierociniec - nikt nie zostawiał tu niczego, po co zamierzał wrócić.

Dlatego Leon zamarł na widok przedmiotu, który przyniósł ostatni klient. Ciężarówka-zabawka. Zostawił ją milczący okularnik, zaraz po nim weszła kobieta

od łańcuszka. Kiedy Leon usłyszał dźwięk damskich obcasów, patrzył już tylko na nią. Wyprostował się i kątem oka zlustrował swoje odbicie w jednej ze szklanych witryn. Wypiął tors, w duchu gratulując sobie błękitnej koszulki polo, świeżo wyprasowanych dżinsów i ponadczasowej klasy białych adidasów. Jego zdaniem ten zestaw ujmował mu lat. Nie spuszczać z oka kobiety, przystąpił do pobieżnej wyceny miniaturowego samochodu.

Starannie wykonany model z czarnej, błyszczącej blachy musiał powstać przed zalewem chińszczyzny. Cacuszko w stylu retro. Leon zawsze miał do takich słabość. Okularnik mruknął coś o synu, który dorósł, i wyszedł, nie czekając na wypłatę. Leon zawołał za nim, ale nie mógł przecież zostawić czekającej klientki samej sobie. Wzruszył ramionami i wrócił do pracy.

Zabawką zajął się dopiero, kiedy został sam. Odkładał ją właśnie na półkę, gdy niespodziewanie otworzyła się ukryta wewnątrz skrytka. Spod malutkiej klapy wysunął się plik listów. Leon miał złe przeczucia. Otworzył jedną z kopert. Przebiegł wzrokiem kilka linijek i ścisnął kartkę w dłoni. Natychmiast podbiegł do drzwi i szarpnął je, wprawiając zawieszony nad nimi dzwonek w hałaśliwą huśtawkę. Wybiegł na zewnątrz, rozglądając się dookoła. Po mężczyźnie dawno nie było śladu.

Weronika

Na Facebooku dwieście osób polubiło jej status. Ten status to: bezrobotna. Weronika nie ubrała go akurat w to słowo, ale wynik sprowadzał się do tego samego. Wersja oficjalna brzmi: koniec z tym. Na opublikowanym zdjęciu pokazała znaczący gest przed siedzibą firmy, w której przez ostatnie osiem lat upływało jej życie. Zgrabny równoważnik zdania przekazuje pewną część znaczenia, pomijając niewygodny podmiot (Spółka z ograniczoną odpowiedzialnością) oraz krępujące orzeczenie (przechodzi reorganizację). Gdyby wdać się w niepotrzebne szczegóły, mogłoby się okazać, że to nie Weronika skończyła z firmą, tylko firma z nią. Strona bierna: Weronika jest skończona.

Wzięli ją z zaskoczenia. Po pierwsze, był poniedziałek, w dodatku rano. Kto wręcza wypowiedzenie na początku tygodnia? Przecież od tego są piątki, zwłaszcza te na koniec miesiąca. Jeśli wtedy szef niespodziewanie zaprasza na rozmowę do gabinetu, od razu wiadomo, o co chodzi. Po niedzieli jest już posprzątane. Puste biurko, zablokowana poczta, nieaktywna karta do drzwi.

- Nie chciałem psuć ci weekendu - wyjaśnił Rafał, szef Weroniki, wskazując jej krzesło obok kadrowej, w roli świadka czekającej za szklanym stołem. - A tak od razu rzucisz się w wir roboty i nie będziesz rozmyślać. Szybciej rozchodzisz stres, nie będziesz mieć czasu się nad sobą użalać.

- Szlachetnie.

Zajęła miejsce. Kadrowa wlepiała wzrok w blat. Leżał na nim srebrny długopis i przezroczysta teczka z dokumentami.

- Ile zostało mi czasu?

Widziała już kilka zwolnień lub, jak mówiono w korporacyjnym dialekcie, rozstań z firmą. Zazwyczaj były niespodziewane, natychmiastowe i nieodwołalne.

- Trzy miesiące. Będziesz pracować do końca okresu wypowiedzenia. Trzeba domknąć projekt. Sama wiesz, że się nie wyrabiamy. Potrzebujemy cię.

- I dlatego likwidujecie moje stanowisko?

- Oszczędności. - Rafał poluzował kołnierzyk blad różowej koszuli z Royal Collection. - Przykro mi. Za wypowiedzeniem czy za porozumieniem stron?

Wyszczrzył zęby w nieudanym uśmiechu, a kadrowa bez słowa wyciągnęła w jej stronę dwa arkusze pokryte drobnym drukiem, który, jak to zwykle bywa, wiele zmieniał. Weronika wzruszyła ramionami i wybrała wersję za wypowiedzeniem.

Rafał sprawiał wrażenie urażonego.

- Mam kredyt hipoteczny. Porozumienie stron pozbawia mnie ubezpieczenia od utraty pracy - usprawiedliwiła się. - Poza tym strony zupełnie się nie rozumiały - dodała już w myślach.

Gabinet szefa zgodnie z transparentną polityką firmy miał przeszklone drzwi. Wszyscy już wiedzieli. A jednak reakcja współpracowników była dla niej kolejnym zaskoczeniem. Kiedy wyszła z pomieszczenia, w którym TO się stało, najpierw zamknęła się w łazience. Odkręciła wodę i poczekała, aż zacznie lecieć lodowata, przenikająca cienką skórę dłoni aż do kości. Zwilżyła twarz i szyję, uważając, by nie zmoczyć starannie wyprostowanych, ciemnych włosów, bo te w kontakcie z wilgocią nieznośnie się puszyły. Próbowwała zapanować nad oblewającym ją rumieńcem i piekącymi powiekami. Ostatni raz czuła się tak w szkole, kiedy przed całą klasą wydało się, że nie odrobiła pracy domowej. Wstyd. Upokorzenie. Złość, przede wszystkim na siebie. Wtedy po raz pierwszy i jedyny dostała żółtą kartkę. Dziś, trzydzieści lat później, kazali jej zejść z boiska.

Otrzepała dłonie i przyglądała ołówkową spódnicę, niesfornie marszczącą się na brzuchu. Mokra palce zostawiały ciemne smugi na beżowym materiale. Weronika zaklęła, ale przynajmniej miała powód, by dłużej zostać w łazience. Kiedy w końcu zajęła miejsce przy biurku, modliła się, by nikomu nie przyszło do głowy ją pocieszać. Mogłaby się niebezpiecznie rozkleić i stracić resztki godności. Wyobraziała sobie siebie z rozmazaną, skapującą na białą bluzkę maskarą, z zapuchniętymi oczami i czerwonym nosem. Poczwała wściekłość. Spodziewała się zenującego pakietu pożegnalnego, składającego się z poklepywania po plecach, krytycznych szeptów pod adresem szefostwa i zapewnień, że wszystko będzie dobrze. W najlepszym razie parzących w plecy litościwych spojrzeń. Niepotrzebnie się obawiała. Nie wzięła pod uwagę, że nie wydarzy się nic i właśnie to będzie najgorsze do zniesienia.

Trędownata. Tak się czuła, kiedy wzrok byłych współpracowników wędrował obok lub nad jej głową. Nikt o nic nie pytał, a już na pewno nie o samopoczucie. Gdyby chociaż na jej widok w pokoju zapadało niezręczne milczenie. Ale nie, nic takiego nie miało miejsca. Życie firmy toczyło się zwykłym, hałaśliwym trybem, przerywanym dzwonekami telefonu i wybuchami śmiechu. Po prostu Weronika nie była już jego częścią. Nie zapraszano jej na zebrania ani restart przy kuchennym ekspresie do kawy. Wykreślono z listy uczestników zbliżającego się wyjazdu integracyjnego, a adres usunięto z intranetu. Dostawała maile tylko od koleżanki,

którą niedawno przyjmowała na staż, a która teraz miała przejąć jej obowiązki. Monika z kopią do szefa prosiła o pisemne przekazanie wszystkich instrukcji, kontaktów do klientów i raportu ze stanu realizacji bieżących projektów. Weronice wydało się to śmieszne, skoro siedziały przy sąsiednich biurkach. Tymczasem reszcie działu udzieliła się zrelaksowana atmosfera. Strzał już padł. Pozostali mogli się czuć bezpiecznie przynajmniej przez jakiś czas.

Ostatni dzień sierpnia i okresu wypowiedzenia był jasny i ciepły, ale kiedy Weronika zamknęła za sobą drzwi biura, na jej głowę lunął deszcz, choć jednocześnie świeciło słońce. Znow dała się zaskoczyć. Smugi złotych, wczesnojesiennych promieni padały na wszystko wokół. Tylko nie na nią.

Kinga

- Nic mnie tu nie czeka - szepnęła, przytulając ojca na pożegnanie.

Miała spierzchnięte usta, a wydechane przez nią powietrze w niespodziewanym chłdzie poranka zamieniało się w nitki białej pary. Jej słowa skraplały się w setki niewidocznych igiełek i przysiadały na wełnianym szaliku, boleśnie kłując usta i nos. Przystanek PKS, siódma rano. Koniec wakacji, pierwszy września. Dobry moment na rozpoczęcie nowego życia, jakich pełno w kalendarzu.

Stali pod przekrzywionym słupem z zardzewiałym rozkładem jazdy. Czekali w ogonku pasażerów i odprowadzających, z lekkim drżeniem, czy wystarczy miejsc. Kierowca rozklekotanego pojazdu z wysiedzianymi fotelami i zamglonymi szybami sprzedawał bilety do przyszłości, której tutaj, w miasteczku, nie było. Nie wyjeżdżała daleko, ale oboje wiedzieli, że na dobre. Z wyprowadzki za pracę nikt nie wraca. Mogło być gorzej: Anglia, Belgia lub Holandia, jak połowa jej klasy. Łódź jest przecież tylko kilkadziesiąt kilometrów stąd. I co z tego? W praktyce nie było większej różnicy. Odtąd jej życie miało się toczyć gdzie indziej.

- Ale będziesz przyjeżdżać? - zapytał ojciec, naciągając jej na uszy czapkę z pomponem.

Nie znosiła tego. Cienkie, jasne włosy w kontakcie z wełną najpierw przyklejały się do czoła, a potem naelektryzowane stawały na wszystkie strony. Dziś jednak nie protestowała. Zgodziła się włożyć wydziergany przez babcię pstrokaty ogrzewacz, chowając w kieszeni czarnej kurtki cieniutki, wyszywany cekinami beret. Przepęłniała ją czułość i łagodność winowajcy. Ustępstwo w kwestii czapki i tak nie mogło wynagrodzić tego, co chciała zrobić. Zamierzała opuścić swojego ojca. Na zawsze.

Mama nie żyła, a Kinga była jego jedyną córką. Spędzili razem całe życie. Jej życie. Kolki, siniaki, zdarte kolana. Kolejki w dziecięcej przychodni, szkolne minidramaty i zmienne nastoletnie nastroje. Ogniska na działce, ryby nad jeziorem, niedzielne wycieczki do babci. Cotygodniowe porządki, godziny wysiedziane obok siebie w kościelnej ławce, spacer z psem. I pogrzeb psa też.

Pies! Powinna kupić mu nowego psa. Wypełniłby trochę miejsca po niej. Bo kiedy tata wróci dziś do domu, zastanie ciszę. Ta cisza, przerywana krótkotrwałym

gwarem weekendowych odwiedzin, będzie trwać już zawsze. Dom, wreszcie wykończony, budowany przez lata z myślą o kilkupokoleniowej rodzinie, będzie z niego kpił. I po co to wszystko? Mogli zostać w małym mieszkaniu w kamienicze. Nie żyć ponad stan, nie pchać dorobku życia w niepotrzebny metraż. Może wtedy nie musiałyby wyjeżdżać.

Ale w miasteczku nie ma pracy i nie ma z czego żyć. Dopóki ojciec pracował, ich dwuosobowy budżet jakoś się spinał. Od zawsze jednak wiedziała, że moment przejścia ojca na emeryturę dla niej będzie oznaczał nieodwołalny początek samodzielnego życia.

Jechała do pracy w mieście. Spróbuje w niej wytrwać do wymaganego końca, czyli do sześćdziesiątego siódmego roku życia. Dopiero wtedy będzie wolna i pomyśli o powrocie. To za czterdzieści lat. Jej ojciec nie będzie wtedy żył. Niedługo zacznie się starzeć, słabnąć i odchodzić, a ona będzie wtedy sprzedawać swój czas, by utrzymać się przy życiu gdzie indziej. Nie otoczy go opieką, a on nie zajmie się jej dziećmi. Odtąd ich losy, wcześniej splecione w rodzinny warkocz, miały biec równolegle.

Czuła się jak zdrajczyni. Nie tylko dlatego, że po tylu latach po prostu odchodziła, nie dając nic w zamian. Była hipokrytką. Kiedy tuż po szkole jej chłopak prosił, by wyjechała z nim do Londynu, odmówiła, nazywając go tchórzem, i nie wybaczyła, gdy ją zostawił. Dziś sama zamierzała to zrobić.

- Trzymaj się - chrząknął tata, kłując ją zarostem w policzek, a potem wycofał się ze stopni autobusu.

Kierowca zapuścił silnik, a Kinga zapadła się w śmierdzące siedzenie. Dziwnie jest ten świat urządzony. Trzeba szukać szczęścia gdzie indziej, choć wiadomo, że ono jest tutaj.

Łucja

Niedawno skończyła siedemdziesiąt sześć lat, a jutro czekał ją pierwszy dzień w pracy. Stresowała się jak przed maturą. Choć zdawała ją ponad pół wieku temu, do dziś pamiętała te nerwy i ulgę po wszystkim. Kształcić się już w życiu nakształciła, ale skoro miała czas i siły, grzech było nie dorobić. Każdy grosz się liczył. Nikt nie wiedział tego lepiej niż ona. Przeczytała w gazecie, że należy do pokolenia tysięcy sześćset, bo tyle wynosiła jej emerytura. Pewien radiowy dziennikarz, wstrząśnięty tą kwotą, przeprowadził eksperyment: próbował przeżyć za nią przez miesiąc. Poległ, ale zyskał rozgłos. Łucja żyła tak od lat i jakoś nie przysporzyło jej to sławy. A dziennikarzowi wyjaśniłaby, że emeryturą rozporządza w sposób następujący:

- czynsz, woda, ogrzewanie i wywóz śmieci: 390 zł
- rachunki: gaz, prąd, telewizja 160 zł
- telefon na kartę: 50 zł
- jedzenie: 400 zł (czasem lubiła ugotować coś dla rodziny)
- karma dla osiedlowych kotów: 100 zł
- leki i wizyty lekarskie: 250 zł

- ofiary w kościele: 40 zł

- prasa: 15 zł

Jak widać, nieraz odłożyła parę złotych na następny miesiąc. Częściej jednak pojawiały się dodatkowe wydatki i wtedy w budżecie jak w nadwyrężonej pończosze robiła się dziura.

Czasami Łucja czuła się troszkę zawiedziona. Przed laty, kiedy bywało ciężko, obiecywała sobie w duchu: „kiedyś sobie to wszystko odbiję”. Przetrwiała niejedną kryzys, myśląc o tym, że w przyszłości odpocznie i nagrodzi się za trud życia, kosztując tego, czego wcześniej sobie odmawiała. Na przykład podróży. Bardzo chciała zobaczyć choć niewielki kawałek świata.

Ale tak to już jest: marzenia odkłada się na sam koniec, czyli na starość. Był tylko mały szkopuł. Wcześniej jakoś nie pomyślała o tym, że wtedy nie będzie mieć pieniędzy. Mimo to nie użalała się nad sobą. Przecież dawała sobie radę i dla nikogo nie była ciężarem. Czasami miała tylko zwyczajnie ochotę coś sobie kupić, jak każda kobieta. Dlatego szukała okazji. Wiele rzeczy można zdobyć za bezcen. Łucja umiała dbać o przedmioty, reperowała je i dawała im drugie życie. Nigdy nie tolerowała marnotrawstwa, w przeciwieństwie do sąsiadek, które brały lichwiarskie pożyczki pod telezakupy albo wełniane kołdry. Płaciły trzy tysiące, a oddawały sześć. Gdy przestawały spłacać, to zaraz do nich przyjeżdżali. Nachodzili dzień w dzień i wstyd robili na całą kamienicę. Ale cóż, jak się człowiek nie umie powściągnąć, to ma za swoje.

Czasami Łucja sprzedawała kwiaty. To, co zarobiła, starczało na słodycze i jakiś przysmak dla kici. Mało. Zgłosiła się więc do innej pracy. Biurowej. Zadzwoiła pod numer z ogłoszenia i się dostała. Przez pewien czas biła się z myślą, że to niemoralne iść do pracy na emeryturze, kiedy tylu młodych jest na bezrobociu. Ale przecież ją przyjęli, choć mogli wybrać kogoś innego.

Machnęła ręką na skrupuły jak na natrętą muchę i stanęła przed szafą. Otworzyła ciężkie, politurowane drzwi. Na szczęście kilka lat temu za radą sąsiadek przerzuciła się z naftaliny na lawendę. Teraz jej ubrania, nienowe, ale dobrze utrzymane, przyjemnie pachniały. Zanurzyła dłonie między wieszakami i raz po raz wysuwała spódnice i bluzki. Mimo upływu lat udało jej się zachować nienaganną figurę. Szczególną sympatią darzyła swoje nogi, wciąż zgrabne, którym pozwalała figlarnie wyglądać przez niewielkie rozcięcia w materiale. Srebrne włosy kręciła na wałki, dzięki temu zdawało się, że ma ich całą burzę. Nie było źle. Musiała tylko kupić pastę do butów albo odświeżyć wodą tę zaschniętą w blaszanym pudełeczku. Nie można wykonywać służbowych obowiązków w niewyczyszczonych pantoflach. Zastanawiała się tylko, jak przejść przez miasto czystą stopą. Od wielu miesięcy trwały remonty centralnych ulic. Na drodze ku lepszej przyszłości Łódź stanęła w miejscu. Korki, rozkopy, zawieruszone przystanki, błotniste ścieżki zamiast chodników, a pośrodku karawany objuczonych pieszych, skaczących przez dziury i nasypy. Dżungla. No cóż, jakoś będzie musiała sobie poradzić.

Z przyjemnością tak się szykowała i obmyślała stroje na pierwsze dni w nowej pracy. Cichutko pogwizdywała. Zaczynała w poniedziałek.

Rozdział drugi

Leon

Odłożył śrubokręt i stuknął w obudowę starego radia. Przy odrobinie wysiłku mógł je spieniężyć jako cacko w stylu retro. Senny głos z trzeszczącego odbiornika donosił, że rocznie z Łodzi ubywał jeden procent populacji. Łatwo policzyć, jak to się skończy. Telewizja i gazety codziennie trąbiły o kryzysie. Czarne chmury recesji od lat zasnuwały światowe niebo. Bezrobocie, spekulacje, pik franka, mielizna na giełdzie. Powódź hiobowych wieści od lat zalewała globalną wioskę, a Łódź była jak lejek, do którego spływa całe zło. Centralny punkt kontynentu zmienił się w epicentrum regresu. Dni Łodzi były policzone. Mimo to trwała, gdy drzenie dzwonka tańczącego nad drzwiami wywołało Leona z zaplecza. Lubił ten dźwięk. Wnosił coś pozytywnego do ponurych wizyt, składanych w jego przybytku. Brzmiał jak śmiech dziecka cieszącego się z każdych odwiedzin. Osobiście uważał, że solidny, wykuty w lśniącym metalu dzwonek przydawał każdemu punktowi handlowo-usługowemu pewnego staroświeckiego prestiżu. Był też przyjaźniejszy dla ucha niż elektroniczne brzęczki, emitujące kakofoniczne melodyjki. Jednak od czasu incydentu z listami dźwięk otwieranych drzwi zaczął budzić w nim niepokój, którego nie potrafił się pozbyć.

W progu lombardu stał mężczyzna w taniej, zdeformowanej od wielokrotnego noszenia kurtce, z przewieszoną przez ramię ortalionową torbą. Wytarł znoszone buty o plecioną wycieraczkę i pewnym krokiem podszedł do lady.

- Pokaż, co chcesz zastawić, a powiem ci, kim jesteś - mruknął Leon ledwie słyszalnie.

Stał się ekspertem w dziedzinie analiz życiorysów na podstawie znoszonych do niego przedmiotów. Przychodzili tu ludzie najróżniejszej maści: emeryci i renciści, ale i studenci, przewlekle bezrobotni, ale też byli dyrektorzy, biznesmeni i kierowniczkę, zamieszkałe w melinach konkubiny i ekszony bogaczy, niedoszli przedsiębiorcy z mnóstwem nierealnych pomysłów oraz wiecznym brakiem kapitału, księża i prostytutki. Czasem nawet trafił się ktoś znany, zapomniany polityk albo przebrzmiała gwiazda. Lombard przyciągał każdego, kto znalazł się w potrzebie.

Leon starał się podchodzić do wszystkich uczciwie i bez uprzedzeń. Trafiali do niego złodzieje i pijackowie cichaczem wynoszący domowe sprzęty, ale tych odsyłał z kwitkiem. Miał swój honor. Na każdy towar musiał dostać porządny papier: dowód zakupu lub imienne poświadczenie. Nie brał kradzionego ani rzeczy zabranych rodzinie. Obsługiwał tylko tych, którzy przychodzili na własny rachunek. I na własne życzenie.

- Co pan mówił? - zapytał facet po drugiej stronie lady. Chudy, zgarbiony, w niedzisiejszej brodzie, z twarzy podobny do nikogo.

- Pytałem, z czym pan przychodzi.

Udając zajętego, Leon wertował zeszyt w kratkę, nie zatrzymując wzroku na

rozmówcy. Klienci nie lubili, gdy spojrzeniem wprawiało się ich w zakłopotanie. Ostatnio jednak popełnił w ten sposób błąd. To dlatego nie mógł sobie przypomnieć twarzy mężczyzny od listów w ciężarówce.

- Kieł.

- Słucham? - Teraz Leon żądał wyjaśnień, podnosząc głowę.

Facet otworzył torbę. Wyciągnął z niej długi na metr cios słonia z precyzyjnie wyrzeźbionymi, miniaturowymi figurkami afrykańskich wojowników.

- Kość słoniowa. Koronkowa robota - powiedział z uznaniem.

- Panie, przecież to nielegalne.

- Trzydzieści lat temu przepisy były inne. Właściwie nabiera już wartości zabytkowej. Przyzna pan, że piękny. Cokół jest mahoniowy.

- Nic z tego, nie chcę kłopotów.

- To sztuka. - Brodacz nie dawał za wygraną.

- Więc idź pan do muzeum.

- Żarty. W Internecie też nie wystawię, bo zaraz mnie namierzą.

- A ja miałbym ryzykować?

- Możesz go pan ustawić z boku jako prywatną własność. A gdy komuś wpadnie w oko, to się po cichu dogadacie. - Klient mrugnął, gładząc falliczną rzeźbę.

- Codziennie ktoś mi to proponuje. Zamiast lombardu, musiałbym prowadzić skład podejrzanych pamiątek.

- Tym razem gra jest warta świeczki. Można sporo zarobić.

- Nie jestem zainteresowany - Leon trwał przy swoim. - Coś jeszcze?

- A idź pan w cholerę! Nie umiesz się pan poznać na wartości, to pójdę gdzie indziej. Ja się prosił nie będę.

W rzeczywistości nie robił nic innego. Nie dalej jak jutro wróci z podkulonym ogonem, zniżając cenę i dorzucając gratisy. Leon znał ten typ. Desperado. Biedny i wściekły. Nie miał wyboru i wszyscy o tym wiedzieli. A on wiedział, że inni wiedzą, i dlatego się wściekał.

Desperado to na ogół mężczyzna w wieku nieokreślonym, ani młody, ani stary. Ma za sobą tak zwaną przeszłość, czyli rozwód, plajtę albo zwolnienie z pracy, z którego nigdy się nie podniósł. Ewentualnie ciężki wypadek, co to przedwcześnie uczynił go rencistą. Kiedyś żyło mu się nieźle, w każdym razie nie odstawał od normy. Jednak nadmierna wrażliwość i nieprzystosowanie do zasad wściekłego kapitalizmu eksmitowały go poza nawias i uczyniły niepotrzebnym. Na skutek życiowej nieudolności zostawał sam, bez kobiety. Zdezorientowany prowadził swoje żalosalne męskie gospodarstwo. Nieporadnie gotował i sprzątał, czując się przy tym jak stara pierdoła. Z oszczędności i lenistwa donaszał ciuchy, które lata świetności, tak jak on sam, miały już za sobą. Świadomy swojej beznadziei, rzecz po rzeczy wyprzedawał to, co mu jeszcze zostało. Kończył się.

Skąd u Leona taka przenikliwość? Z życia. Leon umiał wyczuć, kto znalazł się na dnie, bo sam już tam trafił. To dlatego dziś było mu wszystko jedno. Czasem ktoś mu groził, ale na próżno. Leon beznamiętnie stawiał czoła półświatkowi, lekceważąc obietnice kulki w łeb w zamian za brak chęci współpracy. Wyrzucał anonimy i żądania haraczu, śmiał się z głuchych telefonów, cierpliwie wstawiał wybite zęby i szyby. Pod tym względem przypominał swoich klientów. Człowiek,

który nie ma nic do stracenia, przestaje odczuwać lęk. A on zapomniał, jak to jest się bać. Tylko jedna osoba mogła mu o tym przypomnieć. Autor listów wypełniających wnętrze podrzuconej do lombardu zabawki. To, że postanowił je doręczyć właśnie teraz, nie mogło wróżyć nic dobrego.

Na początku Leon pomyślał: „To pomyłka, to mnie nie dotyczy”, ale to nie mógł być przypadek. Jedyne logiczne wytłumaczenie zdawało się tak oczywiste, że aż niewyobrażalne. Przed pewnymi sprawami nie ma ucieczki. Można się miotać lub trwać w bezruchu, a i tak cię dopadną. Nawet pieniądze nie są w stanie kupić spokoju. Nie bał się jutra, ale nie potrafił się obronić przed przeszłością. Mógł tylko czekać.

Weronika

Ostatnie szkolenie, jakie zaliczyła przed otrzymaniem wypowiedzenia, dotyczyło zarządzania ryzykiem. Kurs ukończyła z tradycyjnym wyróżnieniem, mimo to prywatnie poległa już na pierwszym etapie: fazie rozpoznania. Nie połączyła kropek w postaci utraty przez firmę jednej trzeciej klientów, kilkuletniego zatrzymania rynkowych stawek i odgórnie zarządzanego cięcia kosztów. W związku z tym poddanie przegapionego ryzyka analizie jakościowej (głębokie gównu) i ilościowej (wartość kredytu pomniejszona o mizerne oszczędności) nie miało większego sensu. Dlaczego tego nie przewidziała? Przecież odkąd pamięta, ciągle czegoś się spodziewała.

Kiedy była mała, odliczała dłużące się w nieskończoność dni, dzielące ją od pójścia do szkoły. Po pierwszych kilku miesiącach spędzonych w szkolnej ławce, gdy przysł czar nowości, a powiało nudą, zaczęła tęsknić za wakacjami. W drugiej połowie sennej podstawówki marzyła o liceum, które miało być jak Beverly Hills 90210, ale zawiedziona już przed półmetkiem, nie mogła doczekać się studiów. Później, jako znużona teoretycznymi zajęciami i przereklamowanymi imprezami studentka, chciała szybko pójść do pracy, zdobywać doświadczenie i wreszcie zaznać niezależności. Wynajmując obskurny pokój w akademiku, przenosiła się myślą do czasu, gdy będzie już miała własne mieszkanie.

Weronika zawsze widziała coś na horyzoncie. Ale kiedy to, na co czekała, wreszcie nadchodziło, zazwyczaj spotykał ją zawód. Coś się nie zgadzało z opisem, czegoś wciąż brakowało. Jej wymarzone życie zawsze znajdowało się o krok od miejsca, gdzie aktualnie stała. Cały czas miała wrażenie, że je goni. Na zakrętach migał jego jaskrawy, obiecujący koniuszek. Wystarczyło tylko chwycić. Próbowwała różnych sztuczek. Na przykład: wybierała starszych facetów, bo chciała przeskoczyć frustrujący etap związków z niedojrzałymi rówieśnikami, potrzebującymi czasu, by dorosnąć. Nie zamierzała im go poświęcać. Kiedy oni opornie wyciągaliby życiowe wnioski, jej skóra traciłaby gęstość, a ona sama, znużona ciągłym wybaczeniem i holowaniem, stałaby się zgorzkniała i nieatrakcyjna. Błąd. Albo: studiowała i jednocześnie pracowała. Kto powiedział, że trzeba skończyć jedno, by zacząć drugie? Tym sposobem po obronie dyplomu nie

została seryjną stażystką, tylko awansowała na kierownika zespołu w dużej agencji public relations. Dzięki temu kilka lat później przyznano jej kredyt na mieszkanie o powierzchni, na którą innych stać po trzydziestu latach pracy. A trzydzieści lat Weronika miała w dniu zakupu i nie wyobrażała sobie spędzania najlepszego okresu życia w wynajmowanych klitkach. Czas, jaki pozostał jej do sześćdziesiątych urodzin, zamierzała spędzić, ciesząc się własnym M.

Mimo pewnego niedosytu, dopingującego ją przeciw do działania, wszystko układało się zgodnie z planem. Weronice na ogół odpowiadała ta przewidywalność, dawała jej poczucie bezpieczeństwa. Tylko czasami bywała odrobinę rozczarowująca.

„Co jeszcze może mnie spotkać, o czym z góry nie wiem? – myślała, patrząc w lusterko służbowego samochodu, który w ostatnim czasie często grzązł w korkach. – Skończyłam studia, zarabiam nieźle jak na łódzkie standardy pieniądze, jestem samowystarczalna. Przepracuję kilkadziesiąt lat, odbędę ileś podróży, parę razy zmienię fryzurę, z nudów kupię zwierzę lub wymyślę sobie jakieś hobby. Ewentualnie związę się z kimś na stałe”. Wymieniała standardowe punkty programu wypełniającego czas między młodością a starością. Lepiej już być nie mogło, pogodziła się z tym.

Nie wzięła pod uwagę jednego: jej plan nie obejmował tego, że coś może pójść źle. A tu proszę, niespodzianka. Kto by pomyślał, jednak życie potrafi zaskoczyć. Po początkowym zdumieniu Weronika zrobiła to, co umiała najlepiej: przystąpiła do realizacji procedur. A te nakazywały przejść do następnego punktu: planowanie reakcji.

Kinga

- Co zamierzasz?

Ciotka Marianna, zwana w rodzinie Marianem, odczekała z pytaniem całe pięć minut, pozwalając Kindze zdjąć płaszcz i nawet wnieść walizkę do pokoju. I tak długo, jak na jej możliwości. Należała do osób, które obcych pytają o zarobki, a krewnych o życie płciowe. Może brała w ten sposób odwet za wszystkie niewygodne uwagi, wysłuchane w życiu z racji jej staropanieństwa.

- Wszystko mam umówione.

Kinga usiadła na wąskim tapczanie i odruchowo wygładziła dłonią naruszoną powierzchnię szydełkowej narzuty, jakby ten gest miał zaświadczyć, że nie będzie sprawiać kłopotu. Ciotka oparła się o futrynę i położyła dłoń w miejscu, gdzie powinna znajdować się talia.

- Pracę masz?

- Koleżanka szuka zastępstwa w sklepie odzieżowym. Jest w ciąży i chciała polecić kogoś sprawdzonego.

- Nie chce, żeby ktoś obcy ją wygryzł - zdiagnozowała ciotka. - Dobrze się znacie?

- Chodziłyśmy razem do odzieżówki. Ela ma do mnie zaufanie.

W klasie nie przyjaźniły się szczególnie blisko. Jedna cicha, z nosem w książkach, druga rozkrzyczana, dobra przede wszystkim z wufu. Elka, bardziej obrotna, wyjechała z miasteczka zaraz po skończeniu technikum. Kinga przez kilka lat po szkole łudziła się, że uda jej się zostać w rodzinnych stronach. Nie lubiła zmian, była raczej mało przebojowa, ale sumienna. Pewnie właśnie dlatego Elka zwróciła się do niej. Kiedy Kinga odebrała telefon z pytaniem, czy jest zainteresowana, zdziwiła się, ale przyjęła propozycję. Druga taka szansa mogła się nie powtórzyć.

- Czyli zostajesz na dłużej?

- Pomieszkać u cioci tylko przez pewien czas, dopóki czegoś nie znajdę. Tak się umawialiśmy.

- Ja cię nie wyganiam, ale wszystko kosztuje. Jakoś się dogadamy. Zawsze lepiej być przy rodzinie niż płacić obcemu.

Kinga miała co do tego pewne wątpliwości. Spojrzała na maleńki pokój o łososiowych ścianach. Większość przestrzeni pochłaniała zwalista dwudrzwiowa szafa, w połowie wypełniona ciotczynym dobytkiem. Wolny skrawek podłogi zajmował nie więcej niż metr kwadratowy. Od świtu całym pomieszczeniem trzęsły tramwaje, które rozpędzały się na długim i prostym odcinku torów biegnących przed kamienicą. Popołudniami zaś pokój nieznośnie nagrzewał się od słońca wpadającego przez zachodnie okna. Kinga wiedziała, bo nocowała tam już wcześniej. Przyjechała przywieźć rzeczy i zmierzyć czas dojazdu do nowej pracy. Lubiła czuć się przygotowana.

Pomijając pewne niedogodności, czekało ją miękkie lądowanie. Mimo to, wysiadając na dworcu Łódź Kaliska, czuła się nieswojo. Wiedziała, dokąd pójść, miała mieszkanie i pracę, a jednak towarzyszył jej trudny do wytłumaczenia niepokój. Przystanęła na chwilę, pozwalając się wyprzedzić tłumowi, wylewającemu się z pociągów i autobusów. Pasażerowie szybkim krokiem rozchodzili się na przystanki lub łapali taksówki. Ona nie miała tu jeszcze swoich spraw, do których mogłaby się spieszyć.

Zatrzymała się. Czuła potrzebę, żeby jakoś uczcić tę chwilę. Pierwszy dzień przybysza. Tyle razy śledziła książkowe i filmowe historie bohaterów wyruszających po lepsze jutro. Z węzełkiem na kijku, workiem zarzuconym na ramię lub z rękoma w pustych kieszeniach pełni nadziei stawali w centrum Paryża, Nowego Jorku albo Hollywood, w oszołomieniu rozglądając się wokół. Dziś sama stała u progu nowego rozdziału. Wyciągnęła rączkę walizki i pociągnęła ją za sobą. Poszła pieszo, choć sceneria nie bardzo przypominała tę fabularną.

Łódź. Kiedyś ziemia obiecana, dziś raczej leżąca odłogiem. Kinga słyszała przygnębiające prognozy. Stała się świadkiem detronizacji miasta z drugiego największego do pozycji mocno średniego. Rówieśnicy z jej stron mówili, że nie ma tu już czego szukać i lepiej od razu startować dalej. Podobno Łódź się kończyła. Dla niej miała być początkiem.

Marsz nie był szczególnie przyjemny i trwał o wiele dłużej, niż zakładała. Kółka walizki uciążliwie grzęzły w wyszczerbionych chodnikach. Nieskoszona trawa na skwerkach sięgała kolan, ukrywając zbutwiałe kikuty po ławkach. W bramach szczyrzyły się napuchnięte, nietrzeźwe twarze. Miasto ciągnęło się w nieskończoność, płaskie i rozwlekłe, jakby ktoś przejechał po nim wałkiem.

Spleśniałe kamienice w pijackim widzie pożeniono z gierkowskimi kubikami, przepalone neony ochryple szeptały o dawnym blasku, a fasady budynków oblepiały pstrokate szyldy i niekończące się ciągi rusztowań. Zupełnie jakby zawstydzone utratą dawnej świetności miasto próbowało ukryć swoje zmurszałe oblicze. Ale Kinga pod warstwą kurzu i zniszczenia umiała dostrzec wspomnienie czarującej przeszłości. W śródmieściu stało blisko cztery tysiące kamienic, w większości dziewiętnastowiecznych. Przez uchylone drzwi zapuszczonych klatek migwały kręcone schody, kiedyś omiatane przez wytworne suknie dam. Po kocich łbach, błyskających tu i ówdzie z uszczerbków w asfalcie, dawniej toczyły się konne powozy. Zdawać by się mogło, że zza poczerniałych, powybijanych szybek w oknach opuszczonych fabryk wciąż dobiega stukot tkalni i przędzalni, a znad farbiarni unoszą się mgiełki barwników, przydające kolorów posiwiałym chmurom nad miastem. Dawna stolica mody. Dziewiętnastowieczne centrum europejskiego włókiennictwa, kwitnące fabrykanckimi willami i pałacami zdobnymi w sztukaterie. Miasto wielkich fabryk, wielkich fortun i wielkich nadziei, które usnęło przez jakąś tragiczną pomyłkę. Ale wciąż jeszcze mogło obudzić się do życia.

Kinga zamierzała mieć w tym swój udział. Zdecydowała, że ona i Łódź powinny dać sobie szansę. Tu, u źródła najstarszych odzieżowych tradycji, chciała zostać projektantką mody. Przyjechała z precyzyjnym planem i teczką pełną szkiców. Wierzyła w to miasto.

„A miasto uwierzy we mnie”, postanowiła, przebijając się przez łódzkie ulice.

Łucja

„Najbardziej żał tych młodych. Co oni mają teraz za życie? Niby jest lepiej niż kiedyś. Są komórki, Internet, samoloty fruujące po całym świecie, istne czary! – Łucji do dziś nie może się to wszystko pomieścić w głowie. – Do tego sklepy pełne wspaniałości, w których półki uginają się od smakołyków. Serki, wędlinki, czekolady, a wszystkiego po kilkadziesiąt rodzajów. Nic tylko chodzić z koszykiem i nabierać! A ciuszki! Chińczyki szyją takie cudenka, że aż żal nie kupić. I wcale niedrogo! Sukieneczki, torebeczki, pantofelki, do wyboru, do koloru”.

Ach, gdyby mogła choć raz się tak obkupić, kiedy była młoda! Starczyłoby jej na całe życie, bo to spędziła w barwach przeważnie szarych. No, ale Łucja czasy młodości miała już za sobą. Dziś była starą babcią, której piękne fatałaszkę ani nie były potrzebne, ani jej nawet nie przystawały. Lubiała sobie tylko pooglądać. Zupełnie nie rozumiała młodych dziewczyn, wkładających na siebie jakieś bure worki. I te paskudne, masywne okulary! Wyglądały w nich na ciotki-klotki. Nawet wiekowa Łucja takich nie nosiła, bo byłoby jej nieładnie.

Sama do przepisanych przez okulistę szkieł dobrała cieniusieńkie oprawki na łańcuszku, cudne jak biżuteria. Cieszyła się nimi jak wszystkimi dobrodziejstwami wolnego kraju, który wyszedł na prostą po latach niełatwej historii, i codziennie dziękowała Bogu. Nie mogła się nadziwić nowoczesnym budynkom, czystym pociągom, eleganckim samochodom. Rodacy na ulicach prezentowali się atrakcyjnie

i zamożnie – od tych wszystkich ubrań i kosmetyków wyładnieli, odmłodnieli. Umieci się uczesać, pachnęli perfumą i byli szczupli. Łucja lubiła ich obserwować, gdy w soboty i niedziele sprzedawała ogrodowe kwiaty. Siedziała na murku przy przystanku i całymi godzinami patrzyła. Niektórzy kupowali u niej z litości, że starowinka wystaje po całych dniach. A przecież robiła to dla przyjemności. Specjalnie na tę okazję wiązała apaszkę i kręciła włosy. Sąsiadkom mówiła, że wychodzi do miasta. W końcu nie kłamała.

A jednak coś było z tym krajem nie tak.

Bo gdyby wszystko grało, to ludzie chcieliby mieć dzieci. Zapraszaliby na miły świat stadko potomstwa, a temu w przyszłości żyłoby się jeszcze lepiej. Razem cieszyliby się szczęściem i dobrobytem w najlepszych czasach w historii. Ale jakoś nie chcieli.

Nawet jej rodzina, choć przetrwała tyle pokoleń, nieuchronnie zmierzała ku wyginięciu. Łucja wychowała się wśród czwórki rodzeństwa, ale wnuka miała już tylko jednego. A on, ku jej strapieniu, ani myślał zakładać rodziny.

- Babciu, daj spokój – kwitował jej pytania na niedzielnym obiedzie, który przygotowywała u córki.

- Kto jak nie ty? – próbowała kusić. - Przecież jesteś takim porządnym, odpowiedzialnym młodym człowiekiem.

- Otóż to. Dlatego właśnie nie mogę podjąć takiej decyzji. Nie stać mnie – odpowiadał Duduś, ziewając po dokładce, a potem ucinął dyskusję przyciskiem na pilocie telewizora.

I tyle rozmowy. W sumie trudno się chłopakowi dziwić, chciał najpierw coś odłożyć, stanąć na własnych nogach. Podobne zmartwienie miały jej sąsiadki – młodzi gonili za robotą, a wnucząt i prawnucząt było jak na lekarstwo. A przecież babcie z rozkoszą by się nimi zajęły. Armia senierek o niewykorzystanych zasobach energii marnowała się beczynie w opustoszałych gniazdach, wynajdując sobie na siłę zajęcia w postaci uniwersytetu trzeciego wieku czy kuriozalnych warsztatów. Lepiły koślawe garnki, ledwie widząc, pstrykały na oślep na kursach fotografii, na stare lata robiły z siebie pośmiewisko w amatorskich teatrach. Być może Łucją powodowały podobne pobudki, ale ona przynajmniej miała sensowny cel. Szła do pracy, by wesprzeć finansowo wnuka i przyspieszyć jego start w życie.

Kładąc się do łóżka w noc poprzedzającą pierwszy dzień w biurze, ze zdziwieniem spostrzegła, że denerwowała się tak samo jak przed laty. Pamiętała to jak dziś. Ponad pół wieku temu zaczynała pracę w wielkich zakładach, wytwarzających włókna sztuczne. Wcześniej prawie nie spała z przejęcia.

Przerażała ją ogromna hala produkcyjna, tłum obcych ludzi i wielkie, hałaśliwe maszyny. Wszyscy wkoło uwijali się jak w ukropie, nie było czasu na pogawędki ani miejsca na błąd. Mój Boże! To się dopiero nazywa praca pod presją. Teraz młodzi tak nie pracują, mogą inaczej, w ciszy, w czystym i ciepłym biurze. Kiedyś o tym marzyła. Dopiero teraz, na stare lata, miała zaznać takiego luksusu.

Po zamknięciu zakładów poszła na szwaczkę do prywaciarza. I to tyle punktów w CV, które pomogli jej zrobić w osiedlowym klubie seniora, bo w wieku pięćdziesięciu pięciu lat Łucja przeszła na emeryturę. Dawniej wszystko wyglądało inaczej. Nigdy nie musiała się martwić, że ktoś ją zwolni. A nawet gdyby, to przecież praca

czekała, nikt się nie musiał prosić. Nie pracował najwyżej ostatni obibok.

„Spędzało się życie w jednym zakładzie, w jednym mieszkaniu i z jednym chłopem - rozmyślała przed snem. - Nie to, co teraz: redukcje, przeprowadzki, rozwody. Nie wolno do niczego przywyknąć, ani niczego być pewnym. Jak można tak żyć?”. Tego nie potrafiła zrozumieć. Zmiany za dużo ją kosztowały, choć przecież z czasem, w miarę życiowego doświadczenia, wszystko niby przychodzi łatwiej. Nowa praca powinna być dla niej bułką z masłem. Co miała do stracenia?

„Ale taki już ten człowiek głupi z natury. Za pierwszym razem zawsze jest trema i nic się na to nie poradzi” - myślała, to okrywając się po samą brodę z zimna, to wystawiając stopy spod kołdry z gorąca. Tej nocy nie dane jej było jednak zmrużyć oka.

Rozdział trzeci

Kinga

- Jesteś nowa, więc będą ci chcieli wcisnąć wieczory i niedziele - uprzedziła Elka. Szły w gwarnym tłumie popołudniowych klientów galerii, który zapewniał ich rozmowie dyskrecję. Kinga co chwilę kogoś potrącała, próbując nadażyć za wprawnym slalomem koleżanki.

- Niedziele? Chciałam wtedy jeździć do ojca - podniosła głos, by przekrzyczeć muzykę.

- Każdy chce mieć wolne weekendy, ale na początku musisz się wykazać. Z czasem zaczniesz się dogadywać z resztą.

Minęły bramki i znalazły się na terenie sklepu z kobiecą odzieżą. Spore wnętrze otwarte na korytarz galerii wabiło ciepłym światłem i subtelnym aromatem zielonej herbaty. Zaczynała się właśnie popołudniowa zmiana. Bez zbędnych towarzyskich ceregieli Elka ruszyła na zaplecze.

- Ale ty jesteś chuda. - Pokręciła głową, podając Kingie zapas czarnych firmowych koszulek i złotą etykietkę z imieniem. - S?

- M.

Elka musiała urodzić się w rozmiarze L. Mimo świetnych wyników na wuefie nigdy nie stała się smukła, co uważała za wielką niesprawiedliwość. Miała mocną budowę i masywne kości, a przy tym tragiczne zamiłowanie do krótkich spódnic i obcisłych bluzek. Ta wieloletnia toksyczna miłość okazała się oprawcą jej sylwetki. Teraz, w szóstym miesiącu ciąży, dzięki dłuższym tunikom wyglądała o niebo lepiej.

Pierwszego dnia Kinga poznała układ sklepu i przeszła szybki kurs poruszania się po zapleczu. W porównaniu z resztą przestronnego, wypełnionego łagodnym jazzem butik, było tu ciasno i mało elegancko, ale właśnie ta część interesowała ją najbardziej. To tu, pośród pudeł, pachnących nowością sztuk odzieży i worków z metkami biło serce sklepu.

- Dostawy są dwa razy w miesiącu. Wtedy najwięcej się dzieje. Rozpakowywanie, przeliczanie, metkowanie, klipsowanie, wprowadzanie do systemu, rozwieszanie. Plus ściąganie z ekspozycji staroci i przecenianie. A sklep musi działać jak co dzień. Wszystkie ręce na pokład. - Elka jedną dłonią podparła kręgosłup, a drugą objęła wydatny brzuch. - Raz na kwartał wchodzi kolekcja celebrycka. Wtedy roboty jest jeszcze więcej. Dochodzą plakaty, ulotki i specjalne zawieszki.

- To rzeczywiście autorskie projekty gwiazd? - Kinga podniosła głowę znad stołu, na którym zaczęła trenować składanie kardiganów.

- Żartujesz? Za każdą kolekcją stoi sztab zawodowców. Gwiazdka tylko udziela nazwiska, naturalnie za odpowiednim honorarium. Te ciuchy niczym nie różnią się od innych, tylko kosztują dwa razy więcej.

- Myślałam, że to naprawdę...

- Celebryci nie mają o niczym pojęcia, w najlepszym wypadku mogą kiwać głową na zebraniu, a na otarcie łez dostają rolę w sesji zdjęciowej. Wszystko działa w ten

sposób: sygnowane nazwiskami perfumy, buty, bielizna. Wyobrażasz sobie piłkarza projektującego slipy?

Kinga poczuła się zawiedziona. Mimo to cieszyła się, że będzie pracować w międzynarodowej sieci. Zdobyła doświadczenie w sklepiku z konfekcją damską, ale trudno je było porównać do stażu w salonie znanej marki. Budka pani Steni lansowała trendy '95, więc za jakieś dwadzieścia lat miała szansę znów być na czasie. W blaszaku pachnącym piecykiem gazowym Kinga przyjmowała klientki w rozmiarze i wieku pięćdziesiąt plus. Z umocowanych na drążkach pod sufitem wieszaków wyławiała wybrane modele przy pomocy plastikowej żerdzi, zakończonej haczykiem. Na pulchnych sylwetkach pań cierpliwie drapowała kwieciste spódnice z gumką, równoważąc przytłaczające wypukłości brzuchów i piersi za pomocą poduszek wszytych w ramiona szerokich żakietów. U Steni odzież miała ogrzewać i kamuflować, zdobieniem nikt nie zawracał sobie głowy.

Z czasem jednak klientki doceniły Kingę, bo potrafiła im dobrze doradzić. Ubierała je ciepło i wygodnie, a przy tym niebrzydko. Jej lokalna kariera mogłaby trwać do dziś, gdyby po panią Stenię nie przyszła śmierć w białej, powłóczystej szacie. Ostatnim zestawem skomponowanym dla niej przez Kingę był ubiór, w którym właścicielka sklepiku spoczęła w trumnie. Żałobnicy gromadzący się przy otwartej trumnie nie mogli się go nachwalić. Najwierniejsze klientki oddały zmarłej hołd, wykupując przed pogrzebem cały czarny asortyment. Niestety, decyzją rodziny właścicielki resztę towarów wyprzedano, a biznes zamknięto z braku następcy.

- A czy myślałaś kiedyś o tym, żeby tak samej...
- Zapomnij. - Elka pokręciła głową, podając Kindze zgrzewkę wieszaków.
- Nigdy nie chciałaś spróbować? Miałaś piątkę z dyplomu.
- Ty też. I co z tego?
- Twoje prace były świetne. Wszyscy ci to powtarzali.
- Jest tysiąc lepszych ode mnie.
- Pracujesz w branży. Łatwiej ci nawiązać kontakty, podpatrzeć, jak to działa.
- Chcesz wiedzieć, jak to działa? Chodź, pokażę ci.

Wzięła ją za rękę, odmeldowując się na przerwę u kierowniczkii zmiany. Wyszły na teren galerii i Kindze znów zakręciło się w głowie.

Manufaktura. Ogromne centrum handlowe za każdym razem zapierało jej dech w piersiach. Wciąż gubiła w nim drogę, zupełnie tracąc orientację. Kilkupoziomowa płatanina korytarzy wiodła do setek drzwi, a wszystkie stały otworem i zapraszały do innej krainy czarów. Drogerie, jubilerzy, kwiaciarnie, kawiarnie. Księgarnie, delikatesy, niezliczone butiki z modą. Sklepy wnętrzarskie, kuchnie świata, elektronika. Labirynt pięknych ślepych zaułków, po wielu godzinach wypluwających zbłąkanych bez pieniędzy i resztek godności.

- Ile czasu zajęło ci zapamiętanie trasy, kiedy zaczęłaś tu pracować?
- Kilka dni. Zaraz się nauczysz. Widzisz ten żółty neon? To Świat Kawy. Podaje tu Igor, który studiuje aktorstwo. Miny i kwestie może ćwiczyć przy klientach, kiedy parzy im cappuccino w tekturowych kubkach.

Rudy chłopak o wydatnym nosie pomachał do nich, posyłając Elce powietrznego całusa. Kinga się uśmiechnęła.

- Mijamy stoisko z kanapkami. Zapamiętaj, stoi obok wejścia najbliższej nas. W tej chwili kromkami żongluje Łukasz. Jest po gastronomiku. Do niedawna wierzył, że zostanie szefem kuchni, a potem stworzy własny tapas bar.

- *Ciao bella!* - zawołał pogodny chłopak z lekką nadwagą. - Kanapeczkę? Musisz jeść za dwoje!

- Nie denerwuj mnie, Luca. - Objęła go. - To jest Kinga. Zastąpi mnie, kiedy będę leżeć brzuchem do góry. - Kinga szybko się przywitała i podążyła za swoją przewodniczką. - Po lewej masz punkt z komórkami. W obsłudze klienta siedzi Edyta. Ta mała z kręconymi włosami. Mówimy na nią Edith. Szkoła muzyczna, na koncie kilkanaście piosenek do własnych tekstów i kompozycji. Może je sobie nagrywać na smartfonie, na który ma pracowniczą zniżkę. Tuż obok znajduje się administracja galerii. Tu też mamy swojego człowieka. Seba jest po filmówce. Montuje nam spoty reklamowe. Zdobywa w ten sposób doświadczenie na wielkim ekranie. - Elka wskazała na zawieszony nad ruchomymi schodami telebim, gdzie właśnie przesuwają się kabanosy. - Stąd skręcasz w prawo i jesteś u siebie. Masz jeszcze jakieś pytania?

- Chcesz powiedzieć, że oni wszyscy...

- Każdy, kto tu trafia, ma marzenia. I kilka razy dziennie bywa głodny.

Zatrzymały się kilka metrów od butiku i oparły o białą barierkę. W ich rozmowę bez pardonu wdarło się dźwiękowe ogłoszenie o promocji na skórzane torebki.

- Od czegoś trzeba zacząć. Przecież nie będą całe życie...

- Smarować kanapek? Przyjmować reklamacji? Jak myślisz, ile oni mają lat?

- zapytała ostro Elka.

- Trudno powiedzieć. Edith się maluje...

- A Luca zaczął łysieć. W tym roku skończył trzydzieści sześć lat. I tak jest szczęśliwy. Awansował z dworcowej budki z hot dogami.

- Może u niektórych trwa to trochę dłużej, ale jestem pewna, że praca tutaj to etap przejściowy.

- Do czego?

- Do lepszej kariery. Nie od razu Kraków zbudowano. Wszystko ma swój czas. Szkoła, praktyki, pierwsze płatne zajęcia.

- Wierzysz w bajki. Jest kryzys, nie słyszałaś?

- Kryzys mija.

- Nie, jeśli większości jest na rękę.

- Komu? - Kinga wpatrywała się w nią ze zdumieniem.

- Nie rozumiesz? Nie zauważyłaś, jak długo to trwa? Wchodziliśmy na rynek pracy z pokorą, na każdym kroku słysząc o recesji. Jesteśmy gotowi pracować za bezcen, całujemy w rękę za umowę zlecenie. Staramy się, nie żądamy podwyżek, siedzimy cicho. Po co oduczać pracowników dobrych nawyków?

- Przecież niezależnie od tego, ile się zarabia, z czasem da się coś odłożyć i wtedy można spróbować spełnić marzenia.

- Kinga, zrozum. To już jest spełnienie. Przyzwoita praca, w ciepłe, w ładnym miejscu. Masz bonusy, paczki na święta, rabaty dla rodziny. Możesz się pochwalić znajomym. Inni nie mają tyle szczęścia.

- Ale...

- Myślałam, że robię ci przysługę.

- Oczywiście, że tak. Jestem ci wdzięczna.

- Więc się ciesz i nie narób głupot. Obie mogłybyśmy mieć kłopoty. A teraz chodź, wracamy - Elka spojrzała na zegarek. - Nie było nas z piętnaście minut.

Kinga więcej się nie odezwała. Nie chciała denerwować koleżanki. W ciąży stała się jeszcze bardziej impulsywna niż zwykle. Poza tym od szkoły minęło już kilka lat, podczas których człowiek podobno najbardziej się zmienia. W sumie dość słabo się znały.

Przyspieszyły kroku i Kinga znów na kogoś wpadła. Albo na coś. Miękkiego i żółtego.

Całą szerokość korytarza galerii wypełniała trzymająca się za ręce grupa młodych ludzi, przebranych za wielkie pluszowe cyfry. Smukła jedyńka i siedem pękatych zer, z których jedno, to, z którym się zderzyła, właśnie do niej machało.

- Patrz, można wygrać dziesięć milionów - rzuciła Elka. - Spróbuj szczęścia, skoro tak go szukasz.

Kinga nie odpowiedziała, ale uśmiechnęła się i odmachwała wynajętemu zeru. Nie marzyła o takiej wygranej. Wystarczyłoby jej, gdyby zamiast zera została jedyńką.

Łucja

Zapowiadało się obiecująco. Praca w eleganckim, nowoczesnym budynku, w samutkim centrum miasta. Na siedząco, w warunkach biurowych, a przy tym częsty kontakt z ludźmi. Tylko płaca niewielka. Pięćset groszy za godzinę, jak doniosłym tonem podali na rozmowie kwalifikacyjnej. Na papierze nie wyglądało to już tak efektownie, ale i tak wychodziło dodatkowe kilkaset złotych miesięcznie. Łucja żałowała tylko, że nie dało się podzielić czasu pracy - kazali jej przychodzić tylko dwa razy w tygodniu, za to aż na dwadzieścia cztery godziny.

Wcześniej myślała, że w portierni mogą pracować tylko mężczyźni. Widać czasy się zmieniły. Kobiety przebojem szły w świat kariery i Łucja bez kompleksów wstąpiła w ich szeregi. Pracodawca wołał zatrudniać panie, bo „są solidniejsze i mają więcej wyczucia do gości. Miłe i uśmiechnięte, przyjemnie się prezentują i stanowią wizytówkę firmy”.

Na te słowa dołożyła podwójnych starań, by dobrze wypaść. Wykrochmała kołnierz koronkowej bluzki, a w uszy wpięła perłowe klipsy. Kolczyków nie dałaby już rady precyzyjnie przeczisnąć przez zarośnięte dziurki, ale to nie zwalniało jej z elegancji. Uważnie zapoznała się z listą zadań, do których należało witanie wchodzących, udzielanie informacji na temat mieszczących się w budynku firm, przyjmowanie i segregowanie przesyłek pocztowych i kurierskich, w nocy zaś obserwowanie, czy nie dzieje się nic wzbudzającego podejrzenia.

Tego ostatniego trochę się obawiała, ponieważ akurat w tym zakresie wątpiła w swoją przewagę nad mężczyznami. A gdyby podczas nocnej zmiany coś się stało? Jakie szanse miała siedemdziesięciosześcioletnia kobieta w starciu z rabusiem? Przycisk alarmowy i telefon do zewnętrznej ochrony to mogło być za mało. Co

prawda razem z kartą wstępu i identyfikatorem wręczono jej gaz pieprzowy, ale cóż to była za broń?

Jednak nie po to składała podanie o pracę, żeby teraz stchórzyć. Pierwszego dnia o poranku spakowała do torby termos, kanapki, wełnianą chustę i różaniec, który miał jej pomóc przetrwać długą noc. Mogła zaczynać.

- Witam pana. Pan do kogo? Proszę wpisać nazwisko i zaczekać, zaraz ktoś po pana zejdzie.

- Przesyłka za pokwitowaniem? Oto podpis, miłego dnia.

- Pan z firmy cateringowej? Bardzo proszę, tymczasowa wejściówka, do zdania przy opuszczaniu budynku.

- Dzień dobry, z tej strony recepcja Atrium, potrzebujemy konserwatora, mamy awarię klimatyzacji na czwartym piętrze.

- Korporacja taksówkowa? Proszę kurs VIP na lotnisko. Za dwadzieścia minut.

- Pan z nożem? Przykro mi, akwizytorom dziękujemy. Poza tym będzie brzęczało w bramce. Ale noże piękne. Ceramiczne? Tak z ciekawości, po ile?

Łucja uczyła się szybko i uwijała jak pszczołka, a recepcja główna, w której pracowała, przypominała rojny, hałaśliwy ul. Ktoś wchodził, wychodził, pytał o firmy lub nazwiska, przywoził i odbierał przesyłki. Obrotowe drzwi kręciły się jak baletnica, przepuszczając kurierów, interesantów i pracowników. Można było dostać od tego zawrotów głowy.

Początki nie należały do najłatwiejszych. Łucja co chwila musiała sięgać do listy najważniejszych telefonów: do recepcji na poszczególnych piętrach, do firm kurierskich i taksówkowych, do serwisów odpowiedzialnych za różnego rodzaju naprawy. Gorzej z wykazem numerów wewnętrznych do pracowników, bo tu potrzebowała wyszukiwarki, która nie przyjmowała żadnych błędów w pisowni i wciąż się zawieszała. Łucja musiała prosić o literowanie trudniejszych nazwisk, trzęsącymi się dłońmi nakładała okulary i wyteżała słuch. Szczęście w nieszczęściu, że kiedyś w klubie seniora mieli kurs komputerowy, ale i tak po klawiaturze poruszała się z trudem. Oczekujący na informację lub połączenie niecierpliwili się, bębniąc palcami w kontuar i spoglądając na zegarek, a ona czuła wtedy na karku kropelki potu, jednak za wszelką cenę starała się zachować zimną krew.

Przez pierwszych kilka zmian Marta, studentka kulturoznawstwa, wdrażała ją w nowe obowiązki. Dziewczyna okazywała anielską cierpliwość. Bez cienia irytacji tłumaczyła działanie intranetu i w nieskończoność przypominała, że na miasto dzwoni się przez siódemkę, a obco brzmiące nazwy niezliczonych firm pomagała zapamiętać na zasadzie skojarzeń.

- Bayer spółka z o.o. Proszę pomyśleć o ich prezesie. Widziała pani tego gogusia w fioletowej koszuli? Jest mistrzem w bajerowaniu kobiet. I klientów. Kitt S.A. Oni każdemu wstawiają kit i jeszcze każą sobie za to zapłacić. Fraier Bank. Każdy, kto bierze pożyczkę na ich lichwiarskich warunkach, to frajer. Proste.

I jak tu się nie uśmiechnąć? Odtąd nazwy wskakiwały do głowy same, a Łucja każdego gościa obdarzała spojrzeniem pełnym litości i z trudem powstrzymując chichot, kierowała go na właściwe piętro.

Przejęta i skupiona na pracy, w ciągu dnia nie miała wielu sposobności, by oddawać się swojemu ulubionemu zajęciu, czyli obserwowaniu ludzi. Zdażyła tylko

zauważyć, że pracownicy biurowca byli elegancko ubrani, modnie ostrzyżeni i przeważnie młodzi. Ci starsi bardzo starali się to ukryć. Na przykład jeden podstarzały kierownik za pomocą żelu do włosów stawiał na swojej głowie zawadiackie kolce, ujmując sobie lat, a dodając wzrostu. Mężczyźni nosili dopasowane marynarki i zamszowe półbuty, a kobiety szpilki i lakierowane torebki. Poruszali się pewnym, sprężystym krokiem, stukając w granitową posadzkę i na okrągło pikali kartą przy przechodzeniu przez bramki. W ogóle robili wokół siebie sporo hałasu. Jeśli nie mieli towarzystwa, rozmawiali przez telefon lub czegoś w nim szukali. Tym sposobem w rozległym, przeszklonym holu budynku nigdy nie zapadała cisza. Dopiero po osiemnastej zaczynało robić się spokojniej. Kurierzy nie przyjmowali już zleceń, a z biur wychodzili ostatni pracownicy. W pośpiechu pędzili do swoich spraw, które Łucja rozszyfrowywała na podstawie wyznań w przyklejone do uszu komórki: zakupy w supermarkecie, premiera w kinie, kręgle wieczorem, sushi na mieście, a po wszystkim: masaż i wino. Tylko o dzieciach nikt nie mówił ani słowa.

Widać nie mieściły się już w napiętym planie dnia. Łucja westchnęła. Miała całą noc, by rozmyślać nad tym, dokąd to wszystko zmierza.

Weronika

Szef miał rację. Dopóki chodziła do pracy, jakoś się trzymała. Siłą rozpędu zapełniała grafik mnóstwem bieżących spraw, dzięki którym wciąż nie wypadła z gry. Dni mijały szybko jak zwykle, a wieczorami była zbyt zmęczona, by się martwić. Dopiero nocami i w weekendy zaglądała w wielkie oczy niepewnej przyszłości. W sobotnie popołudnia, kiedy zdążyła odespać bezsenność i poudawać, że ma niecierpiące zwłoki domowe obowiązki, w urządzonej na biało kuchni nalewała sobie kieliszek różowego wina. Mimo głośno ustawionego telewizora w środku niej wszystko cichło i zaczynała czuć się nieswojo. Z przerażeniem myślała o tym, że odtąd całe jej życie miało stać się niechcianym weekendem.

Okres wypowiedzenia dobiegł końca. Poszukiwania pracy zajmowały jej najwyżej kilka godzin dziennie. Sporadycznie odbierała telefony i umawiała się na rozmowy. Były to rzadkie okazje, kiedy mobilizowała się do pójścia pod prysznic i zastąpienia nieświeżej piżamy czymś bardziej kobiecym. Przez resztę dnia próbowała spać i zmuszać się do jedzenia. Przeważnie jednak nie mogła sobie znaleźć miejsca. Wtedy wychodziła.

Szła do sklepu, po świeżą prasę lub załatwić inne wymyślane na siłę sprawy. W ciągu ostatnich kilku tygodni z wzorową sumiennością nadrobiła dawno odkładane zaległości u szewca, krawca i w punkcie dorabiania kluczy. Poszłaby nawet do magla, gdyby ten jeszcze istniał. Dziwne uczucie, przemierzać ulice w porze, gdy większość mieszkańców, przynajmniej tych normalnych, jest w pracy. Jezdnie były nienaturalnie spokojne, a chodniki niemal wyludnione. Jednak po bliższym przyjrzeniu okazywało się, że na dziennej zmianie toczyło się inne, równoległe życie miasta. Na osiedlowych ławkach gorączkowo rozprawiali seniorzy karmiący

czerstwym chlebem parchate gołębie. Ociężali od nadmiaru brudnych warstw bezdomni, kołyszając się na boki pchali swój mobilny dobytek w sklepowych wózkach, jakby próbowali sztydzić z supermarketowej konsumpcji w artystycznym performensie. Bar mleczny „Danusia” od jedenastej tętnił życiem, wydając tłuste obiady nieudacznikom z całej okolicy. Przy sklejkowych stolikach, nakrytych lepka ceratą tłoczyli się emerycy, skacowani studenci i włóczędzy. Wszyscy, którzy nie mogli liczyć na domowy posiłek lub nie widzieli w nim sensu. Tacy jak Weronika. Ona też coraz częściej z apatyczną rezygnacją zamieniała własne penne z suszonymi pomidorami na mielonego w buraczkach, byleby tylko ktoś bez zbędnych pytań podstawiał jego oleisty aromat prosto pod jej nos.

Krążąc bez celu odkrywała nieznanne dotąd miejsca. W obrębie kilku najbliższych ulic spotkała zakład produkcji pędzli i punkt repasacji pończoch. Kawałek dalej, w przebrzmiałej oprawie boazerii i liści paproci, przyjmował kaletnik, a zaraz obok pozbawiony okna introligator. W maleńkich lokalikach na parterach kamienic paliło się przyćmione światło, ale poza mistrzami zawodu nie było w nich żywego ducha. Podobne natężenie ruchu panowało w sklepie z tkaninami i pasmanterii. Tabliczki z odręcznym napisem „otwarte” żałośnie dyndały w uchylonych drzwiach, smagane listopadowym wiatrem. Tak jak obsługa próbowały udawać, że są jeszcze komuś potrzebne.

Za każdym razem, kiedy tamtędy przechodziła, Weronika czuła smutek. Wzruszały ją staromodne dekoracje witryn, skomponowane ze sztucznych kwiatów i wycinków z gazet pochodzących z poprzedniego stulecia. Żaliła się nad umierającymi rzemiosłami i nad samą sobą, zbędną i przecenioną. Samotne spaceru wyraźnie jej nie służyły. Zresztą między ludźmi wcale nie było lepiej. Przejazdźka zatłoczonym tramwajem przypominała jej, że nie pasuje do reszty pasażerów. Przecież ona nie miała do czego zmierzać ani do czego się spieszyć. Nikt niczego od niej nie chciał. Niepotrzebnie zajmowała miejsce i zużywała i tak niezbyt świeże powietrze.

Kiedy była dziewczynką, cierpiała nad wszystkimi, którym los okazywał, że są zbędni. Żaliła się nad bezdomnymi i żebrakami, oddając im samodzielnie zrobione kanapki i miedziane grosiki, jeśli sama je miała. Jako dorosła kobieta wciąż czuła smutne ukłucie, kiedy mijała ulicznych grajków i chodnikowych sprzedawców. Wzruszały ją staruszki wystające na rogach ulic z działkowymi kwiatami, kobiety-wieszaki sprzedające łopoczące koszule, wydymane przez wiatr, skuleni, patrzący w bok mężczyźni, oferujący oscypki i góralskie kapcie z czeluści ortalionowych toreb. Zawsze starała się wypełnić odwrócone kapelusze, otwarte futerały instrumentów i wyciągnięte w stronę przechodniów pobrzękujące puszk. Okazywała tym wdzięczność, że sama nie musi udowadniać swojej racji bytu, udając, że jej praca ma sens i jest potrzebna. Po jej utracie zrozumiała, że znalazła się w dużo gorszym położeniu niż ci, którym niedawno współczuła. Oni przynajmniej coś potrafili lub mieli coś na sprzedaż. Ona po kilkunastu przepracowanych latach w abstrakcyjnej dla większości ludzi branży nie miała nic do zaoferowania. Tylko siebie. Ale nie było chętnych.

Rozpaczliwie tęskniła za tym, by móc tłoczyć się w drodze do pracy. Bo Weronika kochała pracować. Poza tym lubiła to, co robiła, i była niezależna. Na tym właśnie

najbardziej jej zależało. Tylko raz, w dzieciństwie, pozwoliła sobie polegać na kimś i szybko nauczyła się na tym błędzie. Jej rodzice nie dorosli do swojej roli, za to ona dorosła bardzo szybko. Ojciec alkoholik i bierna, bezsilna matka nauczyli ją jednego: umiesz liczyć, licz na siebie. I Weronika liczyła. Do wszystkiego, co osiągnęła, doszła sama. Obgryzionymi z nerwów paznokciami wydrapywała sobie drogę przez życie. Od kiedy skończyła dziesięć lat, marzyła o tym, by opuścić pokryte odłóżką tapetą mieszkanie na Bałutach, regularnie rozbrzmiewające awanturami ojca i zdławionym szlochem matki. Wkładając korki do uszu i chowając się z latarką pod kołdrę, przysięgła sobie, że nigdy nie będzie taka jak ona: słaba i bezsilna, pozbawiona własnych pieniędzy i własnego zdania. Sama wypracowała sobie wszystko: dobre oceny w szkole, sfinansowane korepetycjami studia i stypendium naukowe umożliwiające wynajęcie stancji i ucieczkę z domu wariatów, gdzie przyszło jej dorastać. Brzydkie ubrania z bazaru wymieniła na wysokiej jakości garderobę, a prywatna opieka medyczna pozwoliła jej otoczyć się opieką psychologa, specjalizującego się w terapii dorosłych dzieci alkoholików.

„Nie załamie się w zderzeniu z pierwszym kryzysem. Nie zachowam się jak matka, której brakowało odwagi, by spojrzeć życiu w oczy i odmienić nasze losy” – pomyślała, nalewając sobie kolejny kieliszek wina. Z dobrych czasów został jeszcze cały stojak butelek. Czego jak czego, ale czasu do namysłu też nie brakowało. Dźwięk gładko wyskakującego korka obiecał, że ten wieczór będzie lepszy od innych.

Leon

Dwadzieścia lat temu jego życie wyglądało zupełnie inaczej. Ech, te lata dziewięćdziesiąte! Niezwykła dekada, kiedy wszystko było możliwe. Otworzyli wtedy osiedlowy sklepik. Odpowiednia decyzja w odpowiednim czasie. Bali się, pewnie. Wcześniej oboje pracowali w zakładzie produkującym tekstylia. Co prawda trochę już sprzedawali sąsiadom z tego, co przywieźli akurat od rodziców ze wsi: głównie mięso, trochę jajek i mleka, z czasem doszły ziemniaki, kapusta i jabłka. Raz na tydzień sprowadzali teścia z wozem, który zaopatrywał cały blok. Po transformacji rzucili robotę i w blaszanym pawiloniku założyli mały spożywczak. Magazyn zrobili sobie w osiedlowym garażu. Wstawili na podłogę drewniane palety, a w drzwiach zamontowali dodatkową kłódkę i jakoś dało radę. Codziennie przed świtem jeździli po zaopatrzenie do hurtowników na Zjazdową. O czwartej rano było zimno, wkładali więc kilka warstw ubrań i rękawiczki z obciętymi palcami. W pasie pod kurtkami nosili saszetki z pieniędzmi, bo wtedy wszystko szło za gotówkę. Nosili i ładowali sami, we dwoje. Księgowość też prowadzili na własną rękę, w zeszytach. Roboty mieli pełne ręce, ale aż miło było patrzeć, jak interes kwitnie. Co i rusz wprowadzali jakieś ulepszenie. Nowe towary, porządniejsze regały, wreszcie ekspedientkę do pomocy. Po kilku latach dogadali się ze spółdzielnią i nad przylegającą do bloku ciepłownią zrobili dobudówkę. I tak powstały pierwsze w okolicy delikatesy. Wprowadzili wtedy kasy fiskalne, zatrudniali dwie sklepowe i

zaopatrzeniowca, a hurtownicy sami pchali się do nich z towarem. Kupili firmowy dostawczak, a sobie dwie osobówki. Każde z nich potrzebowało własnego auta. W końcu byli ludźmi interesu.

Szybko zamienili mieszkanie na dom. Dziś nie wydaje się piękny, ot, segment z pustaków, ale wtedy to było coś. Hurtownie, w których składali największe zamówienia, fundowały wczasy za granicą. Najpierw Paryż, Londyn, a potem Tunezja i Kanary! Nigdy wcześniej nie byli nawet nad Bałtykiem, a tu nagle przed czterdziestką zaczęli zwiedzać świat. Podczas jednej z tych podróży, w Grecji, żona kupiła sobie futro z norek, a on kozuch z miękkiej, beżowej skóry. Choć wieczór był gorący, wystroili się w nowe nabytki i na hotelowym tarasie odtańczyli zorbę. Halina wyglądała pięknie. Ufarbowane na rudo włosy rozsypały się jej na puszystym białym kołnierzu. Zawsze mówiła, że musi schudnąć, ale zdaniem Leona była bardzo kobieca, co tamtej nocy kilkukrotnie jej okazał. Do dziś pamięta tamte chwile. Czuli, że mogą wszystko.

Kochali swój mały biznes. Z czasem zaczęto ich namawiać na spółki albo wstępowanie do sieci, ale nie chcieli. Cieszyli się tym, co mieli. Leon troszczył się o towar, musiał być pierwszej jakości. Żadnych śmierdzących mięs ani nadgniętych owoców. Konkurencja przemalowywała spirytusem daty ważności, ale nie on. Kiedy tylko okazywało się, że coś jest nie tak, natychmiast zmieniał dostawcę. Nad chwilowy zysk przedkładał długoterminowe zadowolenie klientów. Halina z kolei dbała o to, by do sklepu wszystkim chciało się przychodzić. Ekspedientkom zamówiła pastelowe fartuszki, dzieciom rozdawała darmowe lizaki, a stali klienci mogli liczyć na kredyt. Dziś mówiliby na to marketing, oni nazywali to podejściem do człowieka.

Pewnie, nie zawsze było różowo. Kiedy komuś dobrze się wiedzie, w ludziach szybko budzi się zawiść. Raz zdarzyło im się włamanie, potem ktoś zbił kamieniem szybę, kto inny naskarżył na nich księdzu, że handlowali w niedzielę. Ale to tylko drobiazgi bez znaczenia. Dopiero później przekonali się, że od wrogów gorsza jest obojętność. Zaczęło się niewinnie. Ulicę dalej zamknięto wielki pawilon z dywanami. Fabryka stanęła, bo ludzie woleli mieć w domach odkryte podłogi. W wykładzinach i chodnikach gromadził się kurz i nikt nie miał głowy, by taszczyć ciężkie rulony pod trzepak i czyścić na oczach całego bloku. Choć Leon akurat trzepanie lubił. Wspaniały sposób na oczyszczenie nie tylko dywanu, ale i duszy. Dzieci też kochały trzepak - wisząc do góry nogami, spędzały na nich pół dzieciństwa. Komu to przeszkadzało, Leon do dziś zachodzi w głowę.

Ostatniego dnia zorganizowano wielką wyprzedaż, a potem wszystkie szyby pawilonu zaklejono tekturą. Stał tak przez kilka lat, podczas których próbowano w nim ulokować kilka nieudanych inwestycji. Najpierw miała tu powstać szwalnia z firmowym butikiem, ale ludzie woleli kupować taną chińszczyznę na bazarze. Ktoś chciał sprzedawać meble, ale na niewielkim osiedlu nie było wystarczającego popytu. Sklepy z rowerami i materacami też szybko się zwinęły. Pawilon jakby był przeklęty. Coraz częściej plotkowano o rozbiórce szpetnego blaszaka. Aż pewnego dnia w ziejących pustką, częściowo powybijanych szybach ktoś powiesił pomarańczowe plakaty z hasłem: „Wielkie otwarcie już wkrótce!”.

- Otwarcie czego? - zastanawiali się sąsiedzi.

Tego nie wiedział nikt. Nawet robotnicy dzień i noc uwijający się w pawilonie nie potrafili udzielić jednoznacznej odpowiedzi. Podali za to datę, kiedy tajemnica miała się wyjaśnić: w sobotę pierwszego marca. Mieszkańcy osiedla obstawiali zakłady i trwali w gotowości.

Rozwiązanie zagadki nastąpiło w zapowiedzianym terminie. Punktualnie o ósmej rano z okien zerwano plakaty, a hostessy w pomarańczowych sukienkach otworzyły dwuskrzydłowe drzwi. Oczom wszystkich ukazał się nowiusieńki, wypełniony wszelkimi dobrami supermarket. Przecinający wstęgę burmistrz dzielnicy o mały włos nie został stratowany przez dziki tłum. Ogłoszenie podane przez megafon głosiło bowiem, że pierwszych dwudziestu klientów robi zakupy za darmo. Według obietnic hostess rozdających pomarańczowe baloniki na pozostałych czekały atrakcyjne rabaty i promocje. Nie tylko w dniu otwarcia, ale i na co dzień.

Leon z Haliną widzieli to wszystko z okien swojego sklepu. Tego dnia prawie w ogóle nie mieli klientów. Sąsiedzi wracali z pawilonu z wypchanymi gratisami reklamówkami z logo marketu – pasiastym robaczkiem, którego uśmiech wykrzywił się na marszczącej się folii w trudny do odgadnięcia grymas.

Wielkie dyskonty mogą oferować zaporowo niskie ceny. Halina była tym zmartwiona, ale Leon przekonywał ją, że nie ma powodów do niepokoju. Mieli w końcu na mieście renomę. Nie po to latami dbali o stałych klientów, by ci mieli się teraz od nich odwrócić. Liczył, że klątwa opuszczonego pawilonu zadziała i tym razem. Mijały jednak kolejne miesiące i nic się nie wydarzyło – z wyjątkiem dramatycznego spadku obrotów w delikatesach. Z tygodnia na tydzień klienci przestali przychodzić. Kiedy latem miasto wyludniło się na czas wakacji, w delikatesach słychać było jedynie bzyczenie os w schnących jagodziankach. Ekspedientki beczynnie stały za ladą albo w nieskończoność poprawiały ułożenie towaru na półkach.

– Mówiłam. – Kręciła głową Halina, pokazując miesięczne zestawienia sprzedaży.

Leon starał się nie wpadać w panikę. Tłumaczył sobie, że takie są prawa wolnego rynku, i postanowił walczyć. Szukał sposobów na zwabienie z powrotem nielojalnych klientów. Pomyślał o dłuższych godzinach otwarcia, ale market był czynny codziennie od siódmej do dwudziestej drugiej. Dołożył więc dodatkową godzinę wieczorem i osobiście spędzał ją za ladą. O tej porze do sklepu nie zaglądał jednak nikt poza spragnionymi pijaczkami. Później postawił na zdrową żywność, w końcu tyle mówiło się o chemii w jedzeniu. Ekologiczne produkty okazały się jednak zbyt drogie i tylko do nich dopłacali. Wreszcie Leon wpadł na pomysł, by przeprowadzić ankietę wśród mieszkańców i zapytać o ich życzenia, ale ludzie wykręcali się od odpowiedzi. Ci, których próbował werbować przed sklepem, uciekali na drugą stronę chodnika. Klienci przepytywani w środku mówili, że nie mają czasu.

– Staszek! – zawołał Leon pewnego dnia, kiedy z okna zauważył zmierzającego w głąb osiedla sąsiada. – Staszek!

– Serwus. – Skinął głową tamten, nie zwalniając kroku.

– Poczekaj! Mam sprawę. – Leon wyszedł na schody przed sklep.

– Wszystko zapłaciłem, jesteśmy kwita.

– Wiem, wiem, rachunek masz uregulowany. Ja nie o tym. Chciałem tylko zapytać,

co u was.

- Stara bida. - Sąsiad założył ręce z tyłu.

- Dawno cię u nas nie widziałem.

- Ano tak to jest, życie pędzi, człowiek nie ma się kiedy w tyłek podrapać.

- Wiem coś o tym. A co tam niesiesz? Zakupy? - Z uśmiechem pogroził mu palcem.

- A nic... Baśka mnie wysłała, coś tam jej było potrzebne.

- To czemuś do nas nie przyszedł? - Leon rozpoznał logo na pomarańczowej reklamówce, nieudolnie chowanej za plecami sąsiada.

- Baśka mówiła, że tego akurat nie macie.

- Opowiadasz. Cóż to takiego? Jak nie mamy, to sprowadzimy.

- Ja tam nie wiem, nie znam się. - Staszek potarł nos i przycisnął do dołu daszek skórzanej czapki.

- To pokaż! - Leon wyczekująco oparł ręce na biodrach.

- Dajże spokój, mówię przecież, że u was nie było.

- Ale czego?

- Nie pamiętam nazwy. Kartkę od Baśki wyrzuciłem.

- Jak zakupy na kreskę chciałeś, to brałeś wszystko, a teraz to niby u nas brakuje towaru?! - wysyczał Leon.

- O co ci chodzi?

- Jak ci nie wstyd! - Stracił panowanie nad sobą. - U Niemca kupujesz? Przecież to wszystko obce!

- Jakie obce? - Staszek podrapał się w czapkę. - Wszyscy gadają tam po naszymu.

- Kapitał obcy, baranie!

- Jak mnie nazwałeś?!

- Jesteś taki sam jak wszyscy! - wybuchł Leon. - Rzucą wam jakiś ochłap z promocji i od razu o swoich zapominacie! Gdzie wasza lojalność!? Za parę groszy wspieracie okupantów. W całym kraju się panoszą, a Polacy bankrutują!

- Bo u was za drogo jest - wycedził sąsiad. - Zdzieracie. I to się ludziom nie podoba.

- Coś ty powiedział?

- To, co słyszałeś. Wszyscy tak mówią. Kiedyś stał jeden sklep, to się w nim kupowało. Nie było wyboru, ale teraz można taniej. I to o ile! Jedną trzecią, jak nie lepiej. Tylko głupi by przepłacał. Teraz każdy grosz się liczy. Poza tym to nieuczciwe naciągać klienta.

- Ty... sprzedajny... - sapał Leon, przybierając odcień konfitury z wiśni. - Ja ci dam...

Jedną ręką złapał go za pazuchę marynarki, a drugą chwycił reklamówkę skrywaną przez sąsiada za plecami. Po krótkiej szamotaninie plastikowa torba pękła, a jej zawartość w postaci płynu do zmywania i trzech kajzerek wylądowała na chodniku.

- Płyn i bułki?! - wybuchł znowu. - Tego u mnie nie ma?

- A nie ma! Takich nie! U ciebie płyn kosztuje prawie pięć złotych! A ja zapłaciłem złoty dziewięćdziesiąt!

- Bo ja mam Ludwika! Polski, porządny płyn! A to są jakieś popłuczyny! Sama woda!

- Leon wyrzucał z siebie pociski argumentów.

- Akurat. Płyn jak płyn. - Wzruszył ramionami Staszek.

- Tak? No to patrz!

Skoczył na plastikową butelkę, która z trzaskiem pękła, oblewając bladoróżową mazią przybrudzone ziemią kajzerki. Z satysfakcją ocenił rzadką konsystencję cieczy i półprzezroczysty kolor. Nabrał odrobinę płynu na palec i wymierzył go w stronę sąsiada na dowód, że się nie pieni.

- Wariat! - krzyknął Staszek, rzucając się do ucieczki. - Ludzie, zwariował!

Leon poczuł, że ktoś mu się przygląda. Parę metrów dalej stało kilku mieszkańców osiedla. Ze zdumieniem patrzyli na to, co uniemożliwiało im przejście chodnikiem. Przestraszonym wzrokiem mierzyli rozjuszonego właściciela delikatesów, a potem powoli zaczęli się wycofywać, skręcając w sąsiednią alejkę. W dłoniach nieśli pomarańczowe reklamówki.

Dzień później Leon ochłonął i zdecydował się na wizytę w obozie wroga, choć wcześniej obiecał sobie, że jego noga nigdy tam nie postanie. Co powiedzieliby jego klienci, gdyby go tam zobaczyli? Teraz, przy pustkach w sklepie i po wczorajszym wybuchu, nie miał już nic do stracenia.

Ruchoe drzwi otworzyły się same, kiedy następnego wieczora przygarbiony stanął na progu dyskontu. Z drżeniem serca minął ochroniarza i przeszedł przez wejściowe bramki. Zawartość kieszeni nieznośnie mu ciążyła. Za pomocą długopisu, notatnika i małego aparatu fotograficznego zamierzał sporządzić dokumentację, by przygotować się do ostatecznego starcia z konkurencją.

Niepewnie ruszył w alejki, rozglądając się na boki. Na szczęście o tej porze nawet supermarket świecił pustkami. Poruszanie się po pawilonie ułatwiały tablice z nazwami poszczególnych działów. Każdy z nich był tak duży, jak całe delikatesy Leona. Wszędzie roiło się od pomarańczowych tabliczek, informujących o promocyjnych cenach. Leon musiał zadzierać głowę, by ogarnąć wzrokiem półki w całej ich rozciągłości. Najpierw tylko patrzył. Wreszcie wyjął notes i zaczął zapisywać.

Napój dwulitrowy orange - dziewięćdziesiąt dziewięć groszy. Płyn Ludmiła - złoty dziewięćdziesiąt dziewięć. Nektar jabłkowy - dwa pięćdziesiąt. Kajzerka - dziewiętnaście groszy. Tłuszcz mleczny do smarowania - złoty osiemdziesiąt dziewięć. Mleko zero procent - złoty siedemdziesiąt dziewięć. Twaróg klinek - dwa czterdzieści dziewięć. Ziemniaki - siedemdziesiąt groszy za kilogram.

Po odnotowaniu kilkunastu pozycji wyrwał zapisane strony, zmiął je w kulkę i rzucił na wyczyszczoną maszynowo posadzkę. Zamknął notatnik i schował go do kieszeni.

- Może panu w czymś pomóc? - uśmiechnęła się dziewczyna w pomarańczowym uniformie.

- Dziękuję - odpowiedział Leon. - To chyba niemożliwe.

Przetrwali do końca roku. W tym czasie przeprowadzili kilkadziesiąt promocji zakończonych stratą, zwolnili ekspedientki i zaopatrzeniowca oraz zaciągnęli kredyt na reklamę, która nie przyniosła oczekiwanego skutku.

Zbankrutowali.

Leon nie wiedział, że to nie koniec strat, że w przyszłości zostawi go żona, a on sam przestanie być tym, kim kiedyś był. W dniu, w którym po likwidacyjnej wyprzedaży towaru zakładał kłódkę na drzwiach pustego sklepu, i tak nie był w stanie myśleć o niczym. Nie miał z Haliną potomstwa, ale zamykanie firmy, którą powołało się do życia, której poświęciło się najlepsze lata i całą duszę, można porównać ze stratą dziecka. Kiedy pęka serce, niezależnie od rodzaju ciosu, ból jest taki sam.

Damian

Sami są sobie winni. A potem wyrzekają na wszystko dookoła: na zły świat, niegodziwych ludzi, a przede wszystkim na banki. O tak, bank to dla nich najgorsze zło. Oszukańcza instytucja, ograbiająca niczego nieświadomych nieszczęśników. Prowizje, marże, odsetki i masz! Człowiek musi oddać dwa razy tyle.

- Nie macie litości! - frustrat krzyczał Damianowi w słuchawkę. Ślina, którą wściekle pluł, trzeszczała między słowami. - Nie dbacie o to, że kogoś zwolnili z pracy, że ktoś zachorował albo zwyczajnie się przeliczył i teraz nie ma z czego żyć. Tłuszczeni prezesi odbiorą ludziom chleb, a wezmą, co sobie zaplanowali. Wyrzucą na bruk, rozbiją rodzinę, pozbawią zdrowia i resztek radości! Sami w miesiąc zgarniają tyle, co dziesięciu rodaków w rok. Chciwcy, nie znacie umiaru!

Damian poluzował krawat i przeciągnął się w fotelu, odkładając na blat biurka słuchawkę, w której brzęczał rozjuszony dłużnik. Niech się wyszumi, z faktami i tak nie może dyskutować. On w tym czasie przejrzał harmonogram dnia, zakreślając markerem najważniejsze punkty, i po kilku minutach wrócił do rozmowy. Wykorzystał moment, kiedy petent przycichł, by nabrać powietrza.

- Nazywa się pan Waclaw Kmiotek, prawda? - zapytał.

Po drugiej stronie zapadło milczenie.

- Tak - odchrząknął po chwili głos, z wahaniem i nadzieją. A nuż doszło do pomyłki i da się to jakoś odkręcić?

- Niech spojrzę... - Damian udał, że czegoś szuka. - Takie samo nazwisko figuruje pod umową kredytową o numerze KH 1840/2009. Czy to pana podpis?

- Tak, ale...

- Ten sam charakter pisma widnieje na wniosku kredytowym, regulaminie kredytów hipotecznych oraz tabeli opłat, a parafa WK znajduje się na każdej ze stron umowy. Czy sugeruje pan, że dokumenty, które wymieniałem, zostały sfałszowane?

- Nie, ale to nie zmienia faktu...

- Fakty są takie, że podpisując umowę, przyjął pan na siebie określone zobowiązanie na warunkach, które pan poznał i zaakceptował.

- Niezupełnie.

- Czy nie zgłosił pan chęci zaciągnięcia kredytu pod zakup nieruchomości przy ulicy Retkińskiej 14, lokal 9?

- Zgłosiłem, ale... - próbował protestować Kmiotek.

- Czy na etapie podpisywania umowy zgłaszał pan zastrzeżenia co do proponowanych przez bank warunków?

- Nie miałem świadomości ryzyka związanego ze zmianą kursu walut.

- To ciekawe, ponieważ taką świadomość potwierdził pan podpisem znajdującym się pod osobnym oświadczeniem, stanowiącym załącznik do umowy. Czyżby był pan niepoczytalny?

- Oczywiście, że nie!

- Ja również nie śmiałbym twierdzić inaczej. Głęboko wierzę w moc pańskiego słowa danego bankowi. Jest pan odpowiedzialnym człowiekiem, panie Wacławie. A odpowiedzialni ludzie dotrzymują obietnic.

Damian odłożył słuchawkę i postawił plusik w tabeli liczącej kilkadziesiąt pozycji. Sam ją zaprojektował. Podzielona na wiersze i kolumny oznaczone kolorami stanowiła narzędzie jego pracy. Każdy klient wraz z drobiazgową historią współpracy z bankiem, w tym przebiegiem czynności windykacyjnych, miał w niej swoje miejsce. Szefowi bardzo spodobał się ten system, dlatego pozostali pracownicy w dziale musieli opracować podobne tabele. Damian poprowadził instruktazową prezentację, a szef nie tylko zjawił się na niej osobiście, ale i udzielił mu oficjalnej pochwały.

Damian lubił porządek. Uwielbiał sortować, systematyzować i usprawniać. Studia ekonomiczne utwierdziły go w przekonaniu, że światem rządzą proste prawa, a ich przestrzeganie wystarczy, by wieść harmonijne, spełnione życie. Nie było w tym żadnej filozofii. Życie to matematyka, jak dwa plus dwa to cztery.

Porządek nigdy go nie zawiódł i sprawdzał się na wszelkich możliwych polach. Czysta, perfekcyjnie wyprasowana koszula i wypastowane buty ułatwiły mu otrzymanie dobrej pracy. Opanowanie i niczym niezachwiany wewnętrzny spokój wzbudzały w ludziach szacunek i pozwalały uniknąć skomplikowanych relacji. Regularny sport rzeźbił sylwetkę i usuwał napięcia, które mogłyby narobić niepotrzebnego bałaganu w ciele i umyśle. A przemyślany plan finansowy gwarantował sukces materialny.

Zdumiewało go, że większość ludzi nie dostrzega tych prawidłowości i z rozmysłem pogrąża się w chaosie. Nie panują nad rozchwianymi emocjami, instynktami, dziecinnymi zachciankami. Chcą konsumować, doznając natychmiastowych przyjemności i wydając więcej, niż zarabiają. Dają się ponieść żłudnym porywom uczuć, żyją w sposób nieprzemyślany. Nie wiedzą, dokąd zmierzają, więc nigdy tam nie dotrą.

Na takich ludziach zarabiał bank, w którym pracował Damian. To oni co miesiąc rzucali się na jego atrakcyjne wynagrodzenie. Choć czasem było mu ich żal, przede wszystkim czuł wobec nich wdzięczność. Dlatego lubił z nimi rozmawiać.

Damian wysunął szufladę biurka i wyciągnął z niej srebrny obcinacz. Przyciął za długi o kilka milimetrów paznokiec, który wyrwał się przed szereg pozostałych. Następnie podświetlił kursorem kolejny wiersz w tabeli i wybrał wskazany w nim numer telefonu.

Rozdział czwarty

Weronika

Dzwonił do niej codziennie rano, kiedy jeszcze leżała w łóżku. Punkt ósma, jak w zegarku. Przyzwyczaiła się i przestała nawet nastawiać budzik. Zresztą i tak nie musiała, przecież nie wstawała do pracy. Wciąż o tym zapominała.

Zazwyczaj mężczyźni nie pamiętają o telefonie, nie dbając o to, że w sercu kobiety rozgrywa się wtedy lokalny dramat. Ale on pamiętał, choć spotkali się tylko raz. Solidna firma. Obiecywał zadzwonić następnego dnia i zawsze dotrzymywał słowa. Mogłaby zacząć czuć się przy nim bezpiecznie, ale tego by nie chciał. O, nie. Jego zadaniem było budzić jej strach.

- Dzień dobry, mówi Damian Małek, czy rozmawiam z panią Weroniką Lange?

- Nie zapamiętał pan jeszcze mojego głosu?

- Dzwonię z działu windykacji Fraier Banku.

- Czy naprawdę musimy odgrywać to za każdym razem? Rozmawiamy codziennie.

- Uprzedzam, że w trosce o jakość naszych usług wszystkie rozmowy są nagrywane. Do dziś nie odnotowaliśmy wpłaty zaległych należności z tytułu pani kredytu hipotecznego. Kiedy możemy spodziewać się wpłaty?

- Bóg raczy wiedzieć. - Weronika przeciągnęła się w pościeli.

- Co mam przez to rozumieć?

- Nie wiem.

- Czy mogę prosić o bardziej precyzyjną odpowiedź?

- Nie wiem, kiedy będę mogła zapłacić. Wciąż nie znalazłam pracy.

- Okres obowiązywania ubezpieczenia kredytu w razie utraty pracy, jakie pani wykupiła, dobiegł końca. Nie przedłużyła pani polisy.

- Już mnie pan o tym informował.

Weronika wpatrywała się w wystające spod kołdry paznokcie u stóp, zastanawiając się, czy śliwkowy lakier odchodzi już na tyle, że trzeba go zmyć i nałożyć ponownie. Niedawno zrobiłaby to bez zastanowienia, ostatnio jednak coraz poważniej rozważała zamalowanie samych odprysków.

- W związku z nieuregulowanymi płatnościami bank rozpoczął naliczanie karnych odsetek. Koszt naszej rozmowy także zostanie doliczony do kwoty pani zadłużenia.

- Proponuję więc się rozłączyć, aby zatrzymać licznik.

- To nie jest pora na żarty. Bank może w każdej chwili wypowiedzieć umowę kredytową i dokonać przejęcia lokalu.

Ale jakoś nie wypowiadał. Za to pan Damian obiecywał kolejny telefon i na pożegnanie wygłaszał jeszcze kilka groźnych zdań, odwołując się do uczciwości Weroniki. Na przykład:

- Podpisała pani umowę z bankiem w pełni świadomie. Musiała sobie pani zdawać sprawę, na co się decyduje.

Cóż, nie była o tym przekonana.

Decydowała się na trzypokojowe mieszkanie. Wybierała je długo i z uwagą. W

budynku z cegły (nie w wielkiej płycie), rozkładowe (dobra wentylacja), słoneczne (suche i ciepłe), na pierwszym piętrze niskiego bloku (bez zsyków i hałaśliwej windy). Ciche, z widokiem na zielen, nie szczytowe (bo zimne), nie parterowe (bo głośne i narażone na włamania). Rozsądna cena dopiero teraz zaczynała wydawać się jej absurdalna. Zapisywała się na ustawny salon, zgrabną, osobną kuchnię i przytulną sypialnię. Oraz gabinet urządzony w najmniejszym pokoju, wymiennie pełniącym rolę gościnnego. W pakiecie kupiła też atrakcyjną wersję samej siebie – zaradną, niezależną i przewidującą. Spłacającą kredyt w terminie i cieszącą się mądrą, podjętą odpowiednio wcześniej inwestycją. Nie podpisywała umowy na Weronikę-bankrutkę, niewypłacalną i niepewną jutra. Niegodną zaufania oszustkę, za którą wysyła się listy gończe. Załamana, pogrążona w depresji nędzarce, lada dzień mogącą trafić na bruk.

To jakaś pomyłka.

Weronika wstała z łóżka, wsunęła przybrudzone kapcie, choć zamierzała je wyrzucić, zanim zaczęła oszczędzać, i stanęła przed lustrem. Odgarnęła z czoła grzywkę i niechętnie spojrzała w swoje podkrążone oczy. Nie podobało jej się to, co w nich zobaczyła. Otworzyła drzwi do łazienki. Kiedy ją urządzała, wybrała prostokątne białe kafelki, by przypominały paryskie metro.

Kochała to miasto. Dwa razy w roku, jesienią i na wiosnę, leciała tam na kilka dni. Lubiła patrzeć, jak drzewa pokrywają się kwiatami i żółtymi liśćmi. Nie interesowały jej galerie i butik, całe dnie spędzała na ulicy. Spacerowała i przysiadła w narożnych knajpkach oblepiających kamienice, skąd jak z łoża, obserwowała fascynujący spektakl francuskiej codzienności. Mogła godzinami patrzeć na doskonale w każdym calu kobiety, świetnie ubranych mężczyzn i egzotycznej urody niańki, prowadzące francuskie dzieci, wystrojone w miniaturowe trencze i lakierowane buciki. Przez uchylone okiennice zaglądała do przestronnych, stylowo urządzonych mieszkań, które w lepszych dzielnicach kosztowały po dziesięć tysięcy euro za metr. Wyobrażała sobie, jak wygląda życie kogoś, kogo na nie stać. Marzyła, że kiedyś się o tym przekona.

Ale teraz była od tej wiedzy dalej niż kiedykolwiek. Dzieliło ją od niej jakieś pół miliona. Na dziś mniej więcej tyle wynosiło jej zadłużenie.

Kinga

Po kilku tygodniach zaczynała dostrzegać, że Łódź jest dziwnym miastem. Niby miało wszystko, co trzeba – sklepy, kina i uczelnie, a nawet lotnisko. Ale coś się nie zgadzało. Weźmy na przykład Stare Miasto. Ucieszyła się, kiedy odkryła je na mapie niedaleko osiedla Fabryczna, gdzie mieszkały z ciotką, i w pierwsze wolne popołudnie zaplanowała spacer. Czego się spodziewała? Może kawiarenek, pastelowych kamieniczek i spadzistych dachów kościołów, jakie widywała na pocztówkach z innych miast. Sklepików z pamiątkami, galerii sztuki i sztalug malarzy sprzedających akwarele. Życia, którego na Starym Rynku nie było.

Odrapane arkady w odcieniu wyblakłego błękitu otaczały zarośnięty skwer.

Splówiały parasole, reklamujące browary, rzucały cień na stolik ze zszarzałego plastiku. Siwe chmury zasnuwające niebo nie przepuszczały ani smużki światła, które mogłoby ożywić zgaszone kolory i przerwać panujące wokół uśpienie. Jeśli starówki mewają klimat południowej sjesty, ta łódzka przypominała ciężki, otępiający sen pacjenta w stanie depresji. I okna. W całej okolicy w budynkach brakowało okien. Wzdłuż jezdni biegły mury pozbawione otworów, jakby kamienice odwracały wzrok, brzydząc się światłem i kryjąc swoje mroczne wnętrza przed wzrokiem przechodniów. Tutejsze ulice nie życzyły sobie towarzystwa.

Kinga była też zawiedziona tym, że poza wielkimi galeriami prawie nie znalazła mniejszych butików z konfekcją, a przecież to z nich zamierzała najwięcej się uczyć. Chciała podpatrywać kroje i tkaniny różniące się od tych sprzedawanych w sieciówkach, rozmawiać z właścicielami, może pewnego dnia znaleźć tu pracę. Ale w ostatnich przyczółkach, opierających się inwazji galerii i lumpeksów, jak sklep odzieżowy Żulietta przy Zgierskiej, jedyny trend stanowiła zapowiedź schyłku. Uczyła się więc w galerii. Elka towarzyszyła jej przez kilka tygodni i mimo swojego przewrażliwienia, najpewniej spowodowanego odmiennym stanem, okazała się skarbnicą wiedzy. Nie tylko modowej, ale i tej bardziej uniwersalnej. Słusznie centrum handlowe nazywano galerią – każdego dnia Kinga mogła podziwiać tu przegląd ludzkich typów i zakupowych nawyków.

- Trafiają do nas głównie kobiety – tłumaczyła Elka. - Czasem w eskorcie znudzonych sponsorów lub gorliwych zalotników w początkowej fazie znajomości, ale najczęściej same lub z przyjaciółką. Nie wiadomo, co gorsze.

Lekko posapując, oparła się o zewnętrzną ściankę przymierzalni, podczas gdy Kinga porządkowała wieszaki z ubraniami, które nie przeszły selekcji klientek.

Na potwierdzenie tych słów zza kotary przymierzalni rozległ się pisk:

- Wyglądasz bosko!

Kinga zerknęła przez ramię. Przez szczelinę w niezaciągniętej do końca zasłonie dostrzegła trzeszczącą w szwach blondynkę w elastycznej minisukience. Wciśnięcie się w nią musiało kosztować sporo trudu. Ciasny pas żółtego materiału bezlitośnie obłapiał wydatne biodra, brzuch i pośladki, jednocześnie tłamsząc nieduże piersi. Spętana w sztuczne włókna skóra zaczynała się pocić, o czym świadczył rumieniec oblewający twarz dziewczyny. Obrazowi rozpaczy z satysfakcją przyklaskiwała jej przyjaciółka.

- Cudnie!

- Naprawdę tak sądzisz? – upewniła się opięta. W jej głosie niepewność mieszała się z kokieterią.

- Ta kiecka jest obłędna. Idealnie podkreśla twoją kobiecą sylwetkę – kusiła koleżanka. - Sam seks.

- Co ona bredzi? – szepnęła Kinga. - Blondynka wygląda jak parówka. Ciasne wdzianko i legginsy do połowy łydki przecinają jej ciało w najszerszych miejscach, skupiając na nich wzrok. Poza tym żółty to dla niej fatalny kolor.

Elka w zamyśleniu pokiwała głową.

- A rozmiar? Nie za mała? – upewniał się serdelek. - Noszę raczej L niż M.

- Coś ty! Przecież schudłaś. Chyba nie chcesz chodzić w rozwleczonym worze. Ciuch musi przylegać i trzymać figurę w ryzach!

Kinga kątem oka spojrzała na świetnie ubraną doradczynię, która recytowała z pamięci gotowe formułki, nie podnosząc wzroku znad ekranu smartfona.

- Czemu ona to robi? - zapytała szeptem Elki.

- Może podoba im się ten sam facet albo rywalizują w pracy. Albo ot tak, bez powodu. Na wszelki wypadek.

- Powinnam tam wejść i ocalić tę małą przed katastrofą.

- Ani mi się waż. To nie prowincjonalny sklepik, tu klientki nie lubią, gdy im się narzuca. Obsługa ma być dyskretna i nie odzywać się niepytana.

- Skreca mnie, gdy na to patrzę!

- To ugryź się w język - syknęła Elka. - Nikt cię tu o nic nie prosi ani nie podziękuje. Klientka się obrazi, a tobie polecą po pensji. Zapamiętaj to sobie. Siedź cicho i rób swoje.

Więc Kinga robiła. Wykorzystywała czas, żeby podpatrywać działanie sklepu. Elka miała rację, jako nowa musiała odsłużyć swoje, dlatego mnóstwo czasu spędzała na zapleczu. Dzięki rozpakowywaniu i metkowaniu nowych kolekcji mogła dokładnie przyglądać się wzorom i fasonom. Zapisywała te, które szczególnie jej się podobały.

Sieciówka aspirowała do miana luksusowej. Poza produkowaniem standardowej masówki, podążała za aktualnymi trendami, kopiując pomysły światowych projektantów. Kinga szybko wyczuła w tym fałsz. Sztucznym, tanim tkaninom rodem z bazaru azjatyckie szwaczki nadawały bardziej awangardowe kroje, dzięki czemu sieć mogła narzucać wyższą marżę. Czasami naciąganie klientek przypominało otwarte kpiny, mimo to okazywało się zdumiewająco skuteczne. Nie mogła wyjść ze zdumienia i uważnie studiowała ich zakupy przy kasie.

Zręczni marketingowcy umieli wylansować coś, co nawet ona, dziewczyna z prowincji, uważała za bezguście. Pozłacane świecidełka, pstrokate poliestrowe tuniki, ozdobione dżetami torebki z imitacji skóry - klientki wchłaniały wszystko, co zalecały bliżej nieokreślone modowe autorytety. Gdy odpowiednio wysoka kwota na metce nadawała rzeczy status luksusowej, decydowały się na zakup z zamkniętymi oczami - bo Kinga nie mogła uwierzyć, by choć raz spojrzały w lustro w przymierzalni.

Sama знаła wartość dobrych ubrań. Perfekcyjnie skrojone, z dobrych tkanin mogły służyć latami. Maskowały mankamenty i podkreślały walory ich właścicierek. W dobrze dopasowanej garderobie tkwiła niezwykła siła. Właściwy strój mógł zmienić nie tylko czyjeś samopoczucie, ale całą osobowość, a nawet - życie. To dlatego kobiety nałogowo chodziły na zakupy.

W ciągu kilku tygodni nauczyła się rozpoznawać zdesperowane singielki, starzejące się i zaniedbywane przez mężów żony, kochanki strojące się na schadzki i umęczone matki, które pragnęły odzyskać namiastkę utraconej kobiecości. Wszystkie kupowały pod wpływem poczucia pustki, domagającej się zapełnienia czymkolwiek, na przykład stertą ubrań. Rzuciły się w wir zakupów, kiedy przeżywały osobiste dramaty, albo wtedy, kiedy nic się nie działo. Po kilku dniach wracały ze spuszczonego wzrokiem nałogowca, cicho zgłaszając chęć zwrotu. A potem znów szukały idealnej kreacji, by stać się lepszą wersją samych siebie. Chciały się poczuć piękniejsze, młodsze, lepsze. A najczęściej po prostu inne niż

zawiedziona swoim życiem postać, którą codziennie widywały w lustrze.

Kinga nie musiała szukać swojej wymarzonej kreacji. Odkryła ją tydzień po rozpoczęciu pracy i od tamtej pory codziennie podziwiała. Kiedy kończyła zmianę i spieszyła do domu ciotki, skarżące się na jej późne powroty, na kilka chwil zatrzymywała się przed wystawą ekskluzywnego butików i patrzyła. Zazwyczaj było to tuż przed zamknięciem galerii. Załoczone korytarze pustoszały, a zamiast gwaru i muzyki wypełniał je szcęk opuszczanych rolet. Kinga stała i patrzyła, dopóki witryny nie przysłoniła metalowa kurtyna. Na srebrnym manekinie upięto koktajlową sukienkę z czerwonego jedwabiu. Zgrabnie zarysowane ramiączka, doskonale skrojony, sięgający lekko za kolana klosz, szlachetny materiał opływający ciało jak woda i przylegający do niego lepiej niż skóra. Kreacja marzenie stworzona z miłości do kobiecego ciała. Zaprzyjaźniona ekspedientka zachęciła Kingę, by ją przymierzyła. Przed lustrem stał wtedy ktoś zupełnie inny niż niska, opatulona w czarną kurtkę dziewczyna, odbijająca się w szybie u stóp karminowego cuda.

Dwa tysiące. Mała fortuna, ale w tym przypadku cena nie grała roli. Bo Kinga nie musiała mieć tej sukienki. Nie próbowała jej nawet wypożyczyć, co dyskretnie zasugerowała znajoma, instruując, jak wywabić zapach perfum i przypiąć usuniętą metkę. Nie skorzystała, bo nie zależało jej na tym, żeby ją nosić. Chciała takie tworzyć.

Podobne projekty nosiła w sobie od dziecka. Czekają na odpowiedni moment, aż zostaną powołane do życia i wyjdą poza kartki szkicowników. Ujrzałyby światło dzienne, gdyby tylko dostała szansę. Być może nadszedł czas, by sama ją sobie wzięła.

Damian

- Wreszcie weekend. - Szczepan przeciągnął się przed monitorem, odchylając się w obrotowym fotelu. - Nie chce mi się wracać do chaty. Skoczmy na browara.

Damian spojrzał na zegarek. Wolałby dokończyć to, co miał do zrobienia, ale wiedział, że trzeba integrować się z zespołem. Wystarczy kilka razy się wykręcić i wypadasz z obiegu.

- Ktoś jeszcze się wybiera? - zapytał, grając na czas.

Szczepan rzucił hasło w open spejsie. Odpowiedział tylko Robson. Niedobrze. Ci dwaj nie znali umiaru. Należeli do gości, którzy nie potrafią lub nie chcą wyczuć zrozumiałego dla wszystkich końca imprezy. Pili, dopóki zmęczony nieskutecznymi aluzjami gospodarz lub ktoś z obsługi nie wyrzucił ich za drzwi. To też ich zresztą nie zrażało. Kierowali kroki do najbliższej stacji benzynowej i zaopatrzeni w dziale monopolowym kontynuowali bal pod gołym niebem, gdzie zastawał ich świt.

- Doskonale - podsumował Szczepan. - Dam stawia karniaka za zeszły tydzień.

Zjechali windą, wyszli z budynku i skręcili w Piotrkowską. Nie chciało im się szukać, mieli swoją ulubioną miejscówkę. Rozsiedli się na pikowanych siedziskach z wiśniowej skóry, podrabianych na amerykański pub. Dziewczyna w kusych spodenkach i rozpiętej koszulce polo z wybielonym uśmiechem podała im trzy karty.

Kelnerki zawsze jaśniały na widok trzydziestolatków w błękitnych koszulach. W piątki faceci z banków nie nosili krawatów. Rękawy podwijali do łokci, epatując seksownym luzem. W każdym razie chcieli w to wierzyć.

- Fajna - mlasnął Szczepan, odprowadzając wzrokiem kelnerkę po tym, jak postawiła przed nimi trzy kufle.

Szła z powrotem w kierunku baru, kołysząc biodrami w rytmie rocka wibrującego z głośników zawieszonych nad podświetlonym barem.

- Ja pasuję, okresowo jestem grzeczny. - Robson wziął głośny łyk piwa.

- Jak ma na imię tym razem? - zapytał Szczepan.

- Sandra.

- Że też one ci się nie mylą! Nigdy nie wpadłeś, zwracając się do którejś niewłaściwym imieniem?

Robson rozwiódł się dwa lata temu. Od tamtej pory monogamię wyznawał tylko w wydaniu seryjnym. Trzymał się przy tym jednej reguły - dziewczyny musiały być dużo od niego młodsze i bardzo ładne. Oraz drogie w utrzymaniu, co Robson akceptował jako koszt uzyskania przychodu.

- Sandra to nietypowe imię. Łatwiej zapamiętać - wysilił się Damian. Nie czuł się wprawny w piwnych pogawędkach.

- Ile mu dajemy? - Szczepan zwrócił się do niego. - Trzy miesiące?

- Drwij. - Robson nie podjął zaczepki. - Za to dla ciebie jest już za późno.

- Masz, cholera, rację. Parę lat młodszy, a wyprzedziliście mnie o całą epokę. Czuję się przy was jak stary pierdziel.

Szczepan co tydzień narzekał na swoje życie. Piątkowy wieczór był jedyną chwilą wolności, którą wytargował u swojej żony. Doprowadzał się wtedy do stanu absolutnej ruiny, bo wiedział, że kiedy wróci do domu, ona i tak będzie wściekła. Dawał się więc sponiewierać na zapas, a w sobotę na potwornym kacu przeżywał mdłe męki w jazgocie sali zabaw, dokąd udawał się ze swoimi czteroletnimi bliźniaczkami. Bo w soboty wychodne miała żona i tutaj niezależnie od kondycji małżonka nie było żadnego zmiłuj. Szczepan, nie wykazując za grosz ojcowskiej inwencji, tydzień w tydzień z nieświeżym oddechem i przekrwionymi oczami włókł się do Figloraju, gdzie powierzał dziewczynki w ręce opiekuna, a sam pokrzepiał się w tym czasie kebabem.

- Łyknałem ślub jak pelikan - biadolił już w pierwszej połowie piwa. - W dodatku zrobiłem to na własne życzenie. Przecież nawet nie wpadliśmy.

- Oświadczyłeś się, bo po siedmiu latach związku nie chciałeś być chujem - przypomniał mu Robson.

- I sam się w niego zrobiłem. Mam trzydzieści pięć lat i czuję, jakby moje życie już się skończyło.

- Zawsze możesz się rozwieść, jak Robson - podpowiedział Damian.

Szczepan parsknął gorzkim śmiechem.

- Nie stać mnie. Jowita wyczyściłaby mi konto. Musiałbym się wynieść, a kredyt i alimenty co miesiąc i tak schodziłyby mi z pensji. Wolę już zostać u siebie niż tulać się po kawalerkach.

Robson wzruszył ramionami.

- Nie truj. Większość ludzkości ma gorzej od ciebie.

Damian nie podzielał jego zdania. Szczepan zarabiał kilka średnich krajowych, ale co miesiąc wydawał wszystko do ostatniej złotówki. Wysokie koszty utrzymania jego rodziny nie pozwalały mu na zgromadzenie jakichkolwiek oszczędności. Kredyt na szeregówkę na strzeżonym osiedlu, dwa samochody, rachunki za kablówkę, Internet i telefony, zakupy i zabiegi kosmetyczne żony, porządne służbowe ciuchy dla niego, rodzinne wypadki do galerii i kina. Zimą narty w Alpach, latem wakacje na południu Europy, weekendowe obiady w restauracjach, a co piątek otwarty rachunek w knajpie. Do tego siłownia, markowy sprzęt sportowy i abonament w gabinecie masażu. Szczepan był niewolnikiem stałych opłat. Mimo ponadprzeciętnej pensji niczym nie różnił się od najemnika zarabiającego tylko tyle, by przetrwać do pierwszego.

- I tak przez następne trzydzieści lat - westchnął, trzema palcami zamawiając następną kolejkę. - Nawet nie miałbym siły kręcić na boku. Kiedyś zresztą próbowałem, ale Jowita zrobiła mi taki armagedon, że do dziś chodzę spuchnięty. Zanim się zorientuję, obudzę się jako stary dziad w tym samym punkcie, w którym jestem dziś.

- Ale z uregulowanym zadłużeniem - pokrzepił go Damian.

Robson kopnął go w kostkę, a sam odpiął dwa guziki koszuli, kiedy czerwone szorty ponownie pojawiły się przy ich stoliku. Kelnerka pochyliła się nad blatem, stawiając na nim trzy piwa. Wszyscy spojrzeli w jej dekolt.

- Bliźniaczki szybko dorosną - pocieszał Robson. - Zejdą ci ze stanu.

- Wtedy dopiero się zacznie. Każdej trzeba będzie kupić mieszkanie. Jesteśmy z Jowitą przyjezdni, więc żadnego nie odziedziczymy. Do tego kasa na studia, na pierwszy samochód i na ogólny życiowy rozbieg.

- Może wyjdą bogato za męża.

- Marzenia. Znajomym rodzą się same dziewczynki. Nawet jeśli znajdą się chętni naiwniacy, będę musiał dołożyć posag, by się nie rozmyślili. Poza tym faceci zmądrzeli, jak wy. - Podniósł kufel. - Nauczyliście się na moich błędach.

- Ja wyślizgałem się rzutem na taśmę, bo nie zrobiłem dzieci - zaśmiał się cierpko Robson - ale żonę i tak musiałem spłacić. Dostaliśmy kawalerkę od starych. Teraz to moja garsoniera.

- Tylko młody ma czysty rachunek. - Szczepan poklepał Damiana po plecach. - Może w pełni korzystać z życia.

- Jest na to za sprytny. Kobiety kosztują, a on o tym wie.

Robson był bliski prawdy. Większość kobiet rzeczywiście narażała mężczyzn na straty. Ale nie wszystkie. Damian zmądrzał po tym, gdy przeżył zawód miłosny i na kilka miesięcy dał się wytrącić z równowagi i doprowadzić do zachowań, których teraz się przed sobą wstydził. Od tamtej pory wybierał towarzystwo kobiet wolących dawać niż brać.

Zauważył, że żeński świat dzieli się na wampirzyce i opiekunki. Podczas gdy pierwsze piętrzą wymagania i ciągle czegoś oczekują, drugie pragną jedynie tego, aby mężczyzna pozwolił im się sobą zająć. Co prawda czasem dziewczyny próbowały podszywać się pod opiekunki (jak żony Robsona i Szczepana), by po kilku miesiącach związku, kiedy poczuły się pewniej, zacząć stawiać żądania. Jeśli dobrze się zastanowić, każda kobieta nosiła w sobie potencjalną wampirzycę, ale

odpowiednio pokierowana, nie dopuszczała jej do głosu. Opiekunkami zazwyczaj zostawały kobiety mniej pewne siebie lub z jakichś powodów nieatrakcyjne: starsze, grubsze, brzydsze. Damian na pierwszy rzut oka potrafił stwierdzić, że biuściasta kelnerka kręcąca tyłkiem na pewno do nich nie należała.

- Idziemy? - zapytał. - Zgłodniałem.

Od czasów, kiedy handel z głównego deptaku miasta przeniósł się do Manufaktury, w nocy Piotrkowska stawała się bardziej tłoczna niż za dnia. Po zmroku taksówki i tramwaje zwoziły tu tych, którzy z udawaną obojętnością szukali szczęścia. Jakby ktoś nagłym podmuchem wygarnął na ulicę ludzki kurz zalegający w najgłębszych zakamarkach miasta. Wzniesiony przypadkowym powiewem, chwilę wirował w tumanie chaotycznych zbliżeń, by nad ranem znów wytrącić się w pojedyncze pyłki i bezwładnie opaść. Co weekend miejski wiatrak miał wciąż to samo stęchłe powietrze.

Trzech młodych pracowników banku stanowiło łakomy kąsek dla łowców komórek i portfeli. Starając się nie rzucać w oczy, zjedli po tłustej zapiekance z okienka, próbując nie zachlapać markowych koszul ściekającym po palcach majonezem. Potem zamówili taksówki i rozjechali się na trzy strony miasta. Na tylnym siedzeniu kontrolnie obwąchiwali swoje pachy i odświeżali oddechy gumą do żucia. Na każdego z nich czekała niezadowolona kobieta.

- Jest środek nocy. Mogłeś zadzwonić - usłyszał Damian w przedpokoju.

Kiedy tylko przekręcił klucz w zamku, w mieszkaniu rozbłysło światło.

- Myślałem, że śpisz.

- Tyle razy cię prosiłam. Co to za filozofia wysłać esemesa?

- Zapomniałem.

- Piłeś?

- Tak. Z kolegami. To chyba dozwolone?

- Ostatnio często ci się to zdarza. Są inne sposoby na odreagowanie stresu po pracy.

- Wiem. Już o tym rozmawialiśmy.

- Jesteś głodny?

- Nie. Jadłem po drodze.

- Kładziesz się?

- Za chwilę.

Damian z ulgą zamknął za sobą drzwi łazienki. Szorując ręce białym mydłem, uśmiechnął się do lustra. Ciekawe, czego wysłuchiwali teraz Szczepan i Robson. Coś ich jednak łączyło.

Dokończył wieczorną toaletę, przebrał się we flanelową piżamę i zgasił światło. Stał w uchylonych drzwiach sypialni i spojrzał na zarys kobiecej sylwetki leżącej w pościeli.

- Dobranoc, mamó - szepnęła i poszedł do swojego pokoju.

Łucja

Po zmroku w biurowcu wszystko cichło, a zamiast halogenowych lamp paliły się tylko małe świetlówki nad recepcją. Siedziała w niej jak na wysepce w morzu ciemności rozlewającej się po wymarłym budynku. Dopiero wieczorami znajdowała chwilę, żeby odwinąć z papieru kanapki i odkręcić termos. Dobrze trzymał ciepło, po całym dniu herbata wciąż była gorąca. Łucja oparła się na krześle i zsunęła pantofle z opuchniętych nóg. Uciskowe rajstopy przeciw żylakom niewiele pomagały, gdy tyle godzin spędzała na siedząco. Plecy zupełnie jej zeszywniały. Co jakiś czas starała się wstać i trochę poruszać, ale w ciągu dnia ledwie znajdowała czas na toaletę. Teraz z rozkoszą wyciągnęłaby się na swojej wersalce, ale znów musiała wytrzymać do ósmej rano. W szafce miała koc, mimo to skrecona na krześle nijak nie mogła się ułożyć do snu. Zresztą jakby to wyglądało, gdyby ktoś zjawił się tu w środku nocy? Kto wie, może pracodawca urządza kontrole, a przecież nie płacą jej za spanie. Gdyby chociaż mogła popatrzeć w telewizor... Marta tłumaczyła jej coś o filmach w komputerze, ale w natłoku informacji Łucja nic z tego nie zapamiętała. Nie chciała próbować na własną rękę, by niczego nie zepsuć.

Podeszła do szklanych drzwi i wyjrzała na parking, ale budka strażnika tonęła w ciemności. Najwyraźniej jemu udało się zasnąć. Wróciła na swoje miejsce, okryła się kocem i wyciągnęła z torebki różaniec. Zaczęła przesuwając paciorki, szepcząc słowa modlitwy. Jej usta poruszały się w ustalonym rytmie, ale w głowie wyświetlały się najróżniejsze sprawy do powierzenia Opatrzności. Pokój na świecie. Wieczny odpoczynek dla dusz czyścicowych. Zdrowie i dobrostan dla całej rodziny, w szczególności zaś dla Dudusia, bo w jego intencji Łucja modliła się najczęściej.

Żałowała, że tak rzadko się widują. Choć mieszkali w jednym mieście, pęd życia bez litości rozdzielał pokolenia. Chłopak studiował, potem poszedł do pracy i przestał mieć czas na odwiedziny u babci. Łucja to rozumiała, nie miałyby serca się narzucać. Duduś musiał się skoncentrować na tym, co najważniejsze, i ciężko pracować na swoją przyszłość. A do roboty nie trzeba go było naganiać. Pilny i staranny, szedł przez życie jak po maśle. Dobrze się uczył, nigdy nie wpadł w złe towarzystwo, nie bumelował, nie narobił głupot. Sama pociecha. Jedyne, co Łucji spędzało sen z powiek, to jego dziewczyna, a właściwie jej brak. Co za strata. Taki wspaniały młody człowiek, a zapracowuje się i nie pozwala sobie na chwile wytchnienia. Nadgodziny i dojazdy do pracy kradną mu młodość, zabierają czas potrzebny na obcowanie z ludźmi. Na przykład ze swoją babcią, która chciałaby widywać go nie tylko od święta. Następny dziesiątek różańca zmówiła w tej intencji.

Wierzyła w moc swoich modlitw, o czym najlepiej świadczyły sąsiadki. Zawsze wymodliła to, o co ją prosiły. Zdrowie dla męża, rozwiązanie problemów finansowych zięcia, powodzenie na maturze wnuczki – załatwione. Nie przypuszczała jednak, że jest aż tak skuteczna. Nie wierzyła własnym oczom, kiedy rano w obrotowych drzwiach biurowca ujrzała swojego wnuka.

Szykowała się właśnie do odmeldowania ze zmiany, kiedy go zobaczyła. Szedł z kolegą, rozmawiali. Co za wspaniały widok! Dwaj przystojni młodzi mężczyźni, wyprostowani, w eleganckich płaszczach. Jakby wycięci z żurnala. Paniusie w szpilkach musiały się za nimi oglądać. Łucja uśmiechnęła się od ucha do ucha,

unosła dłoń i pomachała. Dopiero wtedy ją zauważył. Zamilkł w pół słowa, ale nie zareagował. Kolega zauważył jego zaskoczenie i spojrzał w kierunku recepcji.

- Widziałeś? - zapytał, wskazując brodą w kierunku Łucji. - Same staruchy i inwalidzi. Kiedyś wszyscy skończymy na portierni.

Zarechotał głośno, kiedy wchodził do windy. Duduś bez słowa poszedł za nim, nie oglądając się za siebie. Zniknął za srebrnymi skrzydłami zasuwanych drzwi, a wraz z nim kawałek serca Łucji.

Rozdział piąty

Kinga

Łagodne jazzowe tło, wprawiające w zakupową niefrasobliwość i odwracające uwagę od przykrego obowiązku wyciągnięcia portfela, zostało brutalnie przerwane chropawym wezwaniem z głośnika. „Kinga proszona na zaplecze, Kinga proszona na zaplecze”. Zazwyczaj nie oznaczało to dobrych wieści. Albo należało się z czegoś się wytłumaczyć, albo bez zbędnych ceregieli brać się do roboty.

Sylwia, szefowa zmiany, czekała za mikroskopijnym biurkiem, wciśniętym między piętrzące się kartony i foliowe worki. Nie uśmiechała się, w czym zresztą nie było niczego nadzwyczajnego. Jej usta wydawały się ściągnięte równie mocno, co tleniony kucyk, opadający na czarną koszulę, odróżniającą kierownictwo od reszty pracowników chodzących w T-shirtach. Kinga wstrzymała oddech. Podejrzewała, o co chodzi, a przynajmniej miała taką nadzieję.

- Skąd ci to przyszło do głowy? - Sylwia wskazała blat biurka, a na nim niebieski sweterek z przypiętą pod szyją amarantową muszką.

- Pomyślałam, że tak będzie ciekawiej.

- Następnym razem nie myśl. Przynajmniej nie samodzielnie.

- Ale... - zaczęła wyprostowana na baczność Kinga.

- Nie pytając o zgodę, przemieszałaś konfekcję z biżuterią, wprowadzając bałagan między działami. Klientki mogły sądzić, że kupują zestaw, a za każdą rzecz musiały zapłacić osobno. Poza tym przypinki niszczą odzież, bo w materiale robią się dziury. Powinnaś za to wylecieć, ale twoja kompozycja rozeszła się w jeden dzień. We wszystkich rozmiarach. - Sylwia rozluźniła mięśnie twarzy, co w jej przypadku mogło uchodzić za cień uśmiechu.

- Te rzeczy gorzej się sprzedawały. Chciałam pomóc.

- Następnym razem zapytaj.

- Czyli mogę proponować podobne rozwiązania? - powstrzymywała się, by nie zabrzmieć przesadnie entuzjastycznie.

- Zobaczymy. Na początek możesz pomagać przy wystawach.

Kinga tylko na to czekała. Równie dobra okazja nieprędko mogła się powtórzyć.

- Mam więcej propozycji. Chciałabym ci coś pokazać.

Sięgnęła do szafy z przesuwanymi drzwiami, w której pracownicy trzymali swoje osobiste rzeczy. Wyjęła zapinaną na gumkę kartonową teczkę z czarno-białym zdjęciem Audrey Hepburn.

- Co to jest? - zapytała Sylwia.

- To moje. Myślisz, że firma mogłaby być tym zainteresowana?

Szefowa otworzyła teczkę i wyciągnęła szkice. Przeglądała je bez słowa, na każdym z nich przez kilka chwil zatrzymując wzrok. Kinga wciąż stała po drugiej stronie biurka. Ośmieliła się i zaczęła nieskładnie opowiadać. Trencz... spódnica... marynarki... klasyka... ciekawy kolor... krój... sylwetka... jakość wykonania. Wreszcie zamilkła, nie chcąc zakłócać skupienia. Im dłużej trwała cisza, tym trudniej było

znieść oczekiwanie na werdykt. W końcu Sylwia wyrównała ilustracje i schowała je z powrotem do teczki. Z trzaskiem naciągnęła gumkę na lakierowany karton.

- Ładne. Ale bardziej przydasz się w sklepie. Zupełnie nie idą rybaczki. Jeśli niczego nie wymyślisz, trzeba będzie przecenić.

Odłożyła teczkę na biurko i wyszła z zaplecza. Kinga została sam na sam z Audrey. Spojrzała w oczy uwiecznione na kultowym zdjęciu. Wcześniej błyszcząły w nich zawadiackie chochliki. Dziś mogła przysiąc, że widzi tam tylko politowanie.

Weronika

Lubiła myśleć o sobie, że jest rozsądna. To prawda, w kategoriach krajowych wydawała sporo, ale ceniła wysoką jakość. Inwestycja w porządne tkaniny, skórzane buty i ekologiczną żywność w dłuższej perspektywie pozwalała przecież zaoszczędzić. Tylko dlaczego tak często musiała się z tego tłumaczyć przed sobą i innymi? Irracjonalne wyrzuty, wewnętrzne i zewnętrzne, odpierała argumentując, że na wszystko, co kupuje, zarobiła sama, a bogacenie się i podnoszenie standardu życia powinno być naturalnym następstwem uczciwej pracy. Szczerze współczuła tym, którym wiodło się gorzej, ale nie zamierzała czuć się z tego powodu winna. Poza tym nie była bezmyślną zakupomaniaczką. W przeciwieństwie do swoich koleżanek, zwłaszcza tych mniej zamożnych, nie koncentrowała się na doraźnej konsumpcji. Potrzebowała czegoś trwałego. Skoro nie miała co liczyć na finansowe oparcie w mężczyźnie, inwestowała w przedmioty i mieszkanie. Dobra zawodowa passa nie mogła trwać wiecznie i z pewnością kiedyś dobiegnie końca. Zawsze tak uważała. Nie przewidziała tylko, że nastąpi to tak szybko.

Kupiła mieszkanie w nowym budynku w dobrym standardzie, gwarantującym rosnącą wartość nieruchomości. Wkład własny uzbierała sama, ale potrzebowała środków na wyposażenie. Kredyt przekraczał sto procent wartości nieruchomości, rozłożyła go więc na trzydzieści lat. Nic nie wskazywało na to, że po upływie pięciu zabraknie jej pomysłów na to, jak zdobyć środki na kolejne raty. Skąd mogła wiedzieć, że miasto przestanie się rozwijać, a frank niemal dwukrotnie zdrożeje? Kiedy brała kredyt, kosztował niecałe dwa złote. Piętnastego stycznia ubiegłego roku, kiedy kurs przekroczył pięć złotych, myślała, że śni. Do dziś czekała, aż ktoś przerwie ten koszmar.

Pracy zaczęła szukać od razu. Uruchomiła swoje kontakty, zaktualizowała profile na zawodowych portalach, systematycznie przeglądała ogłoszenia. Kiedy uzupełniła swoje CV, na chwilę poczuła się lepiej. Prezentowało się naprawdę atrakcyjnie. I rzeczywiście, dla osoby z takim doświadczeniem znalazło się sporo ofert. Tylko pensja nigdy nie przekraczała wysokości raty jej kredytu.

Jak oni na nią patrzyli! Rekrutujący szeroko otwierali oczy, kiedy mówiła o swoich oczekiwaniach finansowych. Jedni spoglądali na nią z niedowierzaniem, drudzy z wyrzutem, jeszcze inni kręcili głową z pobłażliwym uśmieszkiem, jakby przybyła z innej planety. Pewien headhunter, łysol o wyglądzie wszechwiedzącego cwaniaka, otwarcie parsknął śmiechem. Wszyscy zgodnie notowali coś, co przypominało

skreślenie.

Koleżanki wymownym tonem radziły, by spróbowała obniżyć wymagania, przynajmniej do czasu, kiedy nie trafi się coś lepszego.

- Bierz cokolwiek - powtarzały. - Czasy są ciężkie.

Co one mogły o tym wiedzieć? Siedziały sobie w odziedziczonych po babciach mieszkankach, wspierane przez mężów zatrudnionych w rodzinnych firmach. Zarabiały symbolicznie lub wcale, a ją uważały za karierowiczkę, której los sprawiedliwie przytarł nosa. A przecież Weronika nie mogła negocjować. Bo jej banku nie interesowały żadne negocjacje. Pan Damian z działu windykacji wyraźnie dał jej to do zrozumienia.

Umówiła się z nim na rozmowę, by przedstawić swoją sytuację i zapytać o możliwe rozwiązania. Facet za biurkiem musiał być od niej młodszy, ale zadbał o to, by poczuła dzielący ich dystans. Już nie była klientką VIP, dlatego nie zaproponowano jej cappuccino w porcelanowej filiżance ani torby gadżetów z logo banku. Stała się kłopotem. Zwracano się do niej szorstkim tonem i nie spieszo z udzielaniem odpowiedzi. Drobnе represje, które miały pokazać jej miejsce. Wątpliwe rozwiązania sugerowane przez bank były doraźne i w dalszej perspektywie mogły tylko pogłębić spiralę zadłużenia, a z tej pomogłoby jej się wydostać jedynie stałe źródło dochodu.

- Może tymczasowo weźmiesz coś za mniejsze pieniądze i zaciśniesz pasa?

Z Kaliną, koleżanką ze studiów, Weronika umówiła się na Facebooku. Nie znała jej aktualnego numeru telefonu. Wcześniej nie miała potrzeby częstych kontaktów z koleżankami. Nie czuła, żeby te spotkania wiele wносиły w jej życie. Przyjaciółki mówiły wciąż o tym samym: faceci, dzieci, ciuchy, diety. Nie miały jej nic do zaoferowania i marnowały jej czas. Jednak od kiedy straciła pracę, czuła się słaba i samotna. Zdziwiło ją to, ale zaczęła potrzebować towarzystwa. Z rodziną nie utrzymywała kontaktów, zresztą za nic w świecie nie przyznałaby się przed nimi do porażki, a oni i tak nie mogliby jej pomóc. Zostawali znajomi. Nie mogła sobie pozwolić na kawiarnię, więc zaprosiła Kalinę do siebie.

- To nie takie proste. Jeśli przyjmę pracę na gorszym stanowisku, w przyszłości trudno będzie mi to zmienić. W CV to wygląda jak degradacja.

- Lepiej, żebyś w ogóle nie pracowała?

- W pewien sposób tak. Poza tym jeśli z pozycji menedżera zacznę się ubiegać o niższą funkcję, to też wzbudzi podejrzenia. Widać musiałam być słaba, skoro szukam pracy poniżej moich kwalifikacji. Błędne koło. Poza tym kluczowa jest pensja. Sam kredyt po ostatnich wahaniach kursu to ponad trzy tysiące - wyjaśniła.

- Na twarzy Kaliny podziw mieszał się z nieżyczliwą satysfakcją. - Do tego czynsz, rachunki i bilet miesięczny. No i muszę coś jeść.

Weronika postawiła na stole tartę cytrynową. Pieczenie działało na nią kojąco, a mieszanka niedrogich składników stworzyła wrażenie przysmaku z firmowej cukierni. Do tego półsłodkie wino z zapasów na cele reprezentacyjne. Później zacznie kupować tanie. Zawsze to lepsze, niż godzinami sączyć w knajpie jedno piwo.

- Będzie ci trudno znaleźć drugą taką pracę. - Kalina odkryła Amerykę. Sama pracowała w budżetówce. Etat w urzędzie miasta przejęła po odchodzącej na

emeryturę matce i uważała, że złapała Pana Boga za nogi. – Myślałaś o przeprowadzce?

– Włożyłam w to mieszkanie mnóstwo serca i całe oszczędności. Miałabym je teraz zostawić?

– Tylko na jakiś czas, dopóki się nie odkujesz.

– Szukanie pracy w innym miejscu trwa, a ja potrzebuję pieniędzy. Natychmiast.

– Może coś sprzedasz?

Weronika westchnęła. Praca była pierwszą pozycją na liście strat. Od dnia rozstania z firmą żegnała się z kolejnymi rzeczami. Po kawałeczku jej dotychczasowe życie zmieniało właścicieli.

Najpierw musiała oddać firmowy laptop i telefon. Nie miała pojęcia, gdzie ani za ile kupuje się je prywatnie. Straciła też bezprzewodowy Internet, a ku jej zaskoczeniu z miasta najwyraźniej zniknęły kawiarenki internetowe. Z dnia na dzień straciła łączność ze światem. Wygasło jej ubezpieczenie, karnet do fitness klubu i abonament w prywatnym zakładzie opieki medycznej. Nie wiedziała, gdzie znajduje się państwowa przychodnia, do której ją przypisano. Odebrali jej też służbowy samochód. Nigdy nie miała własnego. Nie obchodziło jej, ile kosztuje jego utrzymanie. Na dobrą sprawę nie знаła nawet aktualnych cen benzyny: zawsze tankowała do pełna i bez namysłu płaciła kartą. Te czasy skończyły się ostatniego dnia okresu wypowiedzenia. Oddała kluczyki i bezbronna oraz nieświadoma cen biletów MZK znalazła się na ulicy.

– Ale co? – Weronika posłała jej zdziwione spojrzenie.

– Samochód?

– Służbowy.

– Komputer?

– Też. Pożyczyłam od kolegi stary laptop do pisania CV.

– A wyposażenie mieszkania? Masz tu prawdziwy wypas. – Kalina z uznaniem przechadzała się po salonie, głaszcząc oparcia skórzanych foteli.

– Daj spokój. Każesz mi sprzedać meble? Reprodukcje ze ścian? Miedziane garnki?

– Coś by się znalazło. Telewizor jest niezły.

– Telewizor? – Z żalem spojrzała na biały regał z telewizyjnym ołtarzem. Czowała, jakby miała się wyrzec swojego jedyne go towarzysza.

– Bezwzględnie – zaordynowała Kalina. – Zaoszczędzisz czas i rachunki. W pakiecie dorzuc odtwarzacz DVD. Przejrzyj też swoją szafę.

– Szafę? Z ubraniami?

– Twoja garderoba to marzenie zakupoholiczki. Pójdzie na pniu. – Pokiwała głową z uznaniem, a Weronika nalała sobie kolejny kieliszek wina.

– Ale jak? Mam rozstawić łóżko polowe na bazarze?

– W sieci. A telewizor najszybciej w lombardzie.

– Nie wiedziałam, że takie instytucje jeszcze działają.

– Ba! Kiedy jak nie teraz, w kryzysie? Zawsze chętnie przytulą złoto i elektronikę. Na twoim miejscu przyjrzałabym się też stałym wydatkom. Na pewno jest coś, z czego możesz zrezygnować. I zastanów się, jak mogłabyś dorobić.

– Myślałam o tym, ale nic nie przychodzi mi do głowy.

- Na studiach udzielałaś korepetycji.

- To było tak dawno temu...

- Nie przesadzaj - ton Kaliny nie znosił sprzeciwu. - Mogłabyś sobie przypomnieć. Nie narzekasz teraz na brak czasu.

Czas. Koronny argument przytaczany przez wszystkich, jakby bezrobocie stanowiło synonim wakacji. Znajomi teatralnie demonstrowali swoją zazdrość o jej wolność. Zastanawiała się, czy z niej drwili, zalecając spacer, maseczki na twarz i wyjścia do kina. I dużo, dużo snu.

Skąd mogli wiedzieć, że od kilku miesięcy nie zmrużyła oka? Kręciła się z boku na bok, marzła albo miewała ataki duszności. Słyszała każdy szmer, każdy krok na schodach i każdą nocną wizytę w łazience sąsiadów. Bulgoczące kaloryfery i tykający zegar stanowiły demoniczny duet, wdzierający się w zmaltretowany zgryzotą umysł i doprowadzający ją do szaleństwa. Każdy przejeżdżający ulicą samochód świecił jej w twarz jak jarzeniówka podczas tortur w sali przesłuchań. Zaczęła wkładać do uszu zatyczki, a na oczy nasuwać atlasową opaskę. Nie słyszeć, nie widzieć, nie czuć. Zasnąć i obudzić się, kiedy świat będzie w innym miejscu.

To tak nie działa. Nie da się cieszyć wolnym czasem, kiedy wywalili cię z roboty, inwestować w siebie, kiedy nie masz żadnych perspektyw, ani podążać za głosem powołania, kiedy nie wiesz, za co żyć. Podobnie jak nie da się odkrywać w sobie talentów podczas pobytu w szpitalu, afirmować bycia singlem, kiedy ktoś cię rzucił, i skupiać się na sobie, kiedy ktoś cię zdradza. Człowieka nie można zaprogramować. Weronika wiedziała, że to nielogiczne i mało wydajne, ale tak było.

Kalina słuchała jej w milczeniu, a potem nie czekając na propozycję, nalała sobie resztę wina. Wzięła w dłoń kieliszek i skinęła w stronę dużej szafy w przedpokoju.

- Otwieraj.

Łucja

Oparła o ścianę kraciastą torbę na kółkach, a sama sięgnęła do kieszeni wełnianej jesionki. Wymacała niewielką skórzaną saszetkę i ostrożnie wyciągnęła ją w zaciśniętej dłoni. Odsunęła suwak, a wtedy w środku ukazał się pęk kluczy. Zesztywniałymi palcami wyłuskała ten najmniejszy i spróbowała umieścić go w zamku skrzynki na listy. Łucja oznaczyła ją okrągłą żółtą naklejką, żeby szybciej odszukać właściwą kasetkę wśród kilkudziesięciu innych. Bez okularów robiła wszystko ślamazarnie, aż sama się na siebie złościła. Kiedyś była zwinna i szybka. Teraz byle drobiazg zajmował jej całe wieki, a po drodze zdarzało się co najmniej kilka denerwujących wpadek. A to coś upuściła, a to pomyliła, a to zapomniała. Starość nie radość. Kluczyk za nic nie chciał wejść do dziurki. Zgrzytał, skrobał i stawał okoniem. Udało się dopiero, kiedy Łucja obróciła go do góry nogami. I po co tyle zachodu? Nie spodziewała się przecież żadnych dobrych wiadomości. Od lat nikt do niej nie pisał. Listy i pocztówki odeszły do lamusa. Skrzynkę wypełniała smętna korespondencja przeznaczona dla starych ludzi. Pamiętały o niej tylko

instytucje wystawiające rachunki i rzesza firm czyhających na pieniądze, których nie miała. W dzisiejszych czasach na seniorów na każdym kroku zastawia się pułapki. Czają się pod przykrywką zaproszenia na badanie wzroku lub darmową wycieczkę do Częstochowy. Do drzwi stukają domokrażcy, a ze słuchawki jak diabeł z pudełka wyskakuje akwizytor, prosząc o adres do wysyłki płatnego prezentu. Niewinna gazeta dla starszych osób między wierszami zachęca do zaciągania pożyczek. Pokaz gotowania z gwarantowanym upominkiem w postaci miksera to w istocie zobowiązanie do nabycia drogocennych garnków. Miły młodzieniec w garniturze proponuje bezpłatne sprzątanie mieszkania, a potem nastaje na zakup preparatów za kilkaset złotych. Tak długo opowiada i zachęca, aż coś się kupi, by dzieciak sobie zarobił. A że kosztem połowy emerytury, to ze zdumieniem odkryje się później. Tak to już jest na stare lata. Ze słabym wzrokiem trudno odróżnić uśmiech losu od wyszczerzonych kłów.

Łucja wyciągnęła plik kolorowych ulotek i wrzuciła je do kosza na makulaturę. Córka przestrzegala ją przed czytaniem czegokolwiek poza rachunkami za prąd i gaz, by przypadkiem nie dała się naciągnąć. W razie wątpliwości miała odłożyć podejrzaną pismo do sprawdzenia przez nią, Renatę. Pod żadnym pozorem Łucja nie mogła nikomu otwierać ani przyjmować telefonów od obcych, choćby dzwonił sam papież. A przecież dzisiaj nawet papież był dla niej niezrozumiały, bo mówił w innym języku. Wszystko, co znała, stopniowo odchodziło w niepamięć. Coraz mniej rozumiała to, co się działo, i przerażało ją to.

Weszła do mieszkania i zamknęła się od środka. Posłusznie zasunęła rygiel, podarowane przez córkę zabezpieczenie przed nieprzyjazną rzeczywistością. Kilka lat temu ktoś wyniósł z mieszkania Łucji ukrytą w bieliźnie emeryturę. Musiał wejść bezszelestnie, kiedy grało radio albo telewizor. Załamana Renata natychmiast założyła jej konto, a w starych drzwiach zainstalowała zasuwkę.

Nie wzięła pod uwagę, że zagrożenie czaiło się nie tylko na zewnątrz. Kto by się spodziewał, że największa przykrość spotka Łucję wśród swoich. A może nawet, że wyrządzi ją sobie sama?

Zdjęła płaszcz i beret i szybko opuściła przedpokój. Z wzrokiem utkwionym w podłodze potoczyła torbę z zakupami do kuchni. Ostatnio łukiem omijała lustro. Nie chciała patrzeć na swą spuchniętą twarz. Od kilku dni stale płakała.

Taki wstyd. Przecież nie chciała narobić kłopotu, chciała dobrze, próbowała tylko pomóc. Ostre słowa córki raz po raz boleśnie chłostały jej myśli. Oczy Łucji znów zaszyły łzami, więc wyciągnęła chusteczkę z koronkowym brzeżkiem i głośno wydmuchała nos. Drżącą dłonią schowała ją z powrotem do kieszeni fartucha. Sama nie wiedziała, po co go włożyła. Zupełnie straciła głowę do gotowania, a apetyt opuścił ją na dobre.

Kiedy zobaczyła Dudusia w drzwiach biurowca, pomyślała: „Co za zbieg okoliczności! Pewnie przyszedł jako interesant”. Dopiero po chwili ją olśniło: „On tu pracuje!”. Nie mogła sobie wyobrazić lepszej niespodzianki. Przez mgnienie oka zdążyła zaplanować dokupienie drugiego termosu i pudełka na kanapki. Wreszcie więcej by ich łączyło. Poznałaby świat swojego wnuka i stała się częścią jego codzienności, którą przedtem przeżywał bez niej.

Ale on minął ją bez słowa i pozwolił koledze na bezlitosne szyderstwa. Tego

samego dnia wieczorem Renata zadzwoniła do Łucji z karczemną awanturą.

- Coś ty znowu wymyśliła! - zaczęła rozmowę bez wstępu.

- Słucham?

Łucja często musiała upewniać się, że dobrze coś słyszy albo rozumie. Coraz częściej rozważała zakup aparatu słuchowego. Ale tym razem udawała, bo wiedziała, że Renata będzie wściekła.

- Co robiłaś dzisiaj rano?

- To i owo - odparła Łucja zaczepnie.

- Mamo!

- Byłam w mieście.

- Nie kłam.

- Mówię prawdę. Pojechałam do centrum.

- A czego tam szukałaś?

- Nie wiedziałam, że mam zakaz wychodzenia z mieszkania - Łucja pyskowała jak karcony podłotek.

- Damian cię widział. Podobno zatrudniłaś się w ochronie jego biurowca.

- Och, więc jednak mnie zauważył! Nie przywitał się - postanowiła odpowiedzieć atakiem na atak.

- Dziwisz się? Czy możesz mi to jakoś wyjaśnić?

- Najwyraźniej wszystko już wiesz.

- Co ci przyszło do głowy! Pracować jako ochroniarz?! - wybuchła Renata. - Jesteś starszą panią! Chcesz się bić ze zbirami?

- Nie jako ochroniarz, tylko recepcjonistka. I nie jestem starszą panią, a kobietą w sile wieku. - Nie dała się zastraszyć.

- A co to za różnica?

- Pytasz o wiek czy zakres obowiązków?

- Mamo, bądź poważna. Po co w ogóle szukałaś pracy? Przecież jesteś na emeryturze. Niczego ci nie brakuje.

- Pozwól, że sama będę o tym decydować. To moja sprawa - ucięła Łucja.

- Mylisz się. Narażanie twojego bezpieczeństwa oraz kariery twojego wnuka nie dotyczy tylko ciebie, ale dotyka twoich bliskich. Jak myślisz, czy Damian ucieszył się na widok swojej babci w stróżówce?

- W recepcji - powtórzyła z naciskiem. - A swoje niezadowolenie okazał wystarczająco. Powinnaś nauczyć dzieciaka manier.

- Na litość boską! Twój wnuk prawie spalił się ze wstydu. Chłopak ma świetną pracę. Długo o nią zabiegał, przecież wiesz. Bank to poważna instytucja, a nie miejsce na wygłupy! Przez ciebie Duduś mógł wszystko stracić!

- A co ja mam z tym wspólnego?

- Co sobie o nim pomyślą koledzy i przełożeni o jego rodzinie, skoro jego babka dorabia jako cieć? Taki wstyd!

- Recepcjonistka... - Łucja uparcie szeptała słowo, które jeszcze przed chwilą brzmiało atrakcyjnie i rozsądnie. Ale pod wpływem wywodu Renaty coraz bardziej bladło.

- W karierze liczy się wszystko, mamo. Wykształcenie, doświadczenie i osiągnięcia, ale też ogólne wrażenie i pochodzenie. Nie oszukujmy się, nikt nie

awansuje człowieka z nizin społecznych. A ludzie są zawistni, stale węższą, jak by tu znaleźć na innych haką i wyeliminować konkurencję. Wyobrażasz sobie, co by było, gdyby to się rozniosło? Mogłaś przekreślić wszystko, na co Damian tak ciężko pracował.

- Ja nie chciałam...

- Na szczęście nie jest jeszcze za późno. Więcej tam nie pójdziesz. Natychmiast zadzwoń i złóż rezygnację. Czy wolisz, bym zrobiła to za ciebie? - Renata zamilkła wyczekująco.

- To nie będzie konieczne.

W słuchawce i mieszkaniu zapanowała kilkudniowa cisza, ale głowę Łucji rozsadzał nieznośny hałas. Wrony złych myśli krakały nie do wytrzymania. Powracające echo wyrzutów córki przekrzykiwało się z niewypowiedzianymi ripostami, bo te dopiero teraz, poniewczasie, cisnęły się na usta. Opuchnięty język bolał od zagryzania słów, że przecież chce pracować, że jest w tym dobra, że to lubi, że ją chwala, że to jej pierwsze od lat osiągnięcie. A marzenia? Czy w jej wieku nie wolno ich mieć? Bunt i poczucie krzywdzącej niesprawiedliwości ustępowały miejsca narastającemu poczuciu wstydu i winy.

Idiotka. Uważała się za sprytną i samodzielną, bo nie trzeba jej przypominać, jak się nazywa, karmić, myć ani podcierać. Zawsze sądziła, że człowieka nie może spotkać nic gorszego, lecz się myliła. Niedołęgi i starcy z Alzheimerem może nie byli przyjemni w obsłudze, ale przynajmniej nikomu poza sobą nie wyrządzali szkód. W najgorszym razie pewnego pięknego dnia ubierali się, wychodzili z domu i znikali na zawsze. Ich bliskim przez moment było smutno, choć gdzieś w środku wszyscy odczuwali ulgę. Problem rozwiązywał się sam. A Łucja okazała się szkodliwa. Niebezpieczna. Nie powinno się jej spuszczać z oka, bo mogła wszystko zniszczyć. Tym, którzy ją kochali, przynosiła wstyd i zmartwienie.

Nie wiedziała, jak udźwignąć ciężar najbliższych dni. Miała ochotę zapaść się pod ziemię i nie musieć patrzeć w oczy pracodawcy, przyznając, że gdy przyjmowała posadę, była niespełna rozumu. Nie wiedziała, w jaki sposób wytłumaczy się Dudusiowi i wynagrodzi mu swoją lekkomyślność. Nie mogła też znieść ciekawskich pytań sąsiadek, bo nieopatrznie zdążyła się już pochwalić nową pracą.

Stara wariatka. Wyświadczyłaby wszystkim wielką przysługę, gdyby rozplynęła się w powietrzu.

Damian

Kiedy zobaczył ją w portierni, myślał, że mu się przywidziało. Ale to była ona. Na jego widok zaczęła stroić miny i do niego machać. Niewiele brakowało, a nagłośniłaby jego żenujący pseudonim z dzieciństwa. Szczęśliwie uciekł, zanim się wydało. Matka obiecała zrobić z tym porządek. Na początku babcia może się dąsać. Trudno, przejdzie jej.

Nie przywitał się, fakt. Może niezbyt to uprzejme, ale przecież nie gardził innymi ludźmi. Skądże znowu! A dokładniej: ludźmi pewnego typu. Przeciwnie, zawsze

traktował ich z szacunkiem. Kłaniał się dozorcóm, dziękował parkingowým, dawał napiwki kelnerkom, brał niepotrzebne ulotki od uczniów i emerytów, a mokrą podłogę, świeżo umytą przez sprzątaczkę, przeskakiwał przy samej ścianie, choć jego kolegom perwersyjną przyjemność sprawiało przechodzenie przez sam środek i zostawianie śladów jak na trawniku oprószonym dziewiczym śniegiem. On zawsze starał się być miły dla tych, którym wiodło się gorzej. Bo wiedział, że nigdy nie będzie jednym z nich. Słyszając, jak narzekają, dodawał otuchy. „Żadna praca nie hańbi – pocieszał. – Grosz do grosza, zbierze się pół kosza”.

Zastanawiał się nieraz, kto i po co wymyślił te ludowe bzdury. Widać służyły do utrzymania wygodnego status quo. Ci ludzie musieli przewlekle zajmować swoje poślednie stanowiska, bez słowa skargi spełniać nieważne funkcje. To dzięki nim działał sprawny i szybki mechanizm, którym kierował kto inny.

Pół kosza. Zawsze tylko pół. Pracownicy fizyczni i szeregowi nigdy nie wznosili się ponad pewien próg. Rozwój ich wątpliwych karier i przepustowość ich kont były ograniczone. Stanowiły iloczyn siły ich mięśni oraz lat względnego zdrowia. Umysł nie grał tu żadnej roli, nikomu nie przyszłoby do głowy, by go fatygować. Dorobek ich życia nie przekraczał kilku pokoi w wielkiej płycie, wakacji nad Bałtykiem i kanapek z mortadela. Nikt się temu nie dziwił ani nikt nie protestował. I o to chodziło.

Ale jak każdy człowiek, Damian był hipokrytą. Nie miał nic przeciwko tym ludziom i cieszył się, że pokornie godzą się na przydzielone im role, a jednak nie chciał, żeby jego własna babcia znalazła się wśród nich. Wypaczenie? Raczej bezpieczny dystans, co nie przeszkadzało mu nawiązać osobliwej relacji z Duchem.

Duch, jak na zjawę przystało, pewnej nocy ukazał mu się w jednej z bram, takich, przez które chętniej się ucieka, niż wchodzi. Roszczeniowo wyciągnięta ręka biała się w świetle księżycy, wyraźnie widocznego na niebie dzięki zbitej latarni. Damian pomyślał, że sukcesem będzie wyjść z tego spotkania w jednym kawałku, bez portfela i telefonu, ale z kompletem zębów. Opuścił ręce, instynktownie osłaniając kieszenie, i czekał na dyspozycje.

- Poratuje pan bezdomnego - przemówiła zjawa. - Nie jadłem dziś kolacji.
- To przykre - odpowiedział ostrożnie.
- Mieszkać też nie mam gdzie.
- Współczuję.

Czekał na dalszy ciąg, nie chcąc pochośnie zdradzać się z portfelem.

- No. To dasz pan dychę?

Na szczęście Damian w kieszeni dzinsów znalazł trochę drobnych. Bez słowa wręczył włóczędze banknot. Wolał słuchać i samemu mówić jak najmniej.

- Będę chyba spał tutaj, ale ty stąd zmiataj. To nie miejsce dla ciebie. Nie wiesz, że w takie rewiry się nie zapuszcza?

Podziękował za ostrzeżenie i czym prędzej się oddalił, dziękując losowi za łaskawość. Później spotykał kloszarda jeszcze kilka razy, o różnych porach, w różnych częściach miasta. Za każdym razem czuł się zobowiązany do tego, by dać mu jakieś drobniaki. Zapamiętał go od razu, bezdomny swego darczyńcę dopiero po kilku zapomogach. On nazywał go Szefuniem, Damian jego - Duchem.

Poza nocną etymologią pseudonim doskonale pasował do osobowości włóczęgi.

Duch na co dzień stawał się niewidzialny, ukazywał się tylko wybranym i tylko na chwilę, by zaraz rozpląnąć się w zepsutym jego przelotną obecnością powietrzu. Straszyl, ale był nieszkodliwy. Nie należał do tego świata. Niby tu przebywał, ale tylko częściowo. Przycupnął na obrzeżach miasta i społeczeństwa, jakby wbrew własnej woli skazany na więzi z ziemskim padołem. Niczego nie posiadał ani nie pragnął, nie zajmował miejsca, nie dało się go dotknąć ani zranić. Sprawiał wrażenie zagubionego, jakby stracił z oczu drogę do innego, lepszego świata lub jakby nikt tego świata jeszcze dla niego nie wymyślił.

Duch nie krył dumy ze swojego nieprzystosowania i chętnie dzielił się spostrzeżeniami na ten temat, wdając się w filozoficzne pogawędki.

- Próbowałem żyć jak inni. Podłapywałem jakieś roboty, miałem kobitę i swoje plany. Nie wyszło - opowiadał, kiedy pewnego razu spotkali się na przystanku. - Skoro świat mnie nie chce, to ja jego też.

- Czyli po prostu się obraziłeś? - zapytał Damian.

- Raczej wypisałem na własne życzenie - wzruszył ramionami Duch. - To po prostu nie dla mnie.

- Co nie jest dla ciebie?

- Codzienny kołowrót. Chodzisz do roboty, której nienawidzisz, kupujesz rzeczy, których nie potrzebujesz, mieszkasz z babą, która cię nie kocha. W końcu zrozumiałem, że choćbym nie wiem jak się starał, to nigdy nie wystarczy. Teraz przynajmniej jestem wolny.

- Ale jeść coś musisz. I mieć gdzie spać.

- Niczego mi nie brakuje. - Duch żywił się zdobyczami ze śmietników lub odpadkami z barów, a te popijał finansowanym przez darczyńców alkoholem. Nocował w węzłach ciepłowniczych, w niedomkniętych piwnicach, na parkowych ławkach. - A raz, bracie, przez kilka nocy przespałem w markecie z meblami. Wyciągnąłem się na łóżku z ekspozycji i nakryłem kocami. Nikt się nie zorientował. Za dnia wyłaziłem coś ugryźć, a przed zamknięciem sklepu jak panisko wracałem na moje miejsce. Minęły trzy doby, zanim ochrona się połapała. I tak sobie żyję, Szefuniu - dumnie podsumował. - Spryciarz ze mnie, co? Mam w dupie system.

- Ale wciąż jesteś od niego zależny. Ten system cię karmi i daje dach nad głową. Nie przetrwałbyś, gdyby nie praca innych ludzi, którzy godzą się tkwić w układzie.

- Damian obrócił w palcach błyszczącą dwuzłotówkę i zawiesił ją nad wyciągniętą ręką Ducha. - Oszukujesz.

- Ja?! - oburzył się Duch.

- Przecież zarabiasz, a nie pracujesz.

- Biorę tylko tyle, ile naprawdę potrzebuję. Nic ponadto. I tym różnię się od reszty. Ja znam umiar, oni nie.

- To hipokryzja. Zginałbyś, gdyby miasto cię nie utrzymywało.

- O, nie, przyjacielu. To miasto zginęłoby beze mnie. Żyjemy w symbiozie. Jestem jak ptak zjadający gzy z jego cielska, jak robak rozkładający padlinę, jak bakteria w jelicie utylizująca nieczystości. Moja obecność tutaj jest w pełni uzasadniona.

- Muszę iść. - Damian przerwał jego wywód. - Jedzie mój autobus.

Duch czubkami brudnych palców wyjął monetę z jego dłoni, chuchnął i schował ją do kieszeni.

- Do następnego razu, Szefuniu! - krzyknął i bezszelestnie wsunął się w szparę między kamienicami. Damian uśmiechnął się i wszedł do autobusu, a kiedy wyjrzał przez okno, wólcęga już zniknął. Nietuzinkowa postać. W pewien sposób on i Duch byli do siebie podobni.

Rozdział szósty

Kinga

Poniedziałki i wtorki spędzała u ojca. Od kiedy wyprowadziła się do Łodzi, każda wizyta w domu była jak małe święto. Niepostrzeżenie Kinga przestała mieć obowiązki i zaczęła czerpać korzyści z przywilejów gościa. Kiedy przyjeżdżała, wszystko już czekało przygotowane. Dom lśnił niedzielną czystością, a tata nie pozwalał sobie pomóc w kuchni i wyciągał karafkę z nalewką. Wkładał lepsze ubrania, oglądał mniej telewizji i starał się poruszać interesujące tematy przy stole z odświeżoną zastawą.

Zmiana miejsca zamieszkania pozwoliła dostrzec Kinge wiele różnic między miastem a rodzinnymi stronami. Najbardziej chyba zaskoczyło ją, dziewczynę z miasteczka z postpeerelowskim domem towarowym, odkrycie, że do łódzkich galerii ludzie nie przychodzili po niezbędne zakupy, ale przede wszystkim po to, by spędzić tam czas. Popołudniami i w weekendy w gmachu Manufaktury zapełniały się restauracje, kawiarnie, kino i sale rozrywki. Centrum handlowe stanowiło coś więcej niż sklep, a zakupy nie oznaczały tylko codziennej czynności, ale styl życia. Dla wielu galeria stała się pępkiem świata, a przynajmniej miasta, na którego szarej mapie rysowała swoją świetlistą plamę. Każdemu oferowała to, czego szukał. Kinga czerpała stąd środki na swoje utrzymanie, a inni – sposób na spędzanie wolnego czasu. Tu po comiesięcznym zastrzyku gotówki każdy mógł poczuć się zamożny i wyjątkowy. Kinga sama uległa czarowi galeriowych wnętrz i z braku rozeznania w łódzkich knajpach raz umówiła się tu na randkę.

Kilka dni wcześniej uniosła głowę znad pliku reklamacji, kiedy do kasy podszedł szatyn z naręczem szarych i błękitnych koszul. Na sobie miał ładną, podobną, perfekcyjnie wyprasowaną. Pachniał korzenną przyprawą i dobrze płatną pracą.

Kinga ponownie opuściła wzrok i zeskanowała kody kreskowe na metkach. Tysiąc złotych. Połowa jej pensji.

- To wszystko? - zapytała, nie patrząc szatynowi w oczy.

Nigdy nie brała takich poważnie pod uwagę. Należał do innego gatunku i choć wyglądał na tylko o kilka lat starszego, dzieliła ich przepaść. Mogła go podziwiać, ale wiedziała, że to nie jej liga. On też to wiedział. Dlatego zabrakło jej słów, gdy powiedział:

- Jeszcze twój numer.

Kobieca wyobraźnia jest pełna rozmachu. Umówili się trzy dni później i tyle wystarczyło, by Kinga zapomniała o serii sercowych porażek i zdążyła ułożyć sobie dowcipną anegdotę do opowiadania znajomym o tym, jak to Manufaktura stała się matką chrzestną ich związku. „Przyszedł do sklepu, wskazał na mnie i powiedział: poproszę to”. Ona odgrywałaby scenkę, podczas gdy on kiwałby głową, a słuchacze życzliwie się śmiali. Nie przewidziała tylko, jak szybko romantyczny nabywca dokona zwrotu.

- Nieporozumienie - westchnęła, wsypując do filiżanki dwie nadprogramowe

saszetki trzcinowego cukru.

- Ten z banku? - zdziwiła się Edith. - Mówiłaś, że jest boski.

- To jedyna kwestia, co do której byliśmy zgodni.

- Opowiadaj.

Od kiedy Elka wyczekiwała porodowych skurczów w domowym zaciszu, zaprzyjaźniły się z Edith bliżej. Umawiały się na wspólne przerwy w pracy i zazwyczaj spędzały je w kawiarni u Igora. Dyskretnie odbierając gratisową kawę, nie zajmowały miejsc wśród innych klientów, tylko spacerowały lub opierały się o barierkę w przejściu.

- Zaczął od komplementu. Zapytał, co taka fajna laska robi na kasie.

- Au. - Edith zakrztusiła się, biorąc zbyt duży łyk latte. Polizała palec i kolorowym paznokciem zebrała mleczną strużkę, spływającą po zewnętrznej ściance tekturowego kubka.

- Przez całe spotkanie wydusił ze trzy słowa, a potem wezwały go pilne sprawy. Chwilę później widziałam go w Big Starze.

- Czyli wybiera marki zgodne ze swoją osobowością - przyjaciółka starała się obrócić wszystko w żart, ale Kinga nie miała nastroju do śmiechu.

- Naiwnie myślałam, że przeprowadzka coś zmieni. Ale w mieście jest jeszcze mniej sensownych chłopaków niż na prowincji. Choć ten... powiedział coś, co dało mi do myślenia. - Powoli mieszała w kawie plastikową łyżeczką. - Że projektowanie nie ma sensu, bo w modzie nie da się wykreować niczego nowego. Wszystko już było. Odgrzewa się wciąż te same wzory, fasony i materiały.

- Bzdura.

- Wspominał coś o przekleństwie dobrobytu i że to cena, jaką płacimy za komfort współczesności: możemy ze wszystkiego korzystać, ale niczego już nie odkrywamy.

Korytarze galerii wypełniał wzmożony popołudniowymi godzinami tłum. Zmęczone kobiety, ślizgające się wzrokiem po wystawach, i brzuchaci mężczyźni z reklamówkami w dłoniach rzeczywiście nie wyglądali szczególnie twórczo.

- Mówisz tak, jakbyś mu uwierzyła. - Edith głośno zmięta opakowania po cukrze.

- A jeśli to prawda? Przecież to kwestionuje całą moją przyszłość. Odkąd pamiętam, marzyłam o projektowaniu. Poświęcam na to mnóstwo czasu. Obserwuję, zbieram pomysły, szkicuję, kiedy jadę do ojca, szyję. Mam tam materiały, pokój, w którym urządziłam pracownię. Nie umiem nic innego. A jeśli to nie ma sensu?

- Może ma, może nie ma. Sprawdź.

- Jak?

- Ile lat w tym siedzisz? - zniecierpliwiła się Edith.

- W modzie? Od zawsze. Ale nic z tego nie wynika - wzruszyła ramionami Kinga.

- W takim razie pora coś z tym zrobić.

- Łatwo powiedzieć. Sylwia odprawiła mnie z kwitkiem. Rozesłałam kilkadziesiąt ofert z moim portfolio i zgadnij, ile dostałam odpowiedzi. To trudna branża.

- Przestań. Jesteś gotowa.

- Ale na co?

- Na to.

Kinga odwróciła głowę w kierunku wskazanym przez Edith. Wyświetlany właśnie

spot reklamowy na ledowym ekranie dotyczył castingu telewizyjnego talent show. Popatrzyła na ogłoszenie, a potem znów na koleżankę.

- Nigdy w życiu.

- Jak chcesz. - Edith wzruszyła ramionami. - Ja się zgłosiłam.

- Bierzesz udział w *Młodych Zdolnych*?!

- Nie - roześmiała się. - Za duża konkurencja. Startuję w *Sing Sing*. To dla śpiewających. W *Zdolnych* masz mydło i powidło: akrobaci, tancerze, artyści. Na tym tle śpiewanie wypada blado. Chyba że w wykonaniu słodkiego malucha, najlepiej niemowy albo z innym chwytającym za serce nieszczęściem.

- Pokrzepiające. I co ja miałabym tam zrobić?

- Pokaz mody.

- Chyba żartujesz. Nawet nie wiem, jak się za to zabrać.

- A powinnaś, skoro chcesz żyć z projektowania. Nic cię nie kosztuje spróbować.

Kinga jeszcze raz spojrzała na spot. Widziała wcześniejsze edycje programu i знаła odstręczające jury, którego koszarowe maniery obrosły legendą. Poprzedni uczestnicy talent show budzili w niej mieszaninę podziwu za posiadane talenty i współczucia za wysłuchiwane obelgi. Ale do tej pory cały ten świat był odległy, bezpiecznie odgradzony ekranem telewizora. Tym razem jednak casting po raz pierwszy miał odbyć się w Łodzi.

- Naprawdę można wygrać trzysta tysięcy?

Taka suma wydawała się jej abstrakcyjna. Na swoim koncie rzadko widywała choćby czterocyfrowe kwoty.

- Pieniądze to jedno. Zyskujesz coś znacznie cenniejszego i aby to zdobyć, wcale nie musisz dojść do finału. Publiczność. Rozpoznawalność. Kontakty.

Kinga nie była przekonana, ale tamtego dnia coś w niej zakiełkowało. Słuchając przyjaciółki, poczuła lekkie ukłucie, a potem przyspieszone bicie serca. Podekscytowanie.

- Czas wracać. - Edith dopiła kawę i zgmiotła kartonowy kubek. - Masz miesiąc do namysłu. A bankowcem się nie przejmuj. Może jeszcze zadzwoni?

W obydwu kwestiach tylko jedno podejście wydawało się Kingie sensowne: nie ma na co czekać.

Damian

Coraz bardziej mu się podobała. Świetnie ubrana, apetycznie zaokrąglona, o wydatnych biodrach i dużych piersiach. Wprawdzie zdradzała tendencje do tycia, ale jej aktualny wygląd z nawiązką wynagradzał przyszłe rozczarowania. Również zaświadczenie o jej zarobkach i adres nieruchomości zrobiły na nim wrażenie. Babka miała klasę. I była jego.

Nie rozumiał półgłówek ze swojej pracy i tracił do nich resztki szacunku, kiedy w niewybrednych słowach zwierzali się z kolejnych podbojów. Katastrofa poganiała katastrofę. Ale czego się spodziewać po małych szczapach, które zamiast rozsądnego spojrzenia miały w oczach dolarówki? Chude dziewczęce ciała zupełnie

na niego nie działały. Jaką przyjemność można odczuwać, trąc o kości?

Raz czy dwa jakaś siksa zawieruszyła się na ich męski spęd. Chichotała, odrzucała włosy, eksponując bransoletki i landrynkowe paznokcie, albo pod blatem stołu pracowała nad dolną połową swojej drugiej połowy. Kilka razy Damian umówił się z podobnymi egzemplarzami przez Internet. Od czasu do czasu robił to, by uspokoić matkę, a siebie utwierdzić w przekonaniu, że kobiety zasadniczo go nie interesują. Mógł przebierać w ofertach. Podobno był przystojny: wysoki, niebieskooki, w okularach podkreślających intelekt, a przy tym wysportowany. Dbał o to, by się nie roztyć, bo to największa pokusa dla tych, co nie wyszli spod skrzydeł matki karmicielki. Dla takiej nawet pięćdziesięciolatek wciąż znajdował się na etapie rozwoju, pod który należało codziennie kłaść solidne kulinarne podwaliny. Zresztą, wygląd grał drugorzędą rolę. Wolny, młody i zatrudniony w finansach – ta informacja wystarczyła, by jego skrzynka pękała w szwach. Wybierał kandydatki na chybił trafił i nigdy się nie zawiódł: zawsze kończyło się klapą.

Na przykład ta poznana na zakupach. Wyrwała się z pipidowy i próbowała zaimponować mu pracą w sklepie, szumnie nazywanym przez nią galerią. Tam się zresztą spotkali, siorbiąc letnią kawę z tekturowych kubków. Dziewczyna osiągnęła szczyt marzeń, sprzątając przymierzalnie i przypinając do majtek plastikowe klipsy. Nie należała do brzydkich, ale w rozmowie przypominała lekturę „Bravo”. Podniecała się ciuchami i fantazjowała o zostaniu projektantką mody. Pogapił się chwilę w dekolt kuszący spomiędzy rozpuszczonych blond włosów, dopił kawę i wyłgał się obowiązkami. Wpadł do sklepu po jeansy, by uratować to koszmarnie popołudnie. Gdyby chciał, mogliby skończyć w łóżku. Ale przecież mieszkał z matką. Dlaczego pracujący trzydziestolatek nie zadbał o własny kąt? Dziewczyny zawsze zadawały mu to pytanie. Po kilku spotkaniach orientowały się, że nigdy nie zaprasza ich do siebie i przypuszczały atak. Naiwnie próbowały coś wskórać złośliwościami i wjeżdżaniem mu na ambicję. „Naprawdę odpowiada ci mieszkanie z mamusią? Lubisz, jak ci gotuje i prasuje twoje koszule? To według ciebie jest męskie?”. Odpowiedź na wszystkie te pytania brzmiała: oczywiście. Trudno sobie wyobrazić celniejszą definicję męskości. Każdy facet chce być obsługiwany. Jeśli twierdził inaczej, robił to z konieczności. Dla Damiana taka konieczność nie istniała i bardzo to sobie cenił.

Możliwość czerpania cielesnych korzyści stanowiła jeden z wielu oczywistych powodów zakupu mieszkania. Bo samodzielność, bo lokowanie oszczędności, bo planowanie przyszłości. Wreszcie: bo obciach. Znał te argumenty na pamięć, ponieważ często musiał je publicznie zbijać, co najpierw przećwiczył przed lustrem. Dzięki temu zyskał cenną wiedzę o sobie: on własnego mieszkania mieć nie chciał. To oczywiście pewne uproszczenie, bo w gruncie rzeczy dążył do posiadania nieruchomości, ale nie w taki sposób, jak większość jego rówieśników. Przede wszystkim nie na kredyt. Byłby głupcem, gdyby zasilął wątpliwy moralnie biznes, z którego sam czerpał zyski. Inni robili to za niego. Rezygnując z hipoteki, nie wykazywał się krótkowzrocznością, jak mu zarzucano. Przeciwnie, myślał perspektywicznie i w swoim czasie miał dowieść wyższości swojego planu.

Mieszkając na utrzymaniu rodzicielki, oszczędzał znacznie szybciej niż koledzy. Matka wciąż widziała w nim chłopca odkładającego kieszonkowe, więc nie

przyszłoby jej do głowy oczekiwać, by partycypował w kosztach. A on, nie chcąc okazać się bezdusznym egoistą, nie odbierał jej radości z poczucia, że jest mu potrzebna. Samotnej matce syn zastępuje partnera, dlatego pozwalał o siebie dbać. Udało im się osiągnąć najdoskonalsze możliwe porozumienie płci. W końcu był mężczyzną na miarę nowych czasów, a współczesne chłopaki nie płacą. Według jego obliczeń w ciągu kilku lat powinien odłożyć kwotę wystarczającą na zakup kawalerki. Czy nie czuł się winny? Raczej wkurzony, bo nie zdążył przed wzrostem cen. Na szczęście babcia zapisała mu w testamencie mieszkanie. W międzyczasie kupioną kawalerkę będzie wynajmował, odkładając kolejne zyski. Kolejne lata, kolejne mieszkania, kolejni najemcy. Samowystarczalne, samospłacające się imperium mieszkań. Proste i osiągalne.

Czy robił to wszystko z chęci zysku? Wówczas nie miałby prawa uważać się za lepszego od kolegów, bezmyślnie kręcących się w kołowrotku konsumpcji. Pieniądze nie stanowiły jego celu. Były środkiem. Potrzebował ich, żeby wykupić swoje życie.

To życie zostało wystawione na sprzedaż w momencie jego poczęcia. Jeszcze zanim przyszedł na świat, rodzina, państwo i Kościół dokonali jego precyzyjnego podziału i zaciągnął wobec nich dożywotni dług. Zupełnie jakby na wypartej z pamięci imprezie w alkoholowym zamroczeniu wciągnął wagon koki. Następnego dnia niczego sobie nie przypominał, po towarze ani śladu, ale dealer w obstawie karków wpierał mu konieczność spłaty należności. W zamian za rodzicielską opiekę, bezpłatną edukację i darowanie grzechu pierworodnego wszyscy domagali się zwrotu z inwestycji. Matka z babką – asysty na starość, wnucząt i emerytur z jego składek, państwo – podatków, Kościół – ofiar i uczestnictwa w niedzielnych mszach. Żądali wdzięczności, choć nikt go nie pytał, czy życzy sobie udzielonych mu dobrodziejstw. Wolność miał odzyskać dopiero na stare lata, kiedy i tak nie będzie z niej żadnego pożytku.

Ale Damian nie zamierzał się podporządkować. Rozgryzł system i znalazł w nim lukę. Jeśli tylko uda mu się zbudować samofinansujące się perpetuum mobile, będzie wolny. Już nigdy nie będzie musiał pracować. Musiał jedynie wykazać konsekwencję w działaniu i umiejętność odkładania przyjemności na potem. Do tej pory wszystko szło zgodnie z planem. Nie pozwalał, by cokolwiek go rozpraszało. Dopiero brunetka wykazała potencjał, który mógłby sprawić, by Damian poczuł się odrobinę zdekoncentrowany. Pojawiła się, kiedy na dobre stracił zainteresowanie kobietami. Tak mu się przynajmniej wydawało tamtego dnia, kiedy pełnił dyżur w obsłudze klienta. Podniósł głowę na dźwięk obcasów na posadzce. Zmierzył ją spojrzeniem, kiedy rozpięła płaszcz. Usiadła naprzeciw niego, założyła nogę na nogę, torebkę postawiła na podłodze. Miała na sobie ołówkową spódnicę i przylegającą koszulową bluzkę, strategicznie rozpiętą, co ukazała, odrzucając włosy do tyłu. Zrobiło mu się gorąco. Z trudem powstrzymywał się od patrzenia na pełne, pociągnięte różowym błyszczkiem usta. Opuszczał wzrok na jej dekolt, kiedy coś tłumaczył, udając, że zbiera myśli. Zbierał, ale o takich pewnie wolałaby nie wiedzieć. Z początku mógłby przysiąc, że pomyliła działy. Atrakcyjna menedżerka, z własnym (no, prawie własnym) mieszkaniem. Wyglądała jak milion dolarów, a była splukana. Trochę obniżało to jej akcje, z drugiej strony w innych

warunkach pewnie nie zwróciłaby na niego uwagi. Sprawiała wrażenie przestraszonej, a on zadbał o to, by poczuła się od niego całkowicie zależna. Za to mu płacili, ale w tym przypadku robił to z podwójną przyjemnością. Wpadła w jego ręce. Zawsze odbierała jego telefony. Lubił zaczynać tak dzień. Specjalnie przychodził do pracy przed czasem, by być z nią sam na sam. Rano miała zaspany głos, więc na pewno leżała jeszcze w łóżku. Takie babki lubią nowoczesne meble i śliską, satynową pościel. Mógł sobie do woli wyobrażać, jak wygląda, i liczył, że kłopoty finansowe pozbawiły ją też piżamy. Poznawali się coraz bliżej. Wkrótce będzie musiał zaprosić ją na kolejne spotkanie w dziale windykacji.

Musiał jednak zachować ostrożność. Z kobietami nigdy nie wiadomo. W najmniej spodziewanym momencie mogą narobić kłopotów. Jak ostatnio babcia. Cud, że nikt się nie zorientował. To się nie mogło powtórzyć. Wzdrygnął się na głośny dźwięk stojącego na biurku telefonu. Nigdy nie zdarzało mu się zamyślać w ten sposób w pracy. Przez kilka chwil nieprzytomnie wpatrywał się w wyświetlacz numerów, próbując przywołać się do służbowego porządku. Dziwne. Zawsze to on wybierał numery. Do niego z własnej woli nie dzwonił nikt.

Andrzej, jego szef.

- Wpadnij do mnie za dziesięć minut. - Nie przywitał się i rozłączył bez pożegnania.

Zazwyczaj jeśli miał jakąś sprawę, osobiście odwiedzał boksy pracowników. Damian nie potrafił sobie przypomnieć, kiedy ostatnio wylądował na dywaniku. Od razu spocily mu się dłonie. Był piątek, druga połowa dnia.

W myślach przeskanował sprawozdania finansowe banku i wyniki jego działu z ostatnich miesięcy. Zyski nie spadały, ale też nie rosły w przewidywanym tempie. A może chodziło o coś innego. Czy to możliwe, że zdążyli się dowiedzieć o portierni?

Wstał od biurka i poszedł do toalety, gdzie za zamkniętymi drzwiami spędził parę nerwowych chwil. Po wyjściu z kabiny dokładnie wyszorował ręce i kilkoma szorstkimi, papierowymi ręcznikami wytarł je do sucha. Spojrzał na zaczerwienioną skórę dłoni, a potem na zapięty na nadgarstku zegarek. Od telefonu minęło dziewięć minut. Przed lustrem przeczesał palcami włosy i ruszył w kierunku gabinetu szefa.

Weronika

Grono internetowych fanów jej bezrobocia stale rosło: utratą pracy zdobyła niemal trzysta polubień. Świetny wynik bez płatnej kampanii, spowodowany czystym, organicznym zainteresowaniem. Nic tak w końcu nie zachwyca jak czyjaś porażka. Weronika zastanawiała się, czy znajomi z podobnym entuzjazmem lajkowałiby post o jej zgonie. Tymczasem na palcach jednej ręki mogła policzyć osoby oferujące pomoc.

Było to dosyć smutne, biorąc pod uwagę liczące kilkaset osób grono znajomych na Facebooku. Wprawdzie wielu z nich nie rozpoznałaby na ulicy i prawdopodobnie nie wiedziałyby, o czym z nimi rozmawiać. Nie szkodzi, ważne, że istnieli. Regularnie

zatwierdzali raport z jej codzienności, aprobując dokumentację w postaci publikowanych przez nią zdjęć, lokalizacji, w których bywała, i stanów emocjonalnych, które przeżywała. Sushi na kolację? Popierali. Wakacje na Majorce? Zazdrościli. Niechęć do poniedziałków? Też tak mieli.

Wirtualne echo utwierdzało ją w przekonaniu, że żyje w sposób sensowny i atrakcyjny. Życzliwa masa bliżej nieznanych obserwatorów pełniła funkcję wymagowanego przyjaciela z dzieciństwa. Niby nikogo w polu widzenia, a jednak ktoś ją wspierał, ktoś jej odpowiadał, ktoś o niej wiedział.

Ale w ostatnim czasie jej akcje mocno spadły. Po zaspokojeniu początkowej ciekawości publiczność straciła zainteresowanie. Kolorowe ujęcia nowych nabytków, dań i podróży, zamieszczanych kilka miesięcy wcześniej, cieszyły się większą popularnością niż ponure obserwacje z bezrobocia. Kilkanaście osób dyskretnie usunęło ją z grona znajomych, a komentarze pojawiały się sporadycznie. Weronika stała się nudna.

Nic dziwnego. Pieniądze nadają życiu niewątpliwy połysk, a ona ich nie miała. Bez nich stała się wyblakła i matowa. Nie chodzi o to, że wcześniej zapewniały jej szczęście. Szczęścia nie można kupić, ale wolność – tak. Po namyśle stwierdziła, że to jej utratę odczuwała najboleśniej. Tęskniła za polem manewru.

„Tyle masz wolności, ile oszczędności” – głosił slogan reklamowy jej banku i jako jeden z nielicznych mówił prawdę. Otóż Weronika zaoszczędziła wolności za mało. Starczyło ledwie na pół roku. A przecież wszystko było pod długoterminową kontrolą. Kryzys? Słyszała o nim do znudzenia, ale jej nie dotyczył. Panoszył się jak wścieklizna w latach dziewięćdziesiątych, wszyscy w kółko o nim trąbili, ale pozostawał czymś abstrakcyjnym, nienamacalnym. Dopóki nie ugryzł.

– Nie maź się, tylko pomyśl, jak zasypać tę dziurę – powiedziała Kalina. – Poza tym porządki mają terapeutyczną moc.

Nie kryła podziwu, kiedy wyciągały kolejne wieszaki z szafy z ubraniami. Z uznaniem komentowała fasony i metki, od razu dokonując wyceny na internetowe aukcje. Kiedy posegregowały wszystko, Weronikę zdumiało, ile posiada ubrań. Sukienki, koszule, spódnice, spodnie, marynarki, bluzki, kurteczki i płaszcze pokrywały wszystkie meble i większość podłogi w salonie.

– A to wzięłabym sama – rozmarzyła się Kalina, unosząc wieszak z sukienką z cytrynowej skóry. – Mogę przymierzyć?

– Bierz, co chcesz. – Wzruszyła ramionami. W myślach próbowała obliczyć, ile wydała na wszystko, co znajdowało się w zasięgu jej wzroku. Po zsumowaniu kilkunastu cen uznała, że może lepiej nie wiedzieć. Buty zajęły cały przedpokój. Szpilki, baleriny, tenisówki, mokasyny i botki utworzyły barwny korowód krzyczący rozrzutnością. Nie przyznała się, że to nie koniec. Te używane rzadziej przechowywała w piwnicy razem z rzeczami na zimę.

– Mam mniejszy rozmiar – westchnęła z żalem Kalina.

– Czterdzieści jeden to u kobiety rzadkość. Kiedy byłam nastolatką, nie mogłam nic na siebie dostać. Całe liceum chodziłam w glanach. Dlatego teraz kupuję na zapas – Weronika próbowała się tłumaczyć.

– Ja noszę trzydzieści siedem, a też robię zapasy – roześmiała się dziewczyna, z uznaniem przyglądając się swojemu odbiciu w żółtej sukience. – Teraz ci się

przydadzą. Na samych butach zarobisz kilka tysięcy.

- Myślisz?

- Wiem. Zrób zdjęcia, a ja pokażę ci, jak je wystawić. Zostawię ci mój bezprzewodowy Internet. Tylko pamiętaj o dobrym świetle.

- Muszę się zastanowić, co zostawić.

- Nie bądź dla siebie zbyt szczodra. Zostanie ci to, co się nie sprzeda. Ja na dobry początek kupię od ciebie to. - Wygładziła sukienkę na biodrach.

- Myślałam, że ograniczasz zakupy.

- Ograniczam wydatki. A to jest okazja. Stówka wystarczy?

Weronika skinęła głową, choć sukienka kosztowała ją dziesięć razy tyle. Postanowiła jednak spuścić koleżance z ceny za fatygę. Kalina uwielbiała angażować się w misję poprawiania życia sobie i wszystkim wokół. Była mistrzynią diet, modowych przemian i noworocznych postanowień. W ubiegłym roku przerobiła fazę maratonów i zdrowego żywienia, a aktualnie fascynował ją ekologiczny minimalizm. Ale Kalina wprowadzała życiowe rewolucje dobrowolnie, a Weronika nie miała innego wyboru. Kiedy została sama, nalała sobie resztkę wina. Starczyło tylko na dno kieliszka. Po namyśle odkorkowała nową butelkę, ostatnią z lepszych. Okazja na to zasługiwała. Zapaliła wszystkie światła w mieszkaniu, łącznie z bocznymi kinkietami. Z szuflady białej komody wyjęła aparat i zaczęła fotografować swoje ubrania.

Każdą rzecz z osobna zapraszała na pusty blat stołu z surowych desek. Zamówiony u polskiego artysty w jednym z loftów zamienionym w designerską pracownię, stanowił atrakcyjne tło, jakby wycięte z efekciarskiego magazynu kulinarnego. Ustawiła balans bieli i zdecydowała się na wyłączenie flesza, żeby wydobyć najwierniejsze kolory. Kilka łyków wina później wczuła się w rolę producentki sesji. Drapowała kreacje i przystrajała je dodatkami. Nie żałowała czasu. Każdej robiła portret. Każdą żegnała, przywołując wspomnienia.

Błękitną bluzkę włożyła, kiedy starała się o pierwszą pracę. Czerwoną sukienką na krzyżujących się ramiączkach świętowała najważniejszy awans. Czarną jedwabną halkę z koronką kupiła, kiedy pozwoliła sobie na romans z klientem, sporo starszym, żonatym i oddanym jej jak pies. Pistacjowe spodnie, do których malowała paznokcie na wściekły róż, to pamiątka po wakacjach we Włoszech, gdzie wygłupiały się z koleżankami w lunaparku i piły drinki w barach przy promenadzie. Szara torebka Donny Karan była w nagrodę za cholernie trudny, ale satysfakcjonujący projekt. Granatowych szpilek szukała bardzo długo, za to czarne, na niebotycznym metalowym obcasie, kupiła pod wpływem impulsu. Nie miała gdzie w nich chodzić, ale dzięki nim czuła się jak bogini. Nie lubiła tylko białej princeski, wybrała ją, próbując zdobyć pewnego nadętego kretyna.

Każda z jej rzeczy zasługiwała na chwilę zadumy i uważne rozstanie. Każdej układała epitafium - opis przymiotów i magicznych właściwości na internetowe aukcje. Ubrania w przeciwieństwie do ludzi nie znikwały i nie sprawiały zawodu. Miękkie, milczące, wyrozumiałe. Obejmowały ją, ogrzewały, broniły przed złymi spojrzeniami. Zamawiała dla nich miękkie wieszaki i pachnące saszetki z lawendą. Stroje stały się częścią niej.

Tej części musiała się teraz wyrzec. Splot niesprzyjających okoliczności zdarł z

niej skórę i kazał uzbroić się w nową, grubszą i tańszą. Wczoraj była pożądaną klientką i liczącą się pracownicą. Dziś – zbędna, niepraktyczna, nie na trudne czasy. Mróz zaskoczył ją później niż wszystkich. Gdzie popełniła błąd? A może ktoś ją zwyczajnie oszukał?

To pewnie wino uderzyło jej do głowy i kazało się rzucić na rozrzucone po całym pokoju ubrania. Zmusiło ją, by tuliła się do nich, zanosząc się szlochem. Tak, to było jedyne racjonalne wytłumaczenie. Weronika musiała je znaleźć, by móc się ludzić, że pozostała przy zdrowych zmysłach.

Leon

Przeczuwał, że nastąpi ciąg dalszy, i się nie mylił. Wkrótce zaczęły przychodzić następne. Listy bez znaczka i nadawcy, w białych, zaadresowanych na komputerze kopertach, wrzucane do skrzynki na listy lub wsuwane nocą pod drzwi lombardu. Napisane tą samą ręką, ale już nie tak pełne chaotycznych emocji. Jakby w nadawcy zaszła przemiana. Musiał dojrzeć i sprecyzować swój cel. Bo koperty zawierały wezwanie do zapłaty. Kolejne przesyłki wyznaczały coraz krótszy, nieubłagane zbliżający się termin uregulowania należności.

Dwieście tysięcy z odsetkami. Przez trzydzieści lat według niezrozumiałego przelicznika zrobiło się prawie pół miliona. Sęk w tym, że Leon spłacił wszystkie swoje długi. Przynajmniej tak mu się wydawało.

Anonimy zawierały szczegółowe wyliczenia, obejmujące stopy procentowe i wskaźniki inflacji, ale brakowało w nich informacji na temat sposobu spłaty długu. Nie podano nawet numeru rachunku bankowego. Drobnym drukiem dopisano, że w wyznaczonym terminie Leon otrzyma stosowne instrukcje. Ktoś miał się z nim skontaktować.

Wszystko to wydawało mu się absurdalne, a jednak nie umiał po prostu wyrzucić listów ani o nich nie myśleć. Nie zamierzał zgłaszać tego na policję, formalnie nikt mu przecież niczym nie groził. Mimo to czuł narastający niepokój, stopniowo przeradzający się w panikę. Najbardziej przeraża to, czego nie widać.

Wciąż się rozglądał i znowu zaczął palić. Przed wyjściem z domu uchylał drzwi i najpierw obserwował ulicę. Uważniej niż dotąd mierzył wzrokiem klientów lombardu, a pomiędzy ich wizytami miał się na baczności. Wieczorami, sam w pustym domu, nie mógł sobie znaleźć miejsca. Siedział przy zgaszonym świetle, a od czasu do czasu zbliżał się do okna, ostrożnie wciskając się w róg pokoju, aby szyba nie mogła go zdradzić. Patrzył na uspięne osiedle, drżąc jak ruchome cienie drzew. Nasłuchiwał.

Za dnia było mu rażniej i próbował wtedy przywołać się do porządku. Nie mógł beczynn timer popadać w obłęd. W tę czy we w tę, coś musiało się wydarzyć.

Problem w tym, że nie tylko Leon tak uważał. Nadawca listów również.

Rozdział siódmy

Damian

- Siadaj.

- Dzięki.

- Co to za mina? Pewnie zastanawiasz się, o co chodzi? - SzeF nie usiadł obok Damiana przy stoliku dla gości, tylko oparł się o duże, narożne biurko. Ręce trzymał w kieszeniach atramentowych spodni.

- Zamieniam się w słuch.

- Najpierw posłucham ja. Jak ci się u nas pracuje?

Pytanie, na które nie ma dobrej odpowiedzi.

- Jestem bardzo zadowolony. Mam nadzieję, że firma ze mnie też. - Andrzej nie połknął haczyka.

- A jak oceniasz ostatnie miesiące z perspektywy kilku spędzonych tu lat?

Każde pytanie przypominało zakręt labiryntu. Wystarczył jeden fałszywy krok.

- To był wymagający okres - spróbował.

- Zgadza się - odparł szef z miną aligatora czającego się w zaroślach.

- Mimo wielu wyzwania dawaliśmy z siebie wszystko.

Kolejny unik, kolejna zyskana chwila.

- Wszyscy?

- Tak sądzę.

Nigdy, nigdy się nie poddawaj. Nigdy, nigdy się nie przyznawaj.

- Niestety nie mogę się z tobą zgodzić. Twoja praca odstaje od reszty pracowników działu. - Andrzej zawiesił głos i splótł ręce na brzuchu. Damianowi przywidziało się, że się po nim pogładził.

- Ja... robiłem, co w mojej mocy. - Opuścił dłonie pod stół. Z całej siły zacisnął je na kolanach, by powstrzymać ich drżenie.

- Obserwowałem cię. Przejrzałem twoje sprawozdania i przesłuchałem twoje rozmowy z klientami. Rzuciłem też okiem na twoje pliki na dysku. Wnioski nasuwają się same.

Damian zaczerwienił się po krańce uszu. Zastanawiał się, o które rozmowy chodzi. I czy na pewno wyczyścił historię przeglądarki.

SzeF odwrócił się i poszedł w stronę biurka.

- Od poniedziałku możesz zmienić lokal - powiedział, zajmując miejsce w fotelu, jakby właśnie zakończył rozmowę.

Damian zacisnął zęby. Nie było sensu się odzywać. Za dobre sprawowanie na odchodne mógł dostać przyzwoite warunki. Wstrzymał oddech, by nie pogarszać sprawy.

- Co tak zbladłeś? - Andrzej roześmiał się w trudny do zinterpretowania sposób. - Przeprowadzasz się za ścianę. Awansujesz na mojego zastępcę.

- Słucham? - skołowany usiłował rozgryźć, co to za gra.

- Jesteś najlepszy! Wszyscy to powiedzą, a ja zadbałem o to, żeby powiadomić

górze. Zresztą sami zainteresowali się podwyższoną ściągalskością. Opowiedziałem im więc o naszej legendzie: Damian od przypadków beznadziejnych. Zastanawialiśmy się nawet, czy nie zamówić dłużnikom kubków z hasłem *Ja ci Dam!* Koniec wydzwaniania po rencistach i bezrobotnych. Zajmiesz się klientami strategicznymi. Jeśli wykażesz podobną skuteczność, daleko zajdziesz.

- A co z... - Damian wyrzucał z siebie pojedyncze słowa.

- Krzysiek? Z końcem miesiąca rozstaje się z firmą. Ma niewykorzystany urlop, więc w pracy będzie jeszcze tylko przez kilka dni.

„Rozstaje się z firmą. Kończy współpracę. Podejmuje nowe wyzwania” - gładkie słowa, pudrujące brzydki fakt wylania kogoś z roboty. Oficjalnie oszczędzają upokorzenia zredukowanemu, ale każdy wie, o co chodzi.

- Czy on...

- Sam chciał odejść - szef czytał mu w myślach. - Naprawdę. Otwiera knajpę czy coś.

Andrzej przewrócił oczami, a Damian szeroko otworzył swoje. Nie wiedział, co bardziej go zaskoczyło. Awansu właściwie mógł się spodziewać. Przez kilka chwil rozmowy zdążył już nawet odrobinę do niego przywyknąć.

- Punkt za odwagę - powiedział bez ironii.

- Jeszcze będzie piszczał, żebyśmy go przyjęli z powrotem. Na słuchawce zawsze znajdzie się miejsce - zarechotał szef.

Damian dołączył, nie wypadało inaczej. Poza tym słuchawka już go nie dotyczyła.

- A wracając do ciebie - Andrzej odchrząknął i opuścił uniesione przed chwilą kąciki ust - to zanim wszystko domkniemy, jest sprawa. Od pięknej wizji twojego nowego stanowiska dzieli nas jedna formalność. Drobiazg. Właściwie odpowiedź na jedno proste pytanie.

- Tak?

Jeśli kazałby mu zdjąć majtki lub sprzedać własną matkę, Damian z pewnością by to rozważył, nie oczekując przesadnie długiego czasu do namysłu.

- Co sądzisz o usługach oferowanych przez nasz bank?

Pytania o opinie były w firmie rzadkością. Damian z powrotem napiął zrelaksowane mięśnie twarzy.

- To podchwytliwe pytanie?

- Wymagające uczciwej odpowiedzi.

- Tysiące naszych klientów i dobre statystyki mówią same za siebie.

- Teraz mówisz sam za siebie. Jak oceniasz nasze produkty?

Damian szukał właściwych słów. „Gówno” nie zabrzmiałoby w tej sytuacji najlepiej.

- Nasza oferta to efekt starań całego zespołu - zaczął.

Szef zmrużył oczy.

- Bez wątpienia jest konkurencyjna. Atrakcyjna - szybko się poprawił.

- Cieszę się, że tak sądzisz. Skoro cenisz jakość naszych usług, dlaczego do dziś nie zostałeś naszym klientem?

- Ja... - z trudem łapał powietrze. - Właściwie... właściwie nie wiem.

Wiedział. Nie chciał.

- Nie wiążesz z nami długoterminowych planów? A może twoje obecne

wynagrodzenie cię ogranicza? W każdym razie od przyszłego miesiąca ten problem nie będzie cię już dotyczył. Więc jak będzie, Dam? Dołączysz do nas?

- Chcesz, bym wystąpił o kredyt? - zapytał Damian.

- Powinieneś grać w naszym zespole. Pracować na, jak to zgrabnie ująłeś, dobre statystyki.

- Ale ja... nie potrzebuję dodatkowego finansowania. Nie planowałem większych wydatków. Zresztą, dotychczasowa pensja w zupełności pokrywała moje potrzeby.

Szef przyglądał mu się przez kilka chwil, a potem przeszedł do studiowania dokumentów leżących na jego biurku.

- Rozumiem - odparł chłodno. - Nie było rozmowy.

- Nie, nie to chciałem powiedzieć. - Damian zrozumiał swój błąd. - Ja...

- Myślałem, że ucieszysz się z niespodzianki i ogłosimy wszystko na firmowej wigilii. Skoro jednak potrzebujesz czasu do namysłu, prześpij się z tym przez święta.

- Dziękuję - jęknął, niemal pewny, że wszystko stracone.

- Podziękujesz później. W międzyczasie kadry przygotowują ci aneks, a Klaudia uporządkuje gabinet. - Andrzej puścił oko na dźwięk imienia swojej urodziwej asystentki.

Damian wstał i skierował się do wyjścia.

- Gratulacje! - rzucił szef, zanim zamknął za nim drzwi.

Leon

Trzeba mieć jaja, żeby prowadzić własny biznes. Formalności, konkurencja, dziadowanie na głodowej marży. Każdy dobry pomysł następnego dnia inni kopiowali w kilkunastu tańszych i ulepszonych wersjach. Wieczny wyścig. Nic do odkrycia. Sztuczne utrzymywanie się przy życiu. Młodzi jeszcze się oszukiwali, ale firmy padały jak muchy. Wytrzymały rok, może dwa. Knajpy, salony urody, sklepiki - wszystkiego było za dużo, z wyjątkiem klientów. Starym wyjadaczom wcale nie szło lepiej. Leon widział niejednego spektakularny upadek. Sklepy, usługi, zakłady produkcyjne - wszystko równomiernie trafiał szlag. Pracowników wyrzucano na bruk, majątki szły pod młotek za ułamek wartości. Dawne imperia niszczały i parszywiały, prezesi zaś trafiali za kratki lub do rynsztoku, a kilku skończyło na sznurze lub z kulką własnoręcznie wpakowaną w łeb. Jeśli wciąż żyli, bankruci powolnym ruchem staczali się na dno. Leon zaczął pić dopiero, kiedy rzuciła go żona. A może było odwrotnie? Pamiętał tylko, że nie potrafili sobie wzajemnie wybaczyć. Własnej nieudolności, straconego dorobku i zaprzepaszczonych szans na bezpieczną przyszłość. Tego, że się poddali, każde na swój sposób. Zdaniem Haliny popadł w niczym nieusprawiedliwioną bierność. Stał się bezsilny i bezradny, nie umiał się pozbierać. Albo nie chciał. Kategorycznie odmawiał przejawiania woli życia. Miesiącami nie wychodził z domu, ukrywając się przed wierzycielami i sąsiadami, bo wstydził się spojrzeć im w twarz. Zaniedbał się, zarósł. Całymi dniami milczał, a kiedy już się odzywał, to opryskliwie. Jego

ulubionym słowem stało się „nie”. Nic mu się nie chciało, nawet jeść. Według żony, zamiast pomagać, całymi dniami oglądał telewizję.

Myliła się. Leżał przed telewizorem, ale spał, a to istotna różnica. Oglądanie wiąże się z ciekawością, otwartością na świat. To czynność dla entuzjastów, którzy na coś czekają, chcą się czegoś dowiedzieć. Leon natomiast obraził się na świat i wolał, by ten zszedł mu z oczu. Zaciskał powieki, bo nie chciał go więcej widzieć. A gdy się budził, pił, bo wódka pomagała na bezsenność.

Nie umie powiedzieć, jak długo to trwało. Może dlatego przeoczył ewolucję Haliny, gdy ta w obliczu problemów zakasała rękawy i wzięła się do roboty. Podobno mężczyźni bez porównania gorzej znoszą trudności: baranieją, podczas gdy w kobietach rodzą się wojowniczkę. I Halina wojowała. Najpierw z Leonem, próbując postawić go na nogi. Nie widząc szans na sukces, poddała się i sama stanęła do boju. Postawiła sobie za cel spłacić długi i wyjść na prostą. Dogadała się z wierzycielami i zaczęła szukać pracy. A potem go zdradziła.

Zarzekła się, że to nie tak, że on nic nie rozumie, że ona nie zrobiła nic przeciwko niemu. Ale dla niego to był koniec.

Kiedy się wyprowadziła, jedyne, co mu pozostało, to poczucie godności. To ono, w połączeniu z wściekłością i pragnieniem zemsty, wyciągnęło go z pościeli i kazało się ogolić. Tylko dzięki niej stopniowo uporządkował gruzowisko, jakim stało się jego życie. Wciąż miał dwie ręce, sprawną głowę i pusty lokal na parterze szeregowki, gdzie otworzył lombard. I miał siebie.

Halina nigdy się nie upomniała o swoją część ich wspólnego domu. Tym samym przyznała się do winy i próbowała to Leonowi zrekompensować. Albo nie chciała kopać leżącego, ale tej możliwości wolał do siebie nie dopuszczać.

Jednak Leon powstał. Podniósł się z ziemi, otrzepał i każdego dnia troszeczkę bardziej prostował kark. Po kilku latach odwrócił los na swoją korzyść. Interes szedł jako tako, wystarczał na jego potrzeby. Gdyby nie wysoki czynsz i rachunki za ogrzewanie, byłby na plusie.

Nie potrzebował tak dużego domu – drogiego w utrzymaniu i ziejącego pustką. Wraz z Haliną zniknęło stąd wszystko, co miękkie i ciepłe. Zimnych i śliskich podłóg nie wyścielały puszyste dywany, a gołych okien nie otulały mięsiste zasłony i ażurowe firanki. Leon nie miał głowy, żeby to wszystko prać i odkurzać. Brakowało też czegoś jeszcze, czego nie umiał zdefiniować. Czegoś nieuchwytnego, jakiejś kobiecej aury, niewidzialnej jak ogrzewający oddech spod falujących, aksamitnych piersi. Echo dźwięczące w wymarłych pokojach codziennie przypominało mu, że poniósł porażkę. Puste szafy i ogołoczone półki potęgowały pogłos jego samotnych kroków, które wieczorami prześladowały go jak duchy. Nic na to nie pomagało, nawet filcowe kapcie ani nasenny kieliszek. Czarne dziury okien czyhały, by wessać go w próżnię. A człowiek od listów przysłał kolejny anonim. Obserwował go w mroku, odliczając czas.

Leon znał ten mrok. Raz już tam trafił. Teraz jednak nie zamierzał biernie czekać. Rozświetlił ciemność pokoju biurkową lampką i włączył wolno rozgrzewający się stacjonarny komputer. Nie bez wysiłku złożył kilka zdań na białym arkuszu dokumentu. Raz po raz czytał je, bezgłośnie ruszając ustami. Próbował zawrzeć maksimum znaczenia w minimalnej liczbie słów. Wreszcie,

bardziej znużony niż zadowolony, zlecił wydruk piszczącej drukarce.

A potem zapalił więcej świateł i zabrał się za gruntowne porządki. W końcu zbliżały się święta.

Weronika

Obudziła się obolała, zwinięta na posłaniu z rozrzuconych ubrań. Zasnęte usta, pełny pęcherz i boląca głowa rywalizowały ze sobą o pierwszeństwo obsługi. Przez kilka chwil leżała bez ruchu, nie mogąc udźwignąć ciężaru decyzji, którą potrzebę zaspokoić najpierw. W końcu wstała i stopami odgarnęła wśród odzieży ścieżkę prowadzącą do łazienki. Siedząc na sedesie, piła wodę prosto z kranu, starając się unikać widoku lustra. Wzięła gorący prysznic. Trochę za długi, ale o tym, że powinna oszczędzać wodę, przypomniała sobie za późno. Pospiesznie spłukała z ciała karmelowy żel, a z włosów migdałową maskę. Kosmetyki z luksusowej drogerii powoli się kończyły, zapowiadając nieuchronny kres dni, kiedy jej ciało pachniało dobrobytem.

Przed śniadaniem poszła do sklepu. Dawniej wolała zamawiać zakupy przez Internet, ale teraz to jedzenie, a nie czas, stanowiło główny obszar oszczędności. Ze spuszczoną głową minęła delikatesy, gdzie kiedyś kupowała sycylijskie pomarańcze i francuskie sery. Ostatnio nie zapuszczała się nawet na osiedlowy bazar z domowym chlebem i swojskimi wędlinami. Od kilku miesięcy wybierała blaszany pawilon supermarketu, bo choć musiała nieco nadkładać drogi, oferował najniższe ceny. W zamian za nie była gotowa wyrzec się okien i muzyki z głośników. Nie przychodziła tu przecież dla przyjemności.

W towarzystwie emerytów i studentów krążyła wokół świątecznych palet z promocjami i lodówek z żywnością na granicy terminu ważności. Do płóciennej torby pakowała szkliste, rozpadające się makarony i najtańszy ryż, który nie znał stanu pośredniego między surowizną a rozgotowaną breją. Owocowe musli z jogurtem zastąpiła owsianką na wodnistym mleku, a oliwę z oliwek olejem w dwulitrowym baniaku. Pożegnała się też z szynką na rzecz mielonki, paprykarza i pasztetu. Dzięki temu w pewien sposób znowu poczuła się młoda, choć nie szczuplejsza, bo tańsza dieta okazała się bogatsza w puste kalorie. Od taniego ziołowego szamponu natychmiast dostała łupieżu. Twarz zmywana mydłem zamiast hipoalergicznym mleczkiem na bazie wody termalnej, czerwieniła się i łuszczyła. Tkaniny prane w proszku bez dodatku zmiękczającego płynu tarły i parzyły skórę.

Weronika stała się chodzącym dyskomfortem. Wszystko ją piekło i szczypało. Czowała się przesuszona, niedożywiona, pozbawiona witamin i minerałów. Miała wrażenie, że bez odpowiedniej pielęgnacji jej włosy i skóra traciły blask, a ubrania kolor. Tyła, gasła i szarzała. Trudno ocenić, czy reagowała alergicznie na odstawienie stałych produktów, czy na wspomnienie swojego dzieciństwa czającego się w zapachu taniej margaryny i szamponu z pokrzywy.

Dbanie o siebie oznaczało wyłącznie konieczny do wyeliminowania luksus. Następnym w kolejności po przejściu na telefon na kartę i odłączeniu kabłkówki.

Zbierała paragony i sumowała wydatki w specjalnym arkuszu w excelu. Funkcjonowała z kalkulatorem w umyśle, maniakalnie licząc i pilnując limitów. Odkładała drobne do skarbonki, a życie na później. Czarna godzina uparcie nie chciała się skończyć. Znała takich, u których trwała całe życie. Jeśli nie zaczną działać, mogła do nich dołączyć.

Za namową Kaliny obliczyła, ile mogłaby zarobić, gdyby sprzedała najwartościowsze sprzęty z mieszkania. Telewizor, miniwieża, odtwarzacz DVD, ciśnieniowy ekspres do kawy, rowerek do ćwiczeń. Na jakiś czas powinno wystarczyć. Może półtorej, dwie zaległe raty.

Odeszła od kasy z dwiema torbami, pełnymi przecenionych dóbr. W normalnych okolicznościach tak niski rachunek zrobiłby na niej wrażenie. Ale teraz była na siebie zła, że wydała za dużo.

Przystanąła, kiedy z kieszeni kurtki dobiegł fałszujący dzwonek starej nokia, która zastąpiła jej służbowy smartfon. Milczący na co dzień telefon jak zwykle dzwonił w nieodpowiednim momencie, gdy akurat nie miała wolnej ręki. Postawiła torby na pokrytym szaro-żółtym śniegiem chodniku i odebrała.

- Czy ogłoszenie jest jeszcze aktualne? - zapytał dziewczęcy głos.

Weronika usiłowała sobie przypomnieć, ile rzeczy wystawiła na sprzedaż poprzedniego wieczoru.

- Może pani śledzić wszystkie aukcje na bieżąco.

- Chciałabym zapytać o opcję odbioru osobistego.

- Bez problemu, to na Tuwima.

- Świetnie - ucieszyła się małolata. - Zależy mi na czasie.

- Kiedy chciałaby pani się umówić?

- Teraz?

- Właściwie... dobrze. Za kwadrans będę w domu. Która aukcja panią zainteresowała?

- Wszystkie.

Weronika nacisnęła przycisk z czerwoną słuchawką i schowała telefon do kieszeni granatowej kurtki. Naciągnęła białą uszankę na ucho i podniosła z chodnika obie torby. Zdążyły zamoknąć i teraz od spodu ściekały z nich brunatne strużki. O dziwo nie wyprowadziło jej to z równowagi. Przez siwe chmury o konsystencji zsiadłego mleka przebiły pierwsze od miesiący promienie słońca.

Kinga

Miała niewytłumaczalną słabość do uduchowionych poradników i filozoficznych powiastek o magicznych mocach, które sprzyjają każdemu, kto ośmieli się sięgnąć po własne marzenia. Wspólne przesłanie tych lektur brzmiało: wyraż prośbę, a wszechświat odpowie. Wiedziała, że to popularny chwyt wydawców zarabiających na życiowych nieudacznikach i handel złudzeniami dla ubogich, ale nie przeszkadzało jej to. Lubiła powiew pozytywnej energii, jaką niosły ze sobą ozdobne książeczki. A ostatnio czuła się, jakby stała się ich bohaterką.

Mimo podcinających skrzydła wątpliwości, z pomocą Edith zdążyła wypełnić zgłoszenie do castingu i przeszła formalną selekcję. Zostało jej kilka tygodni na przygotowania. W pracy zrezygnowała z przerw i na zapleczu dopracowywała szkice. Wszystkie pomysły miała w głowie, a część gotowych projektów w domu. Jej kolekcja była prawie kompletna. Pracowała nad nią od lat, a jej wizją żyła od zawsze. „Kolekcja to ja” – w myślach powtarzała słowa swojej idolki, Peggy Guggenheim. Kreacje wymagały ostatecznego szlif, a do tego potrzebowała pieniędzy. Wtedy trafiła na ogłoszenia. Znalazła kilkadziesiąt fantastycznych ciuchów, wystawionych na sprzedaż. Patrzyła na metki i ceny i nie mogła uwierzyć. Wszystkie pochodziły od tego samego sprzedającego. Bez wahania zadzwoniła pod podany numer telefonu. Czterdzieści minut później minęła portiera i pukała do lśniących drzwi w nowym budynku mieszkalnym Solaris Park. Jedna z lepszych miejscówek w mieście. Otworzyła jej młoda kobieta z ciemnymi włosami, spiętymi w kucyk, atrakcyjna mimo braku makijażu i szarego dresu.

Kinga podejrzewała, kto może kryć się za ogłoszeniami. Wystawione ubrania wskazywały na właścicielkę świadomą siebie i mody. Osobę z klasą, nawet w warunkach domowego luzu. Z tak doskonałym smakiem albo się rodzi, albo wyrabia się go latami. Moda jest sprawiedliwa, nie zważa na pochodzenie, lecz na oddanie. Jej najzarliwsze adeptki często strojem próbują nadrobić pewne braki. Przy odpowiednim zaangażowaniu są w stanie osiągnąć mistrzostwo, prześcigając umiejętności dobrze urodzonych. Tak jak stojąca w drzwiach kobieta.

- Cieszę się, że tak szybko znalazła pani dla mnie czas.

- Weronika. - Brunetka wyciągnęła dłoń z nadgarstkiem objętym cieniutką bransoletką.

- Kinga.

- Miło mi. Zapraszam do mojego sezamu.

Z progu przeszły do przedpokoju, który w amerykańskim serialu mógłby grać garderobę marzeń, wzbudzając zazdrosne piski wśród przychodzących w odwiedziny przyjaciółek. Lustrzane drzwi białych szaf, odsunięte ręką Weroniki, ukazały kilkupoziomowe rzędy wieszaków, pojemników na bieliznę i półek na buty. Torebki stały obok siebie w równych szeregach. Paski, apaszki i inne kłopotliwe w przechowywaniu dodatki zostały okiełznane za pomocą uchwytów i koszyczków. Nad całością unosił się subtelny zapach perfumowanych sakiewek. Kinga nigdy nie widziała takiej ekspozycji w domowych warunkach.

- Chciałabym mieć choć ułamek tej przestrzeni - westchnęła.

- Kiedyś będziesz. Ja też długo o takiej marzyłam, aż się doczekałam. A teraz... - zawiesiła głos.

- Wietrzenie szaf pod nową kolekcję?

- Coś w tym rodzaju.

- Podobno z wiekiem liczba ubrań przeciętnej kobiety maleje. Stajemy się bardziej świadome swoich potrzeb i kupujemy racjonalnie.

- Oby! Choć życzyłabym sobie, byś teraz nie wykazywała się zdrowym rozsądkiem.

Na ustach Weroniki pojawił się uśmiech, ale było w nim coś smutnego.

- Dziś usprawiedliwia mnie tylko to, że nie kupuję dla siebie - Kinga

odpowiedziała uśmiechem.

- Na prezent?
- Pracuję nad pewnym projektem.
- Ciekawe. O ile uznaje się używaną odzież.

Weronika należała najwyraźniej do osób głośno wyrażających opinie uważane przez innych za nietaktowne. Takie jak ona mrugają oczami na słowa „transport publiczny” albo głośno zastanawiają się, do czego służy namiot. I nie chodziło tu wcale o zarozumiałość i nonszalancję, raczej dziecięcą bezpośredniość.

- Czysta ekonomia. - Kinga wzruszyła ramionami. - Nikt nie lubi przepłacać.

Wszyscy lubimy oszczędzać.

- Nie wiem, czy użyłabym akurat słowa „lubić”.

- Gdybym mogła, wzięłabym wszystko - zmieniła temat, ledwie powstrzymując się od wsunięcia dłoni między szlachetne tkaniny rozpostarte na wieszakach.

- Możesz. - Weronika skinęła głową z uśmiechem chytrzego sprzedawcy.

Kinga nie wiedziała, czy to pozwolenie na dotyk, ale zaryzykowała. Pogładziła koszulę z granatowego jedwabiu. Przeczucie jej nie myliło. Jakość wyczuwa się natychmiast.

- Ceny są bardzo kuszące, ale i tak będę musiała z czegoś zrezygnować - westchnęła.

- Przy większym zamówieniu możemy porozmawiać oniżce. Wolałabym mieć to jak najszybciej z głowy.

- Rozumiem. Choć trudno mi sobie wyobrazić, jak można chcieć rozstać się z tymi cudami.

- Siła wyższa. Rozgość się.

Kinga zaczęła wyjmować z szafy wieszaki z ubraniami. Po kilku minutach miała już całe naręcze. Weronika odebrała je od niej i zaniosiła na sofę w salonie. Potem zostawiła ją sam na sam z resztą zawartości szafy i wyszła do kuchni. W tej części mieszkania pomieszczenia były otwarte i tworzyły wspólną przestrzeń. Weronika stała odwrócona do okna. Najwyraźniej ufała obcym.

- Kawy? - zapytała.

- Nie chciałabym robić kłopotu.

- Dla klientów VIP gratis.

Uśmiechnęły się do siebie. Kinga skinęła głową i przysiadła na krawędzi sofy zasypanej stosem ubrań i akcesoriów. Po chwili zawarczał ekspres.

- Nie wiem, gdzie ja to wszystko pomieszczę - powiedziała, kiedy Weronika podała jej małą srebrną filiżankę, a sama usiadła w białym fotelu. - Mieszkam w pudełku po butach. Szukam czegoś większego do wynajęcia.

- Niedawno doradziłabym ci, byś nie traciła czasu na wynajem i zainwestowała w kupno. Ale teraz sama nie wiem.

- Wynajem to dla właściciela złoty interes. Gdybym dorobiła się własnego M, nie zastanawiałabym się, podnajęłabym komuś chociaż jeden pokój.

- Oj, szybko by ci przeszło. - Weronika pokręciła głową. - Jaki jest sens mieszkania na swoim, jeśli musisz je dzielić z kimś obcym?

- Nie mam dużych wymagań, za to lepsze pomysły, na co wydawać pieniądze. Na przykład na pół twojej garderoby - roześmiała się Kinga.

Wyszła z pustym portfelem i ubraniami wypełniającymi dwie walizki, które przezornie zabrała ze sobą. Wydała większość oszczędności, ale wiedziała, że inwestycja szybko się zwróci. Czas gonił, czekały ją pracowite dni. Przy dobrych wiatrach powinna zdążyć z zakupem brakujących materiałów i dokończeniem projektów uzupełniających kolekcję. Na etap castingu powinno wystarczyć. A potem się zobaczy.

Teraz potrzebowała już tylko zimnej krwi, by nie zawrócić i nie uciec. Oraz własnego kąta. W kanciapie u ciotki warunki do pracy były co najmniej niesprzyjające.

Łucja

Ktoś wpuścił kobiety w niezłe maliny. Nie wiadomo, kto je tak urządził, przewrotna natura czy sprytni mężczyźni, którzy wcisnęli je w karby oczekiwań. Rozdarła między sobą a innymi, przez całe życie miotają się, nie zaznając spokoju. Wtłoczone w rolę opiekunek, na zmianę marzą o tym, żeby z kimś być i się od kogoś uwolnić. Jako dziewczynki tęsknią za dorosłością i opuszczeniem klatki rodzinnego domu. Kiedy tylko jako tako się usamodzielnia, zaczynają rozglądać się za mężem, drżąc przed widmem samotności. Jak ćmy lecą przed ołtarz, lecz od narodzin pierwszego dziecka przez dwadzieścia lat marzą tylko o tym, by wszyscy dali im święty spokój. W tym czasie dzień spędzony we własnym towarzystwie jawi im się jako nieosiągalny luksus. A gdy wreszcie nadchodzi upragniony moment i w rodzinnym gnieździe robi się pusto i cicho, znów zaczynają czuć się nieswojo. Jeśli w porę nie pojawią się wnuki, całą uwagę skupiają na starzejącym się małżonku, którego pielęgnują jak zastępcze potomstwo. Z wiekiem i postępującym zniedołężnieniem staje się on kulą u nogi i codzienną udręką. Gdy w końcu umiera, zawsze za wcześnie i niespodziewanie, kobiety zamiast odczuwać ulgę, wpadają w rozpacz. Na horyzoncie pojawia się perspektywa samotnej starości i dręczy bardziej niż wszystkie dotychczasowe uciążliwości razem wzięte.

Łucja miała za sobą wszystkie te etapy. Aktualnie przerabiała ostatni i wariowała z tęsknoty za towarzystwem. Od kilkunastu lat była wdową z dorosłą córką, dawno niepotrzebującą już jej wsparcia, a Łucja nie przyznała się, że teraz przydałoby się ono jej. Rozumiała Renatę i wnuka, w końcu wiedli zapracowane miejskie życie, więc nie śmiałyby prosić o więcej niż wspólny obiad raz na kilka tygodni. Ale to nie wystarczało. Łucja odbijała się od pustych ścian dzwoniącego ciszą mieszkania jak zwierzę w klatce. Dlatego poszukała sobie pracy. A teraz ta została jej odebrana. Sprawy zaszły za daleko. Nie chciała, nie mogła już wrócić do tego, co przedtem. Po kilku cudownych dniach między ludźmi nie zniosłaby kolejnego miesiąca w czterech ścianach, kolejnego roku wegetacji. Po co to ciągnąć? W imię czego? Marnotrawstwo energii i przestrzeni, niedopuszczalne w czasach kryzysu.

Decyzja nie przyszła jej łatwo, ale w chwili, kiedy ją podjęła, poczuła ulgę. Nagle wszystko stało się proste i oczywiste. Doskonale wiedziała, co robić, w naturalny sposób przystępowała do realizacji kolejnych czynności. Zaczęła nawet czuć

pewnego rodzaju podniecenie, choć przecież szykowała się do pożegnania. Zupełnie jakby wybierała się w podróż i przeżywała reisefeber. W pewien sposób tak zresztą było. Domyślała się, że sprawi bliskim ból, choć w głębi duszy ogarniały ją wątpliwości. Z pewnością jednak kiedyś docenią to, co zamierzała zrobić. Przecież działała dla ich dobra. Dla dobra ich wszystkich.

Przygotowania wymagały czasu, a ona go nie miała. Starsi ludzie od pewnego momentu podświadomie szykują się do odejścia. Stopniowo pozbywają się rzeczy, rozdając je lub wyrzucając. Spisują testamenty, wybaczą dawne urazy, dokonują posumowania zysków i strat. Na wszelki wypadek, żeby być gotowym, kiedy przyjdzie pora. Nieraz z całego życia przetrwa niewielkie pudełko zdjęć, garść biżuterii i blaknący zwitek wspomnień. Dziwne, jak niewiele zostaje w ostatecznym rozrachunku. Jak niewiele naprawdę ma wartość. Jak niewiele potrzeba. Łucja nie rozpamiętywała i nie oglądała się za siebie. Jakby ją ktoś znieczulił, a raczej otępił powalającym ciosem. Musiała się spieszyć, zrobiła więc radykalne cięcie. Uporządkowała formalności, a to, co niezbędne, zmieściła w płóciennym torbie na zakupy.

Była gotowa.

Rozdział ósmy

Damian

Dziesięć godzin dziennie. Tyle oddawał pracy od poniedziałku do piątku. Kawał czasu, kiedy świat za oknem prezentował się w najlepszej wersji, podobnie jak on sam. Zostawały mu ochłapy pospiesznych poranków i ciemnych, wyprutych z energii wieczorów, przy czym jedne i drugie psuła gonitwa myśli o tym, co miał jeszcze do zrobienia. Teraz chcieli zawłaszczyć także jego święta, nieliczne wolne dni, które dawały najemnym robotnikom złudzenie wolności. Zmusili go, by rozmyślał o firmie.

Był wściekły.

Czuł w tym wszystkim jakieś oszustwo. Przecież to niemożliwe, by najlepszym rozwiązaniem, wypracowanym przez tysiące lat cywilizacji, pozostawało niewolnictwo. Sprzedawanie swojego czasu, twórczej myśli i możliwości ciała w zamian za przetrwanie. Pensje wypłacane za sztucznie wymyślone, nic niewnoszące zajęcia obliczono tak, żeby nie dało się za nie długo przeżyć ani kupić wystarczającej liczby potrzebnych produktów, zaprogramowanych tak, by psuły się jak w zegarku. Trzeba pracować więcej i więcej, by kupować znowu i znowu. Niekończąca się opowieść.

Musiał jeszcze trochę wytrzymać, poudawać ludzkie dynamo. Podbijając co rano kartę, podtrzymywał pozory, publicznie wyznając pracownicze credo.

„Wierzę w sens etatowej pracy.

Chcę oliwić swym potem firmowe tryby.

Marzę o tym, by zestarzeć się w błękitnym świetle monitora, tracąc włosy, pogarszając wzrok i hodując tłuszcz.

Bzdurne zajęcia, które nie czynią nikogo szczęśliwym, są warte najlepszych lat mojej młodości.

Nad własną wydolność fizyczną i seksualną przedkładam zawodową.

Kreatywność lojalnie oddaję firmie, nie marnuję jej na pomysły na własne życie.

Nie będę robić awantury z powodu niskiej emerytury.

Jestem gotów powoli zniknąć, z nieschodzącym z twarzy uśmiechem akwizytora.

Tak mi dopomóż szef”.

Krzysiek w porę zorientował się, że to fikcja. Umówili się na dzień przed wigilią. Oficjalnie Damian chciał obejrzeć kawiarnię kolegi. W rzeczywistości interesowało go coś zupełnie innego.

Teren dawnej fabryki Ramischa w ciągu kilku lat zmienił się nie do poznania. Ślepy zaułek w sercu miasta, zapomniany i pomijany na zakupowych szlakach, niepostrzeżenie odrodził się w kultową enklawę. Zapyziałe budynki poddano renowacji i ulokowano w nich artystyczno-gastronomiczne inicjatywy. Jedną z nich była nowa klubokawiarnia Krzyśka.

- Gratulacje, stary! Nieźle się urządziłeś - przywitał się Damian.

Krzysiek stał na drabince i wieszał pod sufitem industrialne metalowe klosze.

Wolną ręką wskazał na sofę zrobioną z pomalowanych na biało europalet. Błat baru wykonano z polakierowanej płyty pilśniowej, a półki z nieheblowanych desek. W roli stolików przy paletowych siedziskach występowały drewniane skrzynki, a na nich zamiast wazonów ustawiono słoiki.

- Robi wrażenie, co? A większość tego, co tu widzisz, kosztowała grosze.

- Ale chyba nie czynisz? Off Piotrkowska to jedna z lepszych miejscówek w mieście.

- Teraz tak, ale zakręciłem się odpowiednio wcześniej - uśmiechnął się, mrugając.

- A wszystko przez kryzys. Po paru nieudanych przedsięwzięciach teren trafił w ręce młodych inwestorów.

- Jak na to wpadłeś? - Damian przejechał dłonią po ścianie z odsłoniętymi rdzawoczerwonymi cegłami.

- Przechodziłem tędy codziennie w drodze do roboty, jak my wszyscy. Większość ludzi kursuje między pracą a domem ze spuszczoną głową, pochłonięci codzienną gonitwą. Ja rozglądałem się dookoła. Szukałem. I znalazłem. Wiedziałem, że zacznie się tu dziać, to przecież ściśle centrum.

- Dawno zacząłeś myśleć o rzuceniu etatu?

Krzysiek sprawdził mocowanie lampy i zszedł z drabiny. Damian pierwszy raz widział go w dżinsach i koszulce.

- Czy ja wiem? Tuż po trzydziestce. Pracowałem już wtedy od dziesięciu lat, bo zacząłem na studiach. Wystarczająco długo, by poczuć znużenie; za krótko, by się wypalić.

- Taki ruch wymaga odwagi.

- W życiu każdego pracownika przychodzi moment, w którym zaczyna się mieć wątpliwości. Kiedy opadnie już zamieszanie pierwszej pracy, pierwszych awansów i pierwszych kredytów, kiedy zrzuciłeś żółte piórka, trochę się obkupiłeś i sporo nauczyłeś, zaczynasz rozumieć, że jedyne, co pracodawca może ci jeszcze dać, to więcej pieniędzy. Albo wypowiedzenie.

- Z czegoś trzeba żyć.

- O ile przy pierwszym zachłyśnięciu swoją siłą nabywczą nie zastawiłeś się na resztę życia, masz wybór - ciągnął Krzysiek, stając za pustym barem. Damian oparł się o blat z drugiej strony. - Możesz zostać tu, gdzie jesteś, i z coraz większym trudem zarabiać na składki ubezpieczeń i raty za samochód. Albo wybrać inną drogę.

- Ryzyko.

- Szansa. - Zniknął pod blatem, a po chwili postawił na nim kempingową lodówkę i wyjął z niej dwa piwa. - Spróbuj. Nowy lokalny browar. Namawiają mnie na współpracę.

- Naprawdę się w tym odnajdziesz? Nie zacznie cię nosić po paru miesiącach za barem?

- Za biurkiem też mnie nosiło.

- Większość knajp nie utrzymuje się długo. Nie boisz się?

- Przynajmniej nie będę się nudził. Przy okazji: gratuluję awansu. - Krzysiek otworzył butelki, a te wydały cichutki syk.

- Skąd wiesz? - zdziwił się Damian.

- Domyśliłem się.

- Jeszcze się nie zdecydowałem.

- Uważaj, to wciąga. Człowiek szybko zapomina, kim chciał być. Pojawi się kobieta, urodzą się dzieci i już nie wypuścisz etatu.

- To mi nie grozi.

- Nie wierzę. Nikogo nie masz?

Damian się zawahał.

- Jestem wolnym duchem. Jak tatuś.

- Nigdy o nim nie wspominałeś.

Bo też nie było o czym mówić. Zniknął z jego życia, zanim Damian przyszedł na świat. Jak każdy porzucony dzieciak, przeżywał fascynację nieobecny ojcem. Oczywiście przeprowadził kiedyś prywatne śledztwo. Wycisnął z matki nazwisko (sam nosił jej panieńskie), a w szufladzie w sypialni znalazł czarno-białe zdjęcie. Myślał o nim, ale nie umiał się przemóc i doprowadzić do spotkania. Kiedy był mały, wyobrażał sobie, że jego ojciec musi być podróżnikiem, tajnym agentem albo kosmonautą. W każdym razie kimś wyjątkowym. A przecież był zwykłym chujem.

- Nie znam go. Widziałem go raz, na odległość. Zostawił mnie i matkę, żeby robić biznes. W tej sytuacji pozostaje mi tylko iść w jego ślady - zaśmiał się cierpko.

Krzysiek uniósł butelkę.

- I tym się różnimy od reszty - powiedział i wziął duży łyk.

Ta rozmowa utwierdziła go w przekonaniu, że ludzie dzielą się na kategorie. Babcia na przykład to idealny wyrobnik. Pokorna, cierpliwa, niesprawiająca kłopotu. Wyćwiczony przez lata nawyk pchał ją do szukania sobie zajęć nawet na emeryturze. Bez pracy czuła się zdezorientowana. Nie wiedziała, co zrobić z niechcianym prezentem od losu w postaci nagle otrzymanej wolności.

Damian wiedziałby doskonale. Może pod tym względem przypominał ojca, który wybrał niezależność. Odszedł, bo miał w życiu inne plany. Damian czuł naturalny żal, ale w pewnym sensie go rozumiał. A nawet odrobinę podziwiał. Przecież sam też nie mógł się doczekać, kiedy uwolni się od wszelkich ograniczeń. Na początku pewnie będzie zagubiony, jak wszyscy. Organizm potrzebuje czasu, by się wyciszyć, wytracić tempo ćwiczonych latami marszu. Jak oczy, które po wielu dniach ciemności ślepną od światła. Jednak wzrok stopniowo się przyzwyczaja i choć najpierw może to trochę boleć, zaczyna dostrzegać rzeczy takimi, jakimi są naprawdę. Pozna luksus przeżywania życia z innej perspektywy, znanej garstce wybrańców. Nie politykom, mafiozom czy prezesom. Oni kręcą się w kółko za własnym ogonem. Jest ktoś jeszcze. Ludzie mniej chciwi i pyszni, za to bardziej świadomi. Nie rzucają się w oczy, na kompromisy chodzą tylko tam, gdzie to konieczne. Nikomu nie dają sobą zawładnąć, nawet własnym słabościom. To oni posiadli prawdziwą wiedzę. Rentierzy, szare eminencje świata. Stanowią promil populacji, ale to działa tylko na ich korzyść. Im ich mniej, tym lepsze wiodą życie, zasilane energią cudzych mięśni. Umieją czekać. Nie łapią się na pierwsze z brzegu błyskotki i zaszczyty, na pierwsze lepsze kobiety. Panują nad sobą i innymi. Nie płyną pod prąd, nie idą pod wiatr, zamiast tego wolą budować elektrownie i stawiać wiatraki. Nie boją się świata. Ujarzmiają go, by na nich pracował.

Tak jak Damian. Dzielilo go od tego zaledwie kilka krokow. Na przyklad awans i wieksze wynagrodzenie, ktore miało go zbliżyć do finansowej wolności. Potrzebowal jedynie pomocy babci. Była mu to winna. Poza tym dawanie wsparcia leżalo w jej naturze. Z pewnością zgodzilyby się na jego propozycję.

Pojawil się tylko jeden problem. Babcia zniknęła.

Kinga

Nie miała wiekszych nadziei, ale wciąż o nim myslala. Prawie nie zauwazyła swiatecznego zamieszania w galerii. Nie dostrzegala tysiecy lampek, mieniacych się choinek i czerwono-zlotych girland. Swiateczne przeboje puszczała mimo uszu, choć stan jej umyslu najlepiej oddawal szlagier *All I want for Christmas is you*. Nie, nie rozmyslala o facecie z banku. Kinga i mężczyźni to rozdział, który najwidoczniej skonczył się, zanim na dobre się zaczął. Jej myśli pochłanial casting. Od kiedy dowiedziala się o naborze, przeżywała huštawkę nastrojów, zaliczając uniesienia rozmarzenia i upadki niewiary we własne siły. Przyspieszone bicie serca, towarzyszące wizjom sukcesu, gwałtownie hamowało w starciu ze wstydem i poczuciem, że nie ma do pokazania nic wybitnego. Rano rozmarzona uśmiechala się do siebie przed lustrem, wieczorem kręčila głową z politowaniem. Istniał tylko jeden sposób, aby zakończyć tę huštawkę: podjąć wyzwanie.

Najpierw jednak musiała uporać się z kwestią mieszkania. Oficjalnie nie chciala nadużywać gościnności ciotki, nieoficjalnie nie mogła z nią dłużej wytrzymać. Obie zresztą czuły, że nadeszła pora się rozstać. Ciotce doskwieral brak prywatności, czyli możliwości nieskrępowanego chodzenia po domu w poplamionej podomce i z przetłuszczonymi włosami. Kingę zaś zmęczyły ciągłe przesłuchiwanie i paradoks pytań o brak chłopaka przy jednoczesnym zakazie sprowadzania kogokolwiek do domu. Nie miała ochoty tłumaczyć się z późniejszej pory powrotu ani czytać przyklejanych na lodowce monitów na temat zużycia wody i utrzymywania porządku.

Tęskniła za ojcem, za domem i swoim pokojem na poddaszu. W ciasnym i głośnym magazynku, w którym zakwaterowała ją ciotka, czuła się jak w puszcze sardynek (zapach panujący w środku też się zgadzał). Regularnie zaglądała więc do gazet i sieci w poszukiwaniu ogłoszeń o wynajmie mieszkań. Wszystko rozbijało się o pieniądze. Kawalerka odpadała, pochłonałaby większość jej pensji. Jeśli do czynszu doliczyć rachunki, bilet miesięczny i jedzenie, nawet pokój we współdzielonym mieszkaniu wydawał się luksusem. Gdyby zdecydowała się na codzienne dojazdy, przez koszty transportu też wychodziłaby na zero. Równie dobrze mogłaby wrócić na stałe. Nie musiałaby tracić energii, a im przynajmniej na coś by się przydała.

Od kiedy wyjechała, ona i ojciec jakoś sobie radzili, ale towarzyszyło im poczucie absurdu. Dzielilo ich kilkadziesiąt kilometrów, w sumie żadna odległość, a jednak skazywała ich na życie w dwóch równoległych światach. Nie było mowy, by się spotkać i porozmawiać, wspólnie przygotowywać posiłek. Kinga czuła ukłucie w sercu na myśl o starokawalerskich potrawach, którymi żywił się teraz ojciec.

Podczas jednej z wizyt odkryła w kuchennej szafce złoża konserw i parówek. Duży dom stał teraz w połowie zimny, bo dla niego samego nie opłacało się ogrzewać piętra. Tata przemykał po wyziębionych pokojach, a ona dusiła się w dusznej klitce. Ironia na miarę nowych czasów.

Kinga nie umiała sobie wyobrazić, jak w tej sytuacji miałyby planować kupno mieszkania lub założenie rodziny, dlatego wołała o tym nie myśleć. Musiała się skupić na tym, jak zarobić dodatkowe pieniądze, a koszty utrzymania ograniczyć do niezbędnego minimum.

Skończyły jej się pomysły. Wtedy niespodziewanie rozwiązanie przyszło samo, kiedy w sobotnie popołudnie wracała od Weroniki. Tamten dzień należał do wyjątkowo udanych. Poradniki pokiwałyby głową z uznaniem.

Weronika

Uszy obciążonych toreb wbijały jej się w dłonie, pozostawiając zaczerwienione wyłobienia. Co kilka kroków musiała przystawać, żeby dać odpocząć drętwiejącym rękom. Od kiedy zaczęła poruszać się na piechotę, uważniej uczestniczyła w życiu miasta. Dostrzegała rzeczy, które wcześniej uchodziły jej uwadze. Na przykład lombard. Lokal na parterze szeregowego domu zupełnie nie przypominał przybytku spod ciemnej gwiazdy, z jakim kojarzyła się jego nazwa. Podświetlany szyld skupiał uwagę na estetycznej wystawie, przypominającej bardziej sklep z RTV niż wyprzedaż zastawionych majątków. Weronika przypomniała sobie plan naprawczy według Kaliny. Weszła po schodkach, odstawiła jedną torbę i nacisnęła klamkę okratowanych drzwi.

Niewielkie pomieszczenie otaczały półki pełne przedmiotów, niegdyś stanowiących wystrój cudzego życia. Większość stanowiła elektronika: telewizory, laptopy, sprzęt stereo, aparaty fotograficzne, adaptory. Była też porcelana, kilka obrazów, biżuteria i zegarki. Wartościowsze okazy umieszczono w zamykanych na kluczyk szklanych witrynkach. Ściany podpierały sportowe rowery, a przeszkloną ladę wypełniała kolorowa zbieranina telefonów komórkowych. Cmentarzysko rzeczy liczących na zmartwychwstanie.

Zanim ustał dźwięk dzwonka kołyszącego się nad drzwiami, z zaplecza wyłonił się mężczyzna w średnim wieku, z lekką nadwagą, ubrany we wpuszczoną w dzinsy sztruksową koszulę i wędkarską kamizelkę.

- W czym mogę pomóc? - zapytał.

- Chciałabym coś zastawić.

- Pani pokaże. - Wskazał na torby, które Weronika postawiła na ziemi. Już na starcie wydawał się nieuprzejmy.

- Nie mam niczego ze sobą. Wolałam się najpierw zorientować, ile mogłabym za to dostać. Elektronika, w bardzo dobrym stanie.

- Wszyscy tak mówią. Pani przyniesie, to zobaczymy.

Co za podejście do klientów. I te wąsy! Weronika nie mogła sobie przypomnieć, kiedy ostatnio takie widziała. Nie brodę, nie wystylizowany hipsterski zarost, ale

dwa kosmate skrzydełka nad wargą. Nawet jej ojciec, wąsaty weteran, lata temu złożył broń i przeprosił się z maszynką. Przyzwyczajenie się do zmiany, jaka zaszła na jego twarzy, zajęło jej kilka dobrych tygodni. A potem nie musiała się już wysilać, bo przestali się widywać. Myśl o ojcu przywołała wspomnienie lombardu z dzieciństwa. Miała wtedy nie więcej niż dziesięć lat i poszła tam z mamą. Dziwiła się, dlaczego mimo śniegu i mrozu wyciągnęły z piwnicy rowerek, który dostała na pierwszą komunię od całej rodziny. Przecież mama nie pozwalała na nim jeździć, od kiedy zrobiło się zimno. Musiał poczekać do wiosny i był to rozsądny pomysł, bo kiedy szły, prowadząc rower za kierownicę, na chodniku koła zapadały się w sypkim śniegu, a na jezdni chlapały zmarzniętym w grudy błotem. Wreszcie weszły do dziwnego sklepiku, gdzie zza lady wyszedł jakiś pan. Pochylił się nad rowerkiem, obejrzał go ze wszystkich stron, a potem wyprowadził na zaplecze. Zaniepokojona Weronika usłyszała, że zostawiają go na przechowanie, tylko do wiosny. „Tu będzie mu lepiej niż w wilgotnej piwnicy. To taka przechowalnia”, tłumaczyła mama. Dziewczynka nie rozumiała tylko, dlaczego dostały od tamtego pana pieniądze.

Rowerek nigdy nie wrócił. Kiedy nadeszła wiosna, na wszelkie pytania mama udzielała wymijających odpowiedzi, aż w końcu sprawa poszła w niepamięć. Kiedy jako nastolatka Weronika zrobiła o to awanturę, dowiedziała się, że wszystko jej się przywidziało, bo nigdy nie było żadnego roweru. W końcu przestała już być pewna, co jest prawdą, a co nie. Dzisiaj nie miała już wątpliwości.

Teraz rozglądała się po lombardzie, zastanawiając się, ile przedmiotów pochodzi z podobnych kradzieży. Nie z włamań czy rozbojów, ale z rabunków niepodlegających karze ani ściganiu, dokonywanych w zaciszu własnego domu.

Mężczyzna chrząknął, przywołując uwagę Weroniki. Jej wzrok zatrzymał się na białej kartce przyklejonej do lady.

- To pana ogłoszenie? - zapytała.

- Tak. Zainteresowana?

- Zastanowię się.

Oderwała mniejszą karteczkę z numerem telefonu. Wtedy zauważyła coś, co znajdowało się pod przeszklonym blatem lady.

- To. - Pokazała palcem.

- Drugie z brzegu?

- Tak.

- Dwieście.

- Skąd.

- Dwieście złotych to dobra cena - zaproponował wąsacz.

- Skąd pan to ma?

Rozdział dziewiąty

Damian

To wszystko przestało być śmieszne. Na początku sądził, że babcia po prostu się obraziła. Ostatni raz rozmawiał z nią kilka dni po aferze z portiernią. Wtedy sama do niego zadzwoniła. Płaczliwym głosem przepraszała i pytała, co może zrobić, żeby jej wybaczył. A on łaskawie to zasugerował. Miał już wtedy za sobą pierwszą rozmowę z szefem. Na gorączkowy wywód babci najpierw odpowiadał półsłówkami, a potem od niechcienia wspomniał, że byłoby miło, gdyby rozważyła skorzystanie z pożyczki w banku, w którym pracował. Jego przełożeni z pewnością doceniliby taki gest, a jej przydałyby się przecież dodatkowe fundusze – nie musiałyby dorabiać. W pewnym sensie zastosował metodę „na wnuczka” w bardziej wyrafinowanym wydaniu. Nie zdążył zrealizować swojego planu, bo babcia zapadła się pod ziemię. Zaniepokojeni przeciągającym się milczeniem próbowali się do niej dodzwonić, ale nie odbierała telefonów. A przecież zbliżały się święta. Matka najpierw postanowiła przetrzymać fochy babci, potem zaczęła się złościć, a w końcu wpadła w panikę. Wtedy wsiedli w samochód i pojechali do jej mieszkania.

Damian nigdy wcześniej nie widział trupa. Nie na żywo, jeśli można tak powiedzieć. Dlatego kiedy szedł z rozdygotaną matką po schodach, zaczęły mu towarzyszyć wizje rodem z kryminalnej powieści. Odgłos kroków na klatce i przyspieszone oddechy potęgowały napięcie, a to sięgnęło zenitu, gdy nacisnęli dzwonek brzmiący jak złowieszczy chichot. Uparta cisza, jaka nastąpiła potem, prawie przyprawiła ich oboje o zawał. Wypełnili nieznośne milczenie coraz bardziej nerwowym łomotaniem w drzwi.

- Wchodzimy – zarządziła matka i nacisnęła klamkę.

Zamknięte.

Wyjęła z torebki pęk zapasowych kluczy i chwilę manipulowała nimi w zamku.

- Nie mogę otworzyć – poddała się. – Próbuję i nic.

- Trzęsą ci się ręce. Pokaż.

Damian pochylił się nad klamką, ale wystarczył rzut oka, by dostrzec, że klucze nie mogły pasować do drzwi. Masywne i ciężkie, o starego typu końcówkach, nie miały prawa zmieścić się w wąskich zamkach.

- To na pewno te? – zapytał.

- A jakie? Od trzydziestu lat te same.

- Ktoś zmienił zamki – powiedział. – Dawno tu nie byliśmy.

Odkąd pamiętał, to babcia przychodziła do nich. Pojawiała się wystarczająco często, by pozbawić ich ochoty na składanie jej wizyt. Poza tym nie lubił jej mieszkania. Unosił się tu drażniący zapach starości, skomponowany z ostrych nut naftaliny i szarej pasty do podłóg. W trzech małych pokojach wydzielonych z niecałych pięćdziesięciu metrów brakowało przestrzeni, bo babcia z upodobaniem gromadziła kiczowate bibeloty i starocie nadające się do wyrzucenia. Damian postanowił, że kiedy odziedziczy mieszkanie, zrobi w nim generalny remont. Przez

głową przemknęła mu myśl, że ta chwila być może właśnie nadeszła.

- Nie patrz tak na mnie, nie miałam czasu zajmować się takimi rzeczami! Stare zamki działały bez zarzutu, a babcia była bardzo oszczędna. To znaczy jest. Jest oszczędna.

Damian spojrzał na matkę. Cała się trzęsła.

- Nie widzę tabliczki z nazwiskiem - zauważył. - Może pomyliliśmy klatki?

- Co ty opowiadasz?! Nie pamiętasz, gdzie mieszka babcia?! Drzwi są właściwe. Policja. Dzwon po policję!

Usiadła na schodach z lastryko i wytrząsnęła na ziemię zawartość torebki. Wtedy uchylły się drzwi z naprzeciwka. Ukazała się w nich otyła kobieta w szlafroku.

- Co tu się dzieje? - zapytała.

- Pani Rozalia! - wykrzyknęła matka. - Dzięki Bogu. Nie możemy się dostać do środka!

- A, bo tu jacyś panowie wymienili zamki.

- Jacy panowie?

- A bo ja wiem? Myślałam, że ty mi powiesz, Reniu. - Sąsiadka oparła się o futrynę i skrzyżowała ręce na monstrualnych piersiach.

- Kiedy to się wydarzyło? - Renata poderwała się ze schodów.

- Dawno nie odwiedzało się matki, co?

- Proszę mi natychmiast powiedzieć, co tu się dzieje!

- O to, kochaniutka, musisz zapytać Łucji. My już dawno przestaliśmy za nią nadążać.

Tyle wyciągnęli z sąsiadki, zanim zamknęła im drzwi przed nosem. Jej słowa dawały nadzieję, że babcia nie leży martwa w swoim mieszkaniu, a docelowo mieszkaniu Damiana, co mogłoby sprawić mu pewien dyskomfort. Ale mogła leżeć martwa gdzie indziej. Tylko gdzie?

Kolejny dźwięk dzwonka znów wywołał w Damianie dreszcz. Tym razem zadzwonił telefon. Na wyświetlaczu pojawiło się słowo „Szeff”. Nie odebrał, ale natychmiast oprzytomniał. Wyrwany z odrętwienia, odzyskał jasność umysłu i przystąpił do działania. Matkę odesłał na komisariat. Wolałby wprowadzić towarzystwo, ale w jej stanie do niczego się nie nadawała. Gdyby miał ojca, zostaliby we dwóch, ale tak się składało, że Damiana spłodziła miernota, na którą nie dało się liczyć. Był więc zdany na siebie. Nie wierzył w brednie o byciu prawdziwym mężczyzną, ale jeśli coś takiego jak męska rzecz rzeczywiście istniało, z pewnością zaliczało się do niej włamanie do mieszkania babci.

Liczył na cokolwiek: babcię wciąż żywą, jej ciało lub chociaż list pożegnalny. A przy okazji odpowiedź na pytanie, ile obecnie jest warta jego przyszła nieruchomość. Stał na wprost drzwi, chwilę nasłuchiwał, a potem zabrał się do dzieła. Kiedyś obejrzał w sieci filmik dla domorosłych włamywaczy, ale sforsowanie zamka nie okazało się wcale proste, zwłaszcza bez łomu czy sprzętu do chłodzenia metalu, by osłabić przekładkę. Rozejrzał się i obok wycieraczki znalazł zardzewiałą wsuwkę. Dłuższą chwilę manipulował nią w zamku, ale bez skutku. Znów w myślach przeklął ojca. Jak miał się nauczyć sztuczek złotej rączki, kiedy wychowywał się z samymi babami? W końcu stracił cierpliwość i z całej siły kopnął w drzwi. A potem jeszcze dwa razy. Zamek nie puścił, ale nadpróchniała futryna tak. Damian włożył

rękę w powstałą szczelinę i pchnął do środka, napotkał jednak na opór. Coś blokowało przejście, utrudniając przesunięcie drzwi do wewnątrz. Spróbował mocniej i wtedy poczuł zapach.

Nie było wątpliwości. Powietrze przepęniała dławiąca woń zgnilizny.

Kinga

Kiedy zobaczyła tłum przed drzwiami, chciała zawrócić. Przesłuchanie kandydatów zorganizowano na terenie dawnego magazynu fabrycznego. W rozległym korytarzu musiało znajdować się co najmniej kilkaset osób. Jedni stali, inni krążyli z telefonem przy uchu, pozostali siedzieli na ziemi. Naiwnie sądziła, że godzina, o której kazano jej przyjść, była zarezerwowana tylko dla niej. Niestety na jedenastą najwyraźniej stawili się wszyscy. Zapowiadał się cały dzień oczekiwania. Gdyby nie piętnaście zaprojektowanych przez nią kreacji, odwróciłaby się na pięcie i wyszła. Nie dałaby rady przywieźć ich tu sama, ale podwoziła ją Edith. Teraz pojechała już do pracy i Kinga została sama. Przez chwilę rozważała nawet, czy nie porzucić gdzieś w kącie długiego, przykrytego pokrowcem wieszaka na kółkach. Jeszcze kilka dni temu, patrząc na jego zawartość, czuła zadowolenie, a nawet dumę. Dziś efekt jej pracy zdawał się mierny i tylko koszt zakupionych materiałów powstrzymał ją od ucieczki.

Skierowała się tam, gdzie powstało największe zbiegowisko i zajęła miejsce w czymś, co wydawało się kolejką. Po kilkunastu minutach tłum nieco się rozładował, ukazując zarys podłużnego stołu. Kiedy Kinga dopchała się bliżej, narażona na syki i prychnięcia z powodu towarzyszącego jej stelaża, dostrzegła siedzące za stołem dziewczyny. Każda z nich miała na piersi laminowaną etykietkę z imieniem i logo *Młodzi Zdolni*.

- Jak się nazywasz? - zapytała ruda Agata, wpatrując się w gęsto zadrukowany kilkunastostronicowy arkusz.

- Kowalska.

- Numer trzysta dziewięć.

Monika, mulatka o miętowych paznokciach, wyjęła z plastikowego pudełka przypinany na rzepy, materiałowy prostokąt z nadrukowaną liczbą. Kinga nie umiała stwierdzić, co sprawiło, że poczuła się bardziej przeciętnie - jej własne nazwisko czy odległe miejsce w szeregu, jakie jej przydzielono.

- Sala trzy - obwieściła Agata, wskazując drzwi w korytarzu, gdzie kłębił się tłum ludzi.

- Przepraszam, czy da się przewidzieć, o której godzinie będzie moja kolej? - zapytała ją Kinga, a ta spojrzała na nią spod zmarszczonych brwi.

- Jeszcze się nie zaczęło. Ale głowa do góry. Jesteś w pierwszej połowie.

Co chwila kogoś potrącając i przepaszając, przeciągnęła wieszak pod ścianę i usiadła na podłodze. Przynajmniej spakowała do plecaka książkę. Zazwyczaj nosiła przy sobie coś, co mogłaby czytać w momentach przestojów w codzienności. Tym razem zanosilo się na naprawdę długie czekanie, prawdopodobnie znacznie

przekraczające potencjał dwustu nieprzeczytanych stron. Otworzyła biografię Yves Saint Laurenta i położyła sobie na kolanach, ale nie mogła się skupić. Harmider panujący w korytarzu utrudniał czytanie. Kinga podniosła wzrok i choć obiecała sobie tego nie robić, zaczęła obserwować konkurencję.

Wystylizowane nastoletnie piękności z nosami utkwionymi w smartfonach starały się sprawić wrażenie, że ich obecność tutaj to tylko uciążliwa formalność na drodze do sławy. Pulchna blondynka we fryzurze à la Adele ćwiczyła jazzowy wokal, zagłuszając kościstą podróbkę Amy Winehouse. Podstarzały hipis, brzdąkający na gitarze, wyglądał, jakby trzydzieści lat temu uciekł z domu i do tej pory nie wrócił. Chude akrobatki w cekinowych kostiumach rozciągały się w wyniosłym milczeniu, rzucając pogardliwe spojrzenia w kierunku dziewczoj w ludowych strojach. Wszyscy, bez względu na to, jak się od siebie różnili, zdawali się sugerować, że z jakichś powodów są lepsi od innych.

Tuż obok niej z dziecięcą pociesznością rozgrzewał się zespół dziewczynek w różowych strojach baletnic. Kinga uśmiechnęła się na ich widok.

- Jebane kurwiątka - usłyszała nad sobą.

- Słucham? - zdziwiła się.

- Te małe wygryzą nas wszystkich. Lepiej to załóż. - Wytatuowany chłopak w bawełnianej czapce pomachał materiałowym numerkiem, a potem przypiął go sobie do obcisłej czarnej koszulki.

- A co to, aukcja?

- Raczej targ niewolników. Za chwilę zaczną kręcić przebitki. Lepiej daj się zapamiętać ze swoim numerem. Co tam masz? - Skinął na wieszak.

- Niespodzianka - ucięła Kinga.

- No, no, panna tajemnicza. A ilu masz followerów?

- Czego?

- Twitter, jutub, instaś? Ktoś musi na ciebie głosować.

Kingę oblał rumieniec. Pochłonięta przygotowaniami nie pomyślała o promocji w mediach społecznościowych. Wróciło koszarne uczucie ze szkoły, kiedy czasami z rozmów przed sprawdzianem okazywało się, że przygotowała się z czego innego niż reszta klasy.

- Najpierw muszę się zakwalifikować.

- Przygotowałaś coś nietypowego, to plus. - Chłopak wciąż przyglądał się stelażowi, a potem uśmiechnął się i wyciągnął dłoń. - Jestem Mario. Tańczę, jak połowa tu zgromadzonych.

- Kinga - przywitała się niechętnie. - Co tańczysz?

- Chcesz zobaczyć? Muszę się ruszyć, bo mnie rozniesie.

Mario w sekundę rzucił się na podłogę, płosząc różowe baletniczki. Oparł ciężar ciała na nadgarstkach, nogi zaplótł nad głową i zaczął obracać się wokół własnej osi, przecząc prawu grawitacji. Ci stojący najbliżej, z niepokojem śledzili wirujące kończyny i odsunęli się, tworząc krąg. Nagle wszystkich oślepiło ostre światło. Tuż obok Maria wyrósł operator kamery w towarzystwie prezenterki i oświetleniowca z wielkim reflektorem.

- Wow! Widzieliście to? - krzyknęła do mikrofonu dziennikarka znana z kolumn towarzyskich w kolorowych magazynach. - Tak rozgrzewają się kandydaci do

kolejnej edycji *Młodych Zdolnych!* Jak się nazywasz?

- Jestem Mario, chłopak z łódzkiego blokowiska. Nie mam nic oprócz tańca. Taniec to moje życie. Taniec to ja!

Na potwierdzenie tych słów uniósł się na jednej ręce, resztę ciała zwijając w precel. Ta pozycja doskonale eksponowała jego pokryte barwnymi tatuażami bicepsy.

- Robi wrażenie! - Prezenterka pokiwała głową, ale jej wzrok szukał już kolejnego obiektu. - A ty?

Pytanie było skierowane do Kingi, która przypadkowo znalazła się w kadrze.

- A ja nie. To znaczy ja nie tańczę.

- Co więc nam dziś pokażesz?

Kinga przełknęła ślinę, ale głos uwiązł jej w gardle. Oślepiąca błyskiem lampy wskazała w stronę, gdzie ostatnio stał czarny pokrowiec, skrywający stelaż z wieszakami.

- Ciekawe - powiedziała prezenterka i pomaszerowała dalej.

Kinga przecierała oczy, powoli odzyskując wzrok.

- Co z tobą? - Mario szturchnął ją w ramię. - Zrobiłem z siebie małą, żeby ich zwabić, a ty przepuściłaś taką okazję!

- Przepraszam...

- Ogarnij się, dziewczyno. Miałaś szansę dać się zauważyć. To nagranie trafi do sieci, obejrzą je setki tysięcy ludzi, a potem będą głosować przed telewizorami. A ty nawet nie włożyłaś numerka!

Kinga zbladła na myśl o tak szerokiej publiczności podziwiającej jej żalosne wystąpienie. W tej sytuacji brak numerka okazał się pewnym plusem.

- Nie martw się - pocieszył ją Mario. - Relacja trwa tylko kilka minut, wybiorą najbardziej pokazowe migawki. Pewnie cię wytną.

- Słyszycie to, co ja? Do kogo należy ten elektryzujący głos? - Dziennikarka sunęła dalej przez tłum, ciągnąc za sobą operatora. Oświetleniowiec świecił zgromadzonym w twarze, jakby chciał obnażyć wszelkie niedoskonałości uczestników castingu. Wśród kandydatów zapanowało ożywienie. Senność oczekiwania i grzecznościowych rozmów zastąpiły popisowe śpiewy, dźwięki instrumentów i demonstracyjne rozciąganie ciał gotowych do prezentowania szczytu swoich możliwości. Ktoś się śmiał, ktoś klaskał, kto inny przybijał pokazową piątkę z konkurentami. Jedni gromadzili się w kręgi i pracowali na swój sukces grupowo, inni woleli grać do swojej bramki, przekrzykując tłum i wspinając się na schody i barierki. Ludzie tańczyli, stepowali, żonglowali, zastygali w szpagacie lub podrzucali płonące pochodnie, budząc oburzenie fanatyków BHP. Wszyscy wypinali piersi, eksponując przydzielone numerki.

Kinga wyrzucała sobie brak refleksu i zastanawiała się, czy z tak ograniczoną świadomością mechanizmów show-biznesu w ogóle ma tu czego szukać. Odpowiedź przyszła z zewnątrz.

- Numer trzysta dziewięć! - zawołał głos zza uchylonych dwuskrzydłowych drzwi.

Spakowała książkę do torebki, podniosła się z podłogi i podeszła do wieszaka. Żałośnie skrzypiał, kiedy potoczyła go przed sobą, odprowadzona przez setki spojrzeń.

Weronika

Postanowienia na Nowy Rok:

1. Spieniężenie aktywów.

Podczas ponownej wizyty w lombardzie z pomocą kolegi z samochodem sprzedała: telewizor, odtwarzacz DVD, miniwieżę, ciśnieniowy ekspres do kawy i rower treningowy. Tradycyjny sobie zostawiła, by w sezonie letnim móc bezpłatnie poruszać się po mieście. Poza tym coś, może przykre wspomnienie z dzieciństwa, nie pozwalało jej go oddać.

Znalazła chętnych na większość markowych ubrań. Wystawiła też na aukcjach kilka regałów i komodę, za które w sklepie z kolonialnymi meblami zapłaciła kiedyś małą fortunę. Nikt nie był gotowy zaoferować ceny, na jaką liczyła, ale zaznaczyła opcję „do negocjacji”. Odzyskała ułamek tego, co kiedyś wydała, ale kupiła sobie kilka tygodni spokoju.

2. Optymalizacja stałych kosztów.

Zlikwidowała abonament za kablówkę, a Internet zmieniła na najwolniejszy. Mimo zimy oszczędzała światło i ciepłą wodę, a stale odkręcone kaloryfery zamieniła na ciepłe swetry. We wspólnocie mieszkaniowej wynegocjowała rozbitcie czynszu na mniejsze raty. Zawiesiła też odprowadzanie składek ubezpieczenia na życie, choć agent przestrzegał ją przed nieprzewidzianą przyszłością. Wy tłumaczyła mu, że jej czarna godzina właśnie nadeszła, a pieniędzy potrzebowała bardziej niż jej nieistniejący spadkobiercy.

3. Wyprowadzka.

Facet w lombardzie miał naprawdę tanie pokoje do wynajęcia. Od razu przypomniała sobie o słowach Kingi i zadzwoniła do niej. Dopiero później uzmysłowiła sobie, że dokładnie tego sama potrzebowała. Jeśli przeniesie się na tanią stancję, a swoje mieszkanie wynajmie, pozbędzie się ciężaru czynszu i znacznej części kredytu. To powinno pozwolić jej złapać oddech i przezimować w gorzej płatnej pracy. Zwróciła się do agencji nieruchomości. Wołała wynająć mieszkanie firmie niż niepewnym lokatorom. Oczami wyobraźni widziała, jak urządzają destrukcyjne imprezy, wymiotują na stylowe meble, a w łóżku z aksamitnym zagłówkiem uprawiają niechlujny seks zwieńczony papierosem. Przecież zamierzała wrócić do mieszkania, to tylko kwestia czasu. Po prostu chwilowo musiała je udostępnić komuś innemu. Najchętniej człowiekowi biznesu. Martwiła się tylko, czy znajdzie się jeszcze ktoś, kto przybywa do Łodzi, by robić tu interesy.

Miała szczęście. Po kilkunastu dniach agencja nieruchomości zadzwoniła do niej z propozycją umowy najmu. Dostała tydzień na wyprowadzkę i opróżnienie mieszkania z tego, co wciąż do niej należało.

Weronika musiała podjąć decyzję, co zrobić z rzeczami, których nie mogła zabrać do nowego, niewielkiego pokoju. Kilka razy w życiu rozwiązywała test

„Co wzięłabyś ze sobą na bezludną wyspę”, ale nigdy nie przypuszczała, że będzie musiała dokonać takiego wyboru w rzeczywistości. Czekало ją życie rozbitka na dziesięciu wynajmowanych metrach. Aby przetrwać, musiała

ograniczyć swój bagaż do minimum. Pozbywała się rzeczy jak kilogramów na wiosnę. Spakowała niezbędnik złożony z okrojonego zestawu ubrań, ręczników, pościeli i naczyń, a resztę wyniosła do piwnicy. Pozostało jednak mnóstwo rzeczy, z którymi nie wiedziała, co zrobić. Nie dało się ich sensownie sprzedać, a nie wyobrażała sobie, by je wyrzucić. Książki, płyty, ozdobne poduszki, ramy z fotografiami, pamiątki. Budowana latami dusza mieszkania, dla przyszłych lokatorów zbędna i pozbawiona znaczenia.

Od kiedy zaczęła mieć własne pieniądze, łapczywie nadrabiała niedobory dzieciństwa. Zbierała wszystkie bilety do kina, programy sztuk teatralnych, karty pokładowe z samolotów. Gromadziła foldery z wykupionych wycieczek, a z każdego wyjazdu przywoziła pocztówki. Kamienice Gaudiego w Barcelonie, Schody Hiszpańskie w Rzymie, wulkaniczna kaldera Santorini - zabierała je do domu uwiecznione na kiczowatych obrazkach i kalendarzach. Świadczyły o tym, że miała dobre życie. Wypełniały kilka pudeł z ozdobnego kartonu i nie mogła ich zabrać ze sobą. Ostatni raz uważnie je obejrzała, próbując zatrzymać w pamięci miejsca i przeżycia. Potem zaniósła pudła do kuchni i ustawiła je na blacie wyspy. Zdejmowała pokrywy, a papierową zawartość wsypywała do zlewu. Kiedy skończyła, sięgnęła po zapalki. Pomarańczowe ognisko ładnie odbijało się w szybach i kontrastowało z granatowym zmrokiem za oknem.

Zawsze fascynowała ją niszczycielska siła ognia. Najpierw odbierał rzeczom znaczenie, a potem pozbawiał istnienia, rozwiązując problem przywiązania i pożądania. Patrzyła na płomień, próbując doznać czegoś w rodzaju oczyszczenia. Najwyraźniej rytuał zadziałał, bo czuła tylko pustkę. Jako ostatnia do ognia trafiła karteczka z postanowieniami na Nowy Rok. Już jej nie potrzebowała, wprowadziła je w życie. Szybkim ruchem otarła łzy wywołane dymem. Tylko dymem.

Wszystko, co jeszcze niedawno darzyła sentymentem, w kilka minut zniknęło. Odkręciła kran i zalała tłące się pogorzeliśko, splukując czarne resztki do odpływu. Lekkie, wirujące płatki spalonego papieru ginęły pod ciężarem strumienia zimnej wody. Przyszedł jej na myśl kolejny test: „Co ocalałabyś z pożaru?”. Pakowanie i wyprzedawanie dobytku było przykre, ale ze zdziwieniem zauważyła, że nie ma niczego naprawdę cennego, z czym absolutnie nie mogłaby się rozstać. Jak to świadczyło o jej życiu?

Kiedyś miała taką rzecz. Bezcenną, jedyną w swoim rodzaju. Ta rzecz została jej zabrana. Teraz, kiedy Weronika pogodziła się już ze stratą, znowu się pojawiła. Złoty łańcuszek z maleńką zawieszka, który zobaczyła w lombardzie, kiedyś należał do niej.

To nie mógł być przypadek. Wiedziała, co się wydarzyło, i nie zamierzała tego tak zostawić.

Rozdział dziesiąty

Kinga

- Przynajmniej coś innego. - Aktorka o różowych włosach przeciągnęła się na widok wieszaka z ubraniami.

Przed castingiem Kinga zapoznała się ze składem jury. Nie wymagało to szczególnego wysiłku: cztery twarze o perfekcyjnych makijażach i ściągniętych ustach od kilku tygodni przyglądały się Łodzi z ogromnego banneru, zasłaniającego remontowaną kamienicę w centrum, wyniośle spoglądając ponad głowami przeciętnych przechodniów. W obecnej, szóstej edycji programu zmienił się tylko jeden juror. Obok wiecznie młodego tancerza o zapomnianym już scenicznym rodowodzie, podstarzałej piosenkarki z aż nadto znanym, ale mocno przeterminowanym repertuarem i aktorki opery mydlanej o metryce zamaskowanej zabiegami chirurgii plastycznej, w komisji zasiadł pięćdziesięcioletni rockman, przed laty znany z bezprecedensowo rozmieszczonych kolczyków i wywrotowych poglądów, dziś łagodny jak baranek. Emerytowany buntownik zastępował byłą modelkę, gdy ta udała się na urlop macierzyński, by piastować dziecko linoskoczka, laureata poprzedniej edycji programu. Zamierzchłe osiągnięcia jurorów właściwie odeszły w niepamięć. Dziś kojarzyli się wszystkim z telewizyjnym show, który stał się ich rolą życia, a przynajmniej głównym źródłem dochodu.

- Właśnie zaczęło się twoje pięć minut. Możesz je wykorzystać lub zmarnować. Wszystko zależy od ciebie - powiedział wiecznie młody tancerz.

W jury pełnił niepisaną rolę złego policjanta i widowiskowo okrutnego krytyka. Stara piosenkarka grała dobrą ciocię i chwaliła nawet największe ciamajdy. Serialowa aktorka usiłowała dokonywać psychologicznych analiz, a odkurzony z medialnego zapomnienia rockman tak cieszył się z nowej funkcji, że każdego poklepywał po ramieniu jak jowialny wujek.

- Pięć minut? - spłoszyła się Kinga. - Myślałam, że przewidziane są dwie.

- Teraz już minuta pięćdziesiąt. - Tancerz spojrział na zegarek.

- Jaki masz talent, kochanie? - zapytała przyjaźnie stara piosenkarka.

Edith przygotowała Kingę na takie pytanie. Razem ćwiczyły odpowiedź, bo brakowało jej wprawy w sztuce autoprezentacji. Nigdy nie zaliczyła nawet prawdziwej rozmowy kwalifikacyjnej. Do tej pory nie musiała przed nikim dowodzić swojej wartości.

- Jestem projektantką mody. To znaczy chcę nią być - poprawiła się.

Falstart. „Mów głośno. Stój prosto. Patrz w oczy” - powtarzała w myślach.

- To jesteś czy chcesz? - dociekała aktorka.

- Pokazuj - rozkazał tancerz i rozparł się na krześle, eksponując markowe tenisówki.

Kinga posłusznie rozsunęła pokrowiec i zdjęła go ze stelaża.

- Oto moja kolekcja. Nazywa się Back to Black.

- Tego jeszcze nie grali - ożywił się rockman.

- Bardzo ciekawe - pochwaliła piosenkarka, choć Kinga nie zaczęła jeszcze prezentacji.
- Czy ja wiem? Trochę statyczne - powiedział tancerz, podpierając ręką podbródek. - Nie nadaje się na wizję.
- Myślałam o zaangażowaniu modelek - wyjaśniła Kinga.
- To czemu ich nie przyprowadziłaś? Wreszcie byłoby na co popatrzeć. Na co czekasz? Zaczynasz czy nie?
- Poczuła krople potu na plecach, gdy wzięła w drżące dłonie dwa wieszaki.
- To suknia wieczorowa oraz sukienka koktajlowa - powiedziała łamliwym głosem. - Wykonane z jedwabiu i naturalnych piór.
- Fajne - zainteresowała się aktorka. - Kto ci to szył?
- Wszystko zrobiłam sama, od projektów po wykonanie.
- Wiecie co, to może być jakaś odmiana.
- Fakt - niechętnie zgodził się tancerz. - Lepsze to niż kolejny zapiewająco.
- Albo tancerz - odwdzieczył się rockman, szczerząc zęby.
- Bardzo ładnie! - Pokiwała głową stara piosenkarka, nurkując w głąb swojej torebki.
- Za chwilę pokażę trencz i zestaw biznesowy.
- Nieźle - pochwaliła aktorka. - Szyjesz na zamówienie?
- Czasami, dla znajomych i rodziny.
- Może mogłabyś coś uszyć dla mnie. Zostaw mi wizytówkę.
- Wizytówek jeszcze nie mam, ale wzięłam ze sobą szkice. - Obwieszonych wieszakami Kindze brakowało trzeciej i czwartej ręki. Upuściła dwie marynarki, by sięgnąć po spódnice.
- Na przyszłość daj trochę koloru - zalecił rockman.
- Czy to znaczy, że...
- Następny! - przerwał tancerz.

Kiedy w pośpiechu odwieszała wieszaki na stelaż i mocowała się z pokrowcem, do sali wszedł Mario. Życzyła mu dobrze, w końcu chłopak walczył o lepsze życie. Uśmiechnęła się do niego, ale on patrzył tylko na jury. Starając się nie hałasować, wyprowadziła wieszak na zewnątrz i zamknęła za sobą drzwi. Kilkaset osób, przekrzykując się, ruszyło w jej stronę. Odpowiedziała na najbardziej natarczywe pytania, ale kiedy nie ustawały, zaczęła torować sobie przejście, pchając przed sobą stelaż. Cały czas ktoś coś do niej krzyczał lub szarpał ją za rękaw. W końcu wyciągnęła z kieszeni telefon, udając, że ktoś do niej dzwoni. Spojrzała na wyświetlacz wyciszonego aparatu i zobaczyła kilkanaście nieodebranych połączeń.

Damian

W środę po Nowym Roku czekał przy swoim biurku i patrzył, jak w rogu monitora przeskakują minuty. O dziesiątej zaczynał spotkanie z Andrzejem i nie wiedział, co mu powiedzieć. Poluzował kołnierzyk koszuli, którą długo wybierał na ten dzień. Biała w zestawie z granatową marynarką miała sprawiać wrażenie

profesjonalizmu, a zarazem pewności siebie, niewymagającej podpierania się krawatem. Tylko mokre dłonie i blada twarz łatwo mogły go zdradzić. W środku Damiana paraliżował strach.

Po przerwie świątecznej tramwaje pękały w szwach. Roboty drogowe zablokowały jedno z głównych skrzyżowań w śródmieściu, zmieniając codzienny marsz tysięcy pracujących mieszczan w uwłaczający tor przeszkód. W drodze do biura musiał teraz dwukrotnie się przesiadać i pokonać część dystansu błotnistą ścieżką wzdłuż rozkutego chodnika. Czas dojazdu do pracy wydłużył się do godziny, podczas której jechał ściśnięty między szybą a kasownikiem. Dookoła czuł napierające na niego obce ciała. Wzdrygał się, kiedy przypadkowo dotknął czyjejs skóry albo poczuł na twarzy oddech. Mimowolnie rozróżniał zapachy resztek jedzenia tkwiących między zębami i przethuszczonych włosów wciśniętych pod brudne czapki. Duszno. Zamykał oczy, usiłując opanować mdłości. Wysiadał obolały, by torować sobie miejsce w kolejnym środku transportu.

Ciągła walka. O siedzenie, skrawek podłogi, o przestrzeń na torby i plecaki. Agresywne, podszyte łzami wściekłości protesty przeciwko próbom naruszania czyjejs sfery osobistej, czyjegoś prawa do godziwego podążania do pracy i zarabiania na chleb. Zgarbione w ścisku sylwetki, udręczone twarze, ręce żałośnie wyciągnięte do góry, zawieszane w plastikowych pętlach jak w kajdanach. Odwieczny wyścig do foteli, stanowisk, półek z towarami. Dla wszystkich nie starczy. Nigdy nie starczało. Zwłaszcza teraz, w czasach kryzysu. Okręt tonął, miasto się kończyło.

Kiedy w progu biurowca Damian otrzepywał ubłocone buty i dłońmi próbował rozprostować płaszcz, zmięty od wilgoci zbiorowego potu, obiecał sobie, że zrobi wszystko, by kiedyś się stąd wydostać. Szlifował właśnie ostateczną kwestię przed gabinetem szefa, gdy niespodziewanie drzwi otworzyły się same.

- Jesteś wreszcie! - Andrzej wyszczerzył dwa równe rzędy śnieżnobiałych licówek. - Witam pana dyrektora!

Damian przywitał się, ale szef nadal stał w progu, blokując wejście.

- Zapraszam na lewo. - Wskazał sąsiednie drzwi. - Idziemy do ciebie.

W dawnym gabinecie Krzyska czuć było zapach świeżej farby. Ściany zmieniły kolor na modny szary, a na biurku, w miejscu, gdzie jeszcze niedawno stała ramka ze zdjęciem, pojawiło się drzewko bonsai. Babcia takie uwielbiała.

- Siadaj. - Szef wskazał na okazały fotel na kółkach, a sam usiadł na biurku. - I jak? Podoba się?

- Nowy kolor ścian - uprzejmie zauważył Damian.

- Musieliśmy odświeżyć. Twój poprzednik nawieszał jakiegoś badziewia i zostały po tym odbarwione prostokąty.

Andrzej mówił o antyramach, w które oprawiono czarno-białe zdjęcia, przedstawiające kubańską kawiarnię. Starsi faceci z cygarami, przysadziste mulatki za barem, drewniane żaluzje, dozujące promienie karaibskiego słońca. Krzysiek zawsze powtarzał, że znajdzie im lepsze miejsce. Wisiały teraz na ścianach jego kawiarni.

- Wracając do naszej rozmowy... - Damian zdecydował się wziąć byka za rogi.

- Bardzo się cieszę. - Andrzej poklepał go po ramieniu. - I jestem pod wrażeniem.

Jak zawsze niezawodny. Znów udało ci się mnie zaskoczyć.

Patrzył na szefa, nie rozumiejąc. Czyżby ten czytał mu w myślach?

- I wiesz, masz uroczą babcię. Rzeczowa, rozsądna. W tym wieku to rzadkość!

Wszystko jasne. Afera z recepcją wypłynęła.

- Słuchaj, to już zamknięta sprawa...

- Nie bądź taki skromny. Ale przyznaj się, skąd wiedziałeś o odwróconej hipotece? To miał być program pilotażowy. Tylko dział nowych produktów o nim wiedział.

Rozmowa zmierzała w coraz dziwniejszym kierunku.

- Co to jest odwrócona hipoteka? - zapytał cicho Damian.

Kiedy słuchał odpowiedzi, na jego umysł w zwolnionym tempie zaczęło spływać mroczne oświecenie. Powoli, słowo po słowie w jego uszy wsączały się trujące dawki prawdy. Przenikały do mózgu, zimnym dreszczem spływały do serca i wprawiały całe ciało w odrętwienie.

Andrzej z pasją brnął w bankowy bełkot. Niezrozumiałe słowa, które Damian sam beznamiętnie wypowiadał, ale których znaczenia nigdy nie odczuwał na własnej skórze. Dotąd nie wychodziły poza abstrakcję korporacyjnego żargonu, bo posługiwał się nim jak wymyślonym językiem obowiązującym w odrealnionej krainie zwanej pracą. Stanowiły część zabawy, zapewniającej magiczne pojawianie się zer na jego koncie. Ale nie dziś.

„Odpowiedź na zjawisko rosnącego udziału seniorów w populacji, kredytobiorca sześćdziesiąt plus, zobowiązanie długoterminowe, prawo własności lokalu, uwolnienie kapitału zamrożonego w nieruchomości, równowartość wartości rynkowej, prowizja, dożywotnie świadczenia pieniężne”.

Tłumacząc na język prawdziwego życia: babcia przyszła do banku wnuka i wzięła kredyt pod zastaw mieszkania. A właściwie zrzekła się prawa do niego w zamian za wypłatę renty, obliczonej tak, by w praktyce nie pokryła nawet połowy jego wartości. Innymi słowy bank przejął mieszkanie. Jego mieszkanie. Za zgodą babci. Na jego prośbę. Damian patrzył na Andrzeja szeroko otwartymi oczami.

- Tak szybko? A formalności? Wycena rzeczoznawcy?

- Wszystko załatwione. Podobno był tam straszny burdel, dlatego musieliśmy obniżyć szacowaną wartość. Rozumiesz, mieszkanie nadaje się do generalnego remontu. Zresztą kiedy wyliczaliśmy wysokość świadczenia na rzecz twojej babci, sprawiała wrażenie, jakby niespecjalnie ją to interesowało. Nic ci nie mówiła?

Damian nie odpowiedział.

- Zawiesiłeś się? Albo nie masz serca, albo naprawdę nic nie wiedziałeś, a wtedy chyba się rozplączę. Wzruszyłem się. - Szef zeskoczył z biurka i teatralnie poklepał go po plecach. - No, dosyć tego. Dobra robota, ale obowiązki wzywają. Jakie będzie pana pierwsze polecenie, dyrektorze?

Damian zrobił pauzę, jakby ważył słowa. Ale w rzeczywistości nie musiał się zastanawiać.

- Spierdalaj.

Łucja

Zrobiła to dla niego. Ale i dla siebie.

Kiedyś na uniwersytecie trzeciego wieku usłyszała, że starsi ludzie powinni żyć na koszt spadkobierców. W nagrodę za przepracowane życie i za karę za zbyt mało uwagi poświęcaną im przez młodych. Na początku Łucja uznała to za nienormalne, a nawet oburzające. Z czasem jednak zaczęła dostrzegać gorzką rację tej filozofii. Zaduma spędzonych po raz pierwszy w życiu samotnie świąt przypominała jej dawne czasy, gdy byli z Dudusiem nierozłączni. Jej córka nigdy nie przyznała się, kto jest ojcem dziecka. Łucja zdołała wydusić z niej tylko tyle, że tamten mężczyzna miał już rodzinę i Renata nie chciała jej rozbijać. Wychowywały małego we dwie. Przecież dobrze im się razem żyło, tłumaczyła.

Nie sposób nie przyznać jej racji. Na początku mieszkali we wspólnym mieszkaniu, na kilka cudownych lat odpędzając od Łucji widmo samotnej starości. Dzięki nim nie została sama jak palec. Po porodzie córka wróciła do pracy, a babka zajmowała się chłopcem. Była cała dla niego. Karmiła go, przewijała, trzymała za rękę, gdy stawiał pierwsze kroki. Kiedy chorował, robiła mu mleka z miodem i masłem. Przed snem czytała mu bajki i cierpliwie odpowiadała na wszystkie pytania. Kiedy zaczęli się od siebie oddalać? Pewnie wtedy, kiedy Renata uznała, że będzie wygodniej, jeśli się wyprowadzą na swoje. A może wtedy, kiedy Duduś przestał pozwalać trzymać się za rękę i zaczął całymi dniami przesiadywać przed komputerem, który Łucja sama mu zresztą kupiła. Albo kiedy podczas odwiedzin wnuczek w pierwszej kolejności rzucał się na jej torebkę, choć i tak nie mogła go niczym zaskoczyć, bo miał już wszystko.

W miarę upływu lat Łucji kończyły się karty przetargowe. Kusiła go obiadami, domowymi ciastami i prezentami z wsuniętymi do środka pieniędzmi. Wystarczała jej sama obecność chłopca. On w milczeniu oglądał telewizję, a ona patrzyła na niego jak na najpiękniejszy spektakl. Ale i to było dla niego za wiele. Nie mógł lub nie chciał tyle jej dać. Rozumiała to. Czas to pieniądz, mawiają. A dziś każdemu brakuje jednego i drugiego.

Spełniła więc jego prośbę i jak zwykle dała mu to, czego sobie życzył. Tym samym musiała zaakceptować fakt, że jej rola w życiu bliskich właśnie się skończyła. Wiedziała, czym to grozi. Dość się naoglądała powolnych śmierci z samotności i nie chciała przechodzić w stan wiecznego spoczynku, na emeryturę od życia. Nie była na to gotowa. Jeszcze nie teraz.

Leon

Podchody debiutujących klientów lombardu przypominały amatorski taniec na lodzie. Pokraczny, niezdarny, dwa kroki w przód, krok w tył. Niemal za każdym razem ta sama gra, którą Leon znał na pamięć. Okrężne pytania, czajenie się, owijanie w bawełnę. Przywykł do tego, ale nawet jemu czasami nie starczało

cierpliwości.

- Podobno skupuje pan różne rzeczy. - Skrzypiący ze starości głos należał do kobieciny w berecie.

Znowu baba. Już wiedział, że to potrwa.

- Tylko te wartościowe - odparł.

- Na przykład?

- Złoto, srebro, elektronika. W dobrym stanie i z dowodem zakupu, chyba że chodzi o starocie.

- Starocie?

- Przedmioty sprzed wielu lat, na przykład przedwojenne. Sztuka, antyki, porcelana.

- Stare jest cenniejsze? - rozpromieniła się babcia.

- To zależy. Jeśli ma historyczną wartość, tak.

- To ile pan płaci? - Seniorka przypominała dręczącego wszystkich pytaniami dwulatka.

- Za co? - Leon starał się nie dać wyprowadzić z równowagi.

- No nie wiem - odparła kobieta z wrodzoną swej płci precyzją. - Na przykład za łańcuszek?

- Cenę liczę od kruszcu i wagi.

- A pierścionek?

- Tak samo. Do tego dochodzi wielkość kamienia.

- Aha.

Nie zanosilo się na szybki koniec. Babcia krążyła wzrokiem po wnętrzu kantoru i ani myślała szykować się do wyjścia.

- A to co? - zapytała, wskazując na kartkę z ogłoszeniem.

Leon natychmiast zasłonił je ręką.

- Nic takiego. Proszę pokazać, z czym pani przychodzi, to zrobię wycenę - postanowił skrócić swe męki.

Kobiecina nie spieszyła się z odpowiedzią, przybierając minę Sfinksa.

- To coś nietypowego - przemówiła teatralnie. - Nie widzę u pana niczego w tym rodzaju.

Stała gadka, jaka poprzedza próby wciśnięcia najgorszego badziewia.

- Zamieniam się w słuch - westchnął Leon.

- Nie musi pan. Lepiej proszę się przyjrzeć.

Babcia wypięła pierś jak do orderu. Teraz nie miał już wątpliwości, że była lekko pomyłona, a takie przynosiły co najwyżej kłopoty.

- Słucham?

- To, co chcę sprzedać, ma pan przed oczami.

Skoro tak, to nie wróżyło zarobku. Beret, dziergana na szydełku chusta, staromodna jesionka, wysłużone buty z białymi wybroczynami soli. Ewentualne precjoza mogły kryć się w torebce, ale Leon nie żywił na to większych nadziei.

- Proszę jaśniej.

- Na ile wyceniłby pan mnie?

- Słucham?!

- Chciałabym oddać się w zastaw - babcia uśmiechnęła się na całą szerokość

protezy. – Będzie pan zadowolony.

Rozdział jedenasty

Leon

Zaczynał mieć wątpliwości, czy dobrze zrobił. Od rana domofon nie przestawał dzwonić na dłużej niż kilkanaście minut, a wejście do mieszkania przypominało obrotowe drzwi do galerii handlowej. W przedpokoju co chwila pojawiali się ludzie, wnosząc zaklezione taśmą kartony, meble i owinięte folią pakunki. Pokrzykiwali i wybuchali śmiechem. A kiedy tworzył się korek, musieli wciągać brzuchy, by precyzyjnie się przez ciasny korytarz lub czekać na swoją kolej wejścia do mieszkania. Świeżo wypastowana klepka pokryła się błotnymi odciskami zimowych butów, a na odmalowanych ścianach pojawiły się zarysowania.

- Ostrożnie! - napominał Leon, obserwując ruchy niefrasobliwych tragarzy.

Sprawiali wrażenie przypadkowej zbieraniny znajomych, pozyskanych naprędce do pomocy przy przeprowadzce. Niespecjalnie przejmowali się potencjalnie wyrządzonymi szkodami. Tacy jak oni cudzego nie uszanują.

Nie mógł się nadziwić własnej głupocie. Wpuszczał do środka każdego i teraz po domu kręcił mu się tłum nieznanym. Narastający hałas i nachalne spojrzenia sąsiadów zza uchylonych firanek zaczęły mu uświadamiać, na co się zdecydował.

Zamierzał dzielić mieszkanie z obcymi ludźmi, co gorsza z trzema kobietami. Teoretycznie były bezpieczniejsze niż mężczyźni, ale zamieszanie w przedpokoju nie wróżyło nic dobrego. Przypominało raczej pierwsze pomruki nadciągającej burzy.

Kiedy wywiesił ogłoszenie, nie spodziewał się, że jego nieprzemyślany plan tak szybko wejdzie w życie. Właściwie nie wiedział, czego się spodziewać, ale na pewno nie tego. Myślał, że nie tak łatwo o lokatorów, a jeśli już pojawią się jacyś kandydaci, będzie miał czas do namysłu i odmówi każdemu, kto wzbudzi jego wątpliwości. Ale kiedy pojawiła się starsza pani, a potem jedna po drugiej zadzwoniły dziewczyny, zgodził się bez mrugnięcia okiem. Potrafił się zdobyć tylko na wzruszenie ramionami i kiwnięcie głową. Nie chciał wypaść na gburę albo człowieka niepoważnego, zwłaszcza przed płcią piękną. Przytomnie natychmiast zerwał ogłoszenie. I chwała Bogu, bo z taką asertywnością przyjąłby każdego, kto wyraziłby na to ochotę.

Umówił się z lokatorkami, że wprowadzą się z początkiem nowego miesiąca, ale nie przypuszczał, że stawią się pierwszego stycznia. O dziwo nie odsypiały sylwestrowego świętowania. Najwyraźniej postanowiły opłacony miesiąc wykorzystać co do dnia. Takie czasy: płacę i wymagam.

Kiedy raz po raz wystawiał głowę ze swojego pokoju i patrzył na zastawiony po sufit korytarz, zastanawiał się, jakim cudem wszystko miało się zmieścić w dwóch pokojach na piętrze, które przypadły dziewczynom. Seniora szczęśliwie zajęła najmniejszy z trzech, a Leon zostawił sobie całe poddasze. W końcu był tu właścicielem i coś mu się należało. Nie mógł pozwolić wejść sobie na głowę i od początku musiał wyznaczyć granice. Kobiety musiały wiedzieć, kto tu rządzi. Im

wcześniej to okaże, tym lepiej.

Dlatego kiedy po południu rejwach przycichł, a przedpokój został opróżniony z większości paczek, Leon wśliznął się do łazienki, dokonał pobieżnej oceny swojej prezencji, a potem zapukał do drzwi każdego pokoju. Na pytające spojrzenia odpowiadał krótko:

- Zapraszam na spotkanie organizacyjne w stołowym.

Młode przyszły od razu, ale na seniorkę przyszło im czekać dobre piętnaście minut. Nie wypadało zaczynać bez niej, siedzieli więc na kanapie w niezręcznym milczeniu. Leon zaczął już podejrzewać starszą panią o zasłabnięcie i wyrzekał pod nosem, że z własnej woli naraził się na takie ewentualności, ale w końcu stanęła w drzwiach. Miała na sobie białą bluzkę z koronkowym kołnierzykiem, czarną spódnicę, cienkie rajstopy i lakierowane czółenka. Pełna gala.

- Szczęśliwego Nowego Roku - powiedziała i z godnością zajęła miejsce przy stole.

Młode spojrzały na siebie. Nie przebrały się po przeprowadzce, siedziały na kanapie w obszarpanych dżinsach i wyciągniętych podkoszulkach. Na widok Łucji wyprostowały się, a Leon bezwiednie strzepnął wypchane w kolanach spodnie.

- Zaczniemy więc - chrząknął.

- Przepraszam - powiedziała czarnowłosa Weronika. - Jeśli pan pozwoli, odświeżymy się szybko. Cały dzień pracowałyśmy i nie zdążyłyśmy.

- Zaraz wrócimy. - Młodsza podniosła się z kanapy i nie czekając na przyzwolenie obie wyszły z pokoju.

- Na litość boską - mruknął Leon, spoglądając na staroświecki zegar, stojący w rogu pokoju, zdobycz zachowaną z lombardu.

Podczas kolejnych dwudziestu minut wypełnionych pluskiem wody i szumem suszarki pomyślał, że musi omówić kwestię dopłaty do rachunków, a potem sam niechętnie powlókł się do szafy w poszukiwaniu marynarki.

Spotkanie zaczęło się godzinę później, niż planował. Usiedli przy stole, na którym nie wiadomo skąd pojawiła się koronkowa serweta, zapachowa świeca i kryształowa miseczka wypełniona faworkami. Łucja siedziała z rękami nobliwie splecionymi na kolanach. W tej sytuacji Leon był zmuszony podejść do barku w regale, gdzie przechowywał alkohol. Stosowny dla kobiet zdawał się tylko ajerkoniak, a do tego pasowały niskie kieliszki. Młode znów wyszły z pokoju, ale zanim Leon zdążył zakląć, wróciły: jedna z paczką orzeszków, druga z opakowaniem delikcji szampańskich.

- Przejdźmy do rzeczy - zaczął Leon. - Zebraliśmy się tu po to, by omówić podstawowe kwestie dotyczące naszej kohabitacji.

- Przepraszam. - Łucja podniosła dłoń jak uczeń zgłaszający się do odpowiedzi. - Chciałabym coś zaproponować.

Wyraźnie musiał poprawić swoje zdolności przywódcze.

- Powinniśmy się poznać. W końcu będziemy razem mieszkać - wyjaśniła seniorka. - Wypada, by każdy z nas się przedstawił i opowiedział kilka słów o sobie.

Pozostała trójka spojrzała na siebie. Kinga, najmłodsza, energicznie pokiwała głową.

- Aby państwa ośmielić, zacznę od siebie - powiedziała Łucja.

- Jeśli pani pozwoli, mówmy sobie po imieniu - wtrąciła Weronika.

- Dobry pomysł.

Leon czuł, że dyskusja zaczyna toczyć się bez jego udziału.

- Jako gospodarz to ja powinienem przedstawić się pierwszy - spróbował swoich sił. - Mam na imię Leon i miło mi powitać panie w moich skromnych progach.

Starsza pani skinęła z uznaniem, ale młodsze przyglądały mu się z ukosa. Z pewnością zawiniła tu różnica pokoleń.

- Mielіśmy przejść na ty - upomniała go Weronika.

- Was. Miło mi was powitać - poprawił się. - Jak wiecie, jestem przedsiębiorcą, ale też samotnym mężczyzną. - Obie części ostatniego zdania wypowiedziane na głos brzmiały żenująco. W brudnopisie prezentowały się o wiele lepiej. - Zdecydowałem się na zaproszenie was tutaj, bo nie chciałem dłużej mieszkać sam - brnął dalej.

Łucja pokiwała głową, młode nieznacznie zmrużyły oczy.

- Ten dom jest dla mnie o wiele za duży - pospieszył z wyjaśnieniem. - I za drogi. Czasy są ciężkie, jest kryzys.

- Wiemy. - Weronika wybawiła go z niezdarnej przemowy. - Dlatego tu jesteśmy.

Wszyscy jak na zawołanie opuścili wzrok.

- Przynajmniej ja - mówiła dalej. - Mam na imię Weronika i jestem bankrutką. - Po tych słowach wzięła w dłoń butelkę i odkręciła blaszaną zakrętkę. Leon zreflektował się i wyręczył ją w nalewaniu złotego płynu do kieliszków. - Moja obecność tutaj nie jest moim marzeniem - kontynuowała Weronika. - Zmusiła mnie do tego trudna sytuacja życiowa. Nie planuję zostać tu na długo. - Nie czekając na nikogo, podniosła kieliszek do ust i jednym łykiem wypięła jego zawartość.

- Przykro mi. - Leon poczuł się urażony.

- A mnie nie - powiedziała najmłodsza. - Jestem Kinga i bardzo mi się tu podoba. Długo szukałam miejsca, które by mi odpowiadało. Tam, skąd się przeniosłam, nie wytrzymałabym ani dnia dłużej. Mieszkanie z rodziną, choć tańsze, niekoniecznie wychodzi na dobre.

Łucja uważnie jej się przyglądała.

- I tak jak wy próbuję oszczędzać, co nie jest łatwe, bo dopiero zaczynam na rynku pracy - ciągnęła dziewczyna. - Mam marzenie i na nie odkładam.

- Ty też zamierzasz mieszkać tu tylko do czasu? - zapytał Leon. To wszystko coraz mniej mu się podobało.

- Przecież nie podpisujemy umowy na czas nieokreślony - odparła brunetka.

- Skądże znowu! - zachnął się.

- A jakie jest twoje marzenie, kochanie? - Łucja zwróciła się do Kingi.

- Na razie wołałabym go nie zdradzać.

- Czyli nie wierzysz we własne siły - rzuciła Weronika.

- Może po prostu nie chce zapeszać - odparował Leon.

- Lepiej otwarcie mówić o swoich zamierzeniach. Świadomość, że inni wiedzą o naszych dążeniach, dopinguje do działania - drażyła Weronika.

- Umieję mobilizować się sama. Nie liczę się z opinią osób, których właściwie nie znam - odcięła się Kinga.

- Skoro o tym mowa - zaczęła seniorka - to chyba moja kolej. Na imię mi Łucja i

nie spodziewałam się, że w wieku siedemdziesięciu sześciu lat będę zaczynać wszystko od początku. Ale zmiany zazwyczaj przychodzą nieproszone.

Tym razem to ona wzięła w dłoń butelkę i napełniła swój pusty kieliszek.

- A rodzina? Nie ma pani... nie masz rodziny? - zapytała Weronika.

- To nie nasza sprawa - powiedziała Kinga.

- Mielіśmy się poznać, a to są podstawowe informacje. Ona właściwie nic o sobie nie powiedziała.

- A ty? O tobie też nic nie wiemy - zniecierpliwiła się dziewczyna.

- Nie będę się zwierzać obcym ludziom, jak to powiedziałaś.

- Nie - przerwała Łucja. - Nie mam.

Nawet Leon, jako mężczyzna z natury pozbawiony wysoko rozwiniętych umiejętności czytania mowy ciała, wiedział, że kłamała. Spojrzał na trzy wymownie milczące kobiety. Z obawy, że zaraz zaczną się kłócić, wstał i wznosił toast.

- Wszystkiego dowiemy się w swoim czasie. A teraz wypijmy za to, by dobrze się nam razem mieszkało.

Jego słowa wzbudziły umiarkowany entuzjazm. Jedyne dźwięk, jakim zaszczyciły go panie, to głośne przełknięcie gęstego trunku, wykrzywiającego ich usta w mało przyjazny grymas.

Weronika

A więc to będzie jej nowy dom. Nie mogła w to uwierzyć. Ta groteskowa komuna, ta zbieranina nieudaczników zgromadzona w cuchnącej papierosami, starokawalerskiej norze. Kiedy spojrzała na przydzielony jej ciasny pokój, niemal pod sufit zastawiony bagażami, przeżyła atak paniki. Wszystko ją drażniło. Brud wychodzący spod ruszającej się listwy podłogowej i odłaząca tapeta. Byle jakie wykończenie, najtańsze meble ze sklejki, tapczan w paskudny rzucik. Klaustrofobiczna, niedomyta łazienka bez okna, a w niej pożółkłe sanitariaty, które miała dzielić z trójką obcych ludzi. Była na to za stara. Zdążyła się przyzwycząić do pewnego poziomu życia i uważała, że każdy dorosły człowiek zasługuje na prawo do własnej przestrzeni, siadania na prywatnej desce sedesowej i spania w łóżku pozbawionym naleciałości innych ciał. Żałowała pochoptnej decyzji o przeprowadzce, ale nie miała wyboru. Dlatego postanowiła bronić resztek swojej strefy osobistej. W pokrytym szpetną okleiną regale jedną półkę przeznaczyła na detergenty, czyściki i lateksowe rękawiczki, a drugą na sztucce i naczynia, bo nie zamierzała zostawiać ich we wspólnej kuchni, pokrytej wieloletnią warstwą tłuszczu. Jeden kubek, ulubiona filiżanka, trzy talerze: mały, duży i głęboki. Nóż, łyżka i widelec. Kilka kompletów ubrań, tygodniowy zapas bielizny. Klapki kąpielowe, ręczniki i podróżna kosmetyczka. Prawie jakby wyjechała w podróż. Ale jej obecne położenie nie miało nic wspólnego z poruszaniem się naprzód. Niewidzialna ręka zatrzymała jej życie w stopklatce. Stop. Klatka.

Odwykła od dzielenia mieszkania z innymi i już pierwszy dzień uświadomił jej, że będzie ciężko. Zajęta kuchnia, kolejka do łazienki, cudze okrycia, ocierające się o

jej płaszcz w przedpokoju. Przepuszczanie się w wąskim korytarzu, korzystanie z jednej pralki i lodówki, pokorne czekanie na swoją kolej, by wykonać najprostszą czynność. Współdzielenie, współistnienie na zbyt małej przestrzeni. Przybrana rodzina, która drażni tak samo jak prawdziwa. W końcu Weronika nie wybierała ani jednej, ani drugiej.

I jeszcze to idiotyczne zebranie. Pożalowania godne wyznania bandy wykolejeńców, chwilowo jadących na tym samym wózku. Przygnębiający początek Nowego Roku.

Była niemiła, dali jej to do zrozumienia. Cóż, nie zamierzała się z nikim spoufalać. Po co ich do siebie przyzwyczajając? Nie interesowały jej ich problemy, dosyć miała swoich. Zamierzała ograniczyć kontakty ze współlokatorami do minimum, ale już pierwszego wieczora zaczęła wątpić, czy się to uda. Leon do znudzenia roztrząsał zasady wspólnego mieszkania, określając je mianem „współżycie”. Marzyciel.

- Po pierwsze, nie sprowadzamy do mieszkania obcych ludzi - z namaszczeniem odczytał pierwszy punkt z notatek spiętych klipsem.

- A kogo rozumiemy przez obcych? - zainteresowała się Kinga.

- Wszystkich nieznanym.

- Nieznanych komu? Czy jeśli ja kogoś znam, mogę go przyprowadzić? - drążyła Weronika.

- Nie.

- Ta zasada dotyczy wszystkich?

- Tak.

- Wszystko jasne. Zatem jeśli ty kogoś znasz, ale my nie, to również nie możesz takiej osoby wpuścić?

Leon podrapał się po głowie, a po namyśle przy pierwszym punkcie narysował znak zapytania. Weronika czepiała się z czystej złośliwości. Przecież nie przychodził jej do głowy nikt, kogo chciałaby do siebie zaprosić. Na pewno nie tutaj.

- Z czasem na pewno wypracujemy sobie porządek, który będzie wszystkim odpowiadał - Łucja próbowała złagodzić atmosferę.

- Z drugiej strony dobrze jest od razu sprecyzować wzajemne oczekiwania, by później uniknąć nieporozumień - zauważyła Kinga.

- Wzajemne oczekiwania? Z tego, co widzę, właściciel narzuca lokatorom swoje warunki - skwitowała Weronika i chwyciła za butelkę.

Na pogłębiającej się łysinie Leona wystąpiły kropelki potu. Szybko otarł je wyciągniętą z kieszeni materiałową chusteczką, a brunetka na ten widok zmarszczyła nos i odwróciła wzrok w stronę okna.

- Druga kwestia to cisza - kontynuował Leon. - Starajmy się nie przeszkadzać innym i nie przekraczać granic hałasu. Uważajmy na radio i telefony komórkowe.

- I telewizor. - Skinęła na okazały odbiornik w salonie, czyli terytorium Leona.

Mimo tej drobnej złośliwości wszyscy zgodnie pokiwali głowami, a gospodarz odetchnął z ulgą i ruszył w dół listy.

- Woda. Muszę przyznać, że trzy panie pod jednym dachem budzą moje obawy o zużycie wody - wyszczerzył zęby w krzywym uśmiechu.

- Mamy się nie myć?

Weronika słyszała swój oschły ton i czuła na sobie pełne dezaprobaty spojrzenia,

ale nic nie mogła na to poradzić. Całe to zgromadzenie doprowadzało ją do szału.

- Wystarczy krótki prysznic, zamiast pławienia się w kąpieli - wytłumaczyła Łucja.

Weronika zestawiała te słowa z obrazem przykrótkiej wanny w łazience i parsknęła śmiechem. W każdym razie biorąc pod uwagę wygląd Leona, niewskazujący na przesadne zamiłowanie do mycia, dopłaty należało uznać za gwarantowane.

- Wreszcie: utrzymanie czystości. Dbamy o czystość swoich pokoi, ale i przestrzeni wspólnych.

- Przepraszam, ale to chyba rola gospodarza - zaprotestowała Weronika.

- Przecież to nie hotel - zdziwiła się Kinga.

- A my nie sprzątaczkę. Płacimy za wynajem, więc powinniśmy oczekiwać porządku. - Usiłowała znaleźć nić porozumienia z towarzyszkami, ale dziewczyna i seniorka najwyraźniej hołdowały patriarchalnemu podziałowi ról.

- Nigdy nie mieszkałaś w wynajmowanym mieszkaniu? - zapytała młodsza.

- Owszem, ale nie razem z właścicielem. To zmienia postać rzeczy. Właściwie to jest taki trochę hotel. Hotel Bankrut - roześmiała się głośno. Może odrobinę przesadziła z likierem.

Szybko rozszyfrowała Leona. Stary sknera wyglądał na lubieżnika, który liczył, że sobie kogoś przygrucha, jeśli nie do macania, to chociaż do obsługi obejścia. Szybko wyszło na jaw, czego oczekuje, kiedy obwieścił zakaz sprowadzania innych samców i kazał im ustalić dyżury w sprzątaniu. Niedoczekanie.

Kiedy skończył swój wywód, przyszła pora na Łucję. Ta weszła w typową dla pewnego wieku rolę samozwańczej animatorki - kaowca. Najpierw niepostrzeżenie wmanewrowała ich w przebierany bankiecik. Weronika obstawiała, że zaraz każe im recytować wiersze i niewiele się pomyliła.

- To może teraz opowiecie, jakie są wasze noworoczne postanowienia?

Boże.

Weronika wstała i odpowiedziała:

- Wynieść się stąd jak najszybciej.

A potem, nie zwlekając z wcieleniem tej deklaracji w życie, bez pożegnania poszła do swojego pokoju.

Kinga

Postanowienia na Nowy Rok? W jej życiu działo się wystarczająco dużo, nie musiała fundować sobie dodatkowych rewolucji. Wprowadziła w ruch śnieżną kulę zdarzeń, która aktualnie przechodziła stadium lawiny.

Najpierw zadzwoniła Weronika. Znalazła mieszkanie i obie szybko się na nie zdecydowały. Kinga miała kilka dni na spakowanie rzeczy i przewiezienie ich do domu Leona. Ciotka nie kryła rozczarowania dziurą w przyszłorocznym budżecie, ale na otarcie krokodylich łez Kinga obiecała jej uszycie garsonki na sylwestra.

Casting. Czy nie brała w nim udziału po to, by coś wreszcie ruszyło się z miejsca?

A jednak gdy zakwalifikowała się do kolejnego etapu programu, Kinga była zaskoczona. Jednak wiadomość o wynikach dotarła do niej później. Najpierw dowiedziała się, że ojciec umiera.

Oczywiście nie przekazano jej tego w taki sposób. Nienachalnie, jakby mimochodem, sąsiadka wspomniała o pobycie taty w szpitalu. Jakby to oznaczało najnaturalniejszą rzecz na świecie. A rak, którego u niego wykryto, był swojski jak pocieszny skorupiak, który chodzi wspak, a w garnku barwi się na wesołą czerwień.

Chciała pojechać do domu natychmiast po castingu, ale przeszkadzał jej w tym nieporęczny wieszak. Edith jak na złość nie odbierała telefonu. Kinga niepotrzebnie ją uprzedziła, że kolejka przeciągnie się na wiele godzin. Musiała poradzić sobie sama. Wyprowadziła wieszak na zewnątrz hali, gdzie odbywały się przesłuchania, i z trudem potoczyła go w stronę przystanku. Nijak nie mogła zapakować go do tramwaju: nie dawał się wprowadzić na zbyt wysokie schody lub grzązł w szybko zatrzaskujących się drzwiach. Niemal godzinę szła do mieszkania ciotki, pchając przed sobą stelaż, a ten podskakiwał na pobrużdżonych chodnikach. Płakała z bezsilności, ale nie mogła go tak po prostu porzucić. Zaciskała na nim zziębnięte palce, umierając z niepokoju. Bała się o ojca, ale w jej strachu kryło się coś jeszcze. Przeczynała nadchodzący dylemat: jej przyszłość czy obowiązek córki. Nie przypuszczała, że dzień tej decyzji nadejdzie tak szybko.

- Ja cię znam - powiedziała Łucja, przyciskając palcem łącznik w okularach. Po wyjściu Weroniki Kinga znalazła się w centrum uwagi.

- Przykro mi, ale nie przypominam sobie.

- Widziałam cię w telewizji.

- To chyba pomyłka.

- Jestem niemal pewna. Mówiłaś o modzie.

- Ach, to... - Nagle zaczęły piec ją policzki. - Nie miałam pojęcia, że ktoś to widział.

Nie była to dobra wiadomość. Kinga nie wiedziała, czy wyprzeć nieszczęsny epizod z pamięci, czy pójść szukać kompromitującego nagrania w sieci.

- Jaki program? - zainteresował się Leon. Po wyjściu Weroniki nieco się rozluźnił.

- Nie ma o czym mówić.

- Mnie się podoba - pocieszyła ją Łucja. - Młodzi ludzie pokazują tam różne talenty. Czego oni nie wyrabiają! Śpiewy, tańce, akrobacje.

- Coś kojarzę. To tam tańczą na rurze? - Obliznął się, rozlewając następną kolejkę likieru.

- Między innymi - ucięła Kinga, skubiąc brzeg serwetki leżącej na stole.

- A ty? Co tam robisz? - dopytywał.

- No przecież mówię: coś z modą. - Łucja przyszła jej z odsieczą. - Jesteś krawcową, kochanie?

- Coś w tym stylu. Dziś mówią na to projektantka.

- Tam chyba można wygrać jakieś pieniądze - przypomniał sobie Leon.

- Wygrywają nieliczni. Większości uczestników chodzi o to, by się wypromować.

- Reklama dźwignią handlu? Nie wierzyłbym w to. A ile wynosi główna nagroda?

- Trzysta tysięcy.

- To więcej, niż odłożyłam przez całe życie - zdumiała się Łucja. - Mieć tyle

pieniędzy w tak młodym wieku...

- Przyjemnie, nawet jeśli odliczyć podatek - zgodził się Leon. - Na co wydasz wygraną?

- Nie wybiegam myślą tak daleko. To naprawdę mało realne. Może kupiłabym mieszkanie. Choć rozsądniej byłoby zainwestować we własną firmę.

- Głębokie wody. - Pokręcił głową. - Wzburzone i nieprzyjazne. Wiem coś o tym.

- Kto nie ryzykuje, ten nie ma. Ale na tym etapie te rozważania naprawdę nie mają sensu.

- Zawsze warto marzyć, słonko - powiedziała Łucja.

- Gdybym ja dostał taką sumkę, może wreszcie zobaczyłbym kawałek świata. I zamknąłbym ten burdel. - Starsza pani spojrzała na niego z wyrzutem. - Mówię o lombardzie. Pytanie, na jak długo starczyłyby te pieniądze. Musiałbym to policzyć i pamiętać, by nie żyć ani dnia dłużej.

Wybuchnął śmiechem, a Łucja się zamyśliła. Najwyraźniej różnie reagowali na likier.

Kinga wstała, dając do zrozumienia, że idzie się położyć.

- A ty, Łucjo? Co byś zrobiła z taką kasą? - Leon rozlał resztę zawartości butelki między ich dwoje.

Zanim zdążyła otworzyć usta, zrobił to ktoś inny. Cała trójka zamarła. Gdzieś powyżej, na piętrze, rozległ się krzyk.

Leon

Pierwszy rzucił się naprzód. W końcu jako gospodarz i właściciel troszczył się o stan swojego domu, teoretycznie mógłby też zostać pociągnięty do odpowiedzialności w razie nieszczęśliwego wypadku. Nie wspominając o tym, że nie zgłosił wynajmu do skarbowki. Ale przede wszystkim był jedynym mężczyzną w tym kurniku. Od początku coś mu podpowiadało, że tego pożałuje, ale nie przypuszczał, że utwierdzi się w tym przekonaniu tak szybko. Wszystkie te myśli przegalopowały mu przez głowę, zanim ruszył z miejsca. Minął Łucję, odepchnął stojącą w drzwiach salonu Kingę i po kilku susach zlokalizował źródło hałasu. Pokój Weroniki. Kiedy otwierał drzwi, wstrzymał oddech.

Pomieszczenie zdawało się nienaruszone, a krzyk nagle ucichł. Dopiero widok okna zmroził mu krew w żyłach.

Siedziała skulona na parapecie. Trzęsła się, obejmując rękami kolana. Zimny wiatr rozwiewał jej ciemne włosy, a na skórze rozsypał gruzełki gęsiej skórki. Okno było szeroko otwarte na noc. Ziejący otwór złowrogo czernił się na tle żółtych ścian. Leon dobrze znał jego ssącą moc. Natychmiast doskoczył do Weroniki i jednym ruchem zrzucił ją na podłogę. Potem zamknął okno, przesadnie mocno dociskając klamkę. Na wszelki wypadek szarpnięciem sprawdził zamknięcie i energicznie zaciągnął zasłony, przypieczętowawszy akcję ratunkową. Dopiero po zabezpieczeniu pokoju eksplodował.

- Oszalałaś?!

Stał nad kulącą się na podłodze Weroniką. Jej cichy szloch zdążył już przejść w głośnie łkanie. Rozcierała sobie przy tym łokieć, w czym Leon dopatrywał się wyrzutu. Jeszcze bardziej go to rozjuszyło.

- Coś ty wymyśliła! - krzyknął. - Pijana wariatka! Zabić się! U mnie! Po moim trupie!

Niedoszła samobójczyni zanosila się głośnym płaczem. Otaczali ją milczącym półkolem.

Łucja wystąpiła naprzód i pochylając się nad nią, koniuszkami palców dotknęła jej ramienia i zaczęła je delikatnie głaskać. Weronika nie reagowała. Po kilku ciągnących się w nieskończoność minutach, wypełnionych gęstą, przerywaną smarkaniem ciszą, spod splecionych ramion wydobył się niezrozumiały bulgot.

- Głośniej, kochanie - szepnęła Łucja.

- Do niczego się nie nadaję. Nic nie umiem. Nawet się zabić.

- To akurat zaleta. Mój Boże, dlaczego chciałaś zrobić coś takiego?

- Nie wytrzymam tutaj. - Podniosła głowę, a rozmyty tusz do rzęs wydeptał na jej policzkach czarne, kręte ścieżki. - Ja tu zwariuję.

- Nie podoba się? To fora ze dwora - wybuchnął znów Leon. - Ale nikt mi pod moim dachem nie będzie nikogo zabijał! Nawet siebie!

- Co ja tu robię? Co my wszyscy tutaj robimy?

Pozostała trójka zdawała się szukać sensownej odpowiedzi.

- To nasz nowy dom - spróbowała Łucja.

- Co to w ogóle za pomysł? Jesteśmy dorosłymi ludźmi. Powinniśmy mieć swoje życie i swoje domy.

- Przecież masz swoje mieszkanie. Dlaczego się tu sprowadziłaś? - zapytała Kinga i od razu zrobiła minę, jakby boleśnie ugryzła się w język.

- Musiałam je wynająć, jak Leon, ale ja spłacam potężny kredyt, więc sama się wyniosłam. W moim mieszkaniu żyją teraz obcy ludzie. To chore.

- Po prostu jesteśmy postępowi. Założyliśmy komunę - uśmiechnęła się Łucja.

- Raczej cholerny obóz dla uchodźców.

Leon posłał jej wrogie spojrzenie.

- Innymi słowy azyl. - Starsza pani wciąż głaskała jej ramię. - Miejsce, w którym można się schronić i przeczekać zawieruchę.

- Albo przechowalnia zbędnego bagażu.

- Nie przesadzaj - zaprotestowała Kinga. - Ludzie robią tak na całym świecie.

- To prawda - przyłączył się Leon. - Dzielenie się to nowy trend w gospodarce.

- On ma rację - przytaknęła dziewczyna, a Leon, jak każdy mężczyzna, urósł na dźwięk tych słów. - Modne jest wynajmowanie mieszkań zamiast hoteli, dzielenie się kosztami wspólnych przejazdów, domowe restauracje, kooperatywy spożywcze...

- I cuchnące ciuchy z lumpeksów. Dziękuję bardzo. - Machnęła ręką Weronika.

- Masz z tym jakiś problem?

- Och, przestań udawać, że jesteśmy tu z własnej woli. Nie jesteśmy modni, tylko biedni. Żadni z nas hipsterzy, tylko nędzarze.

- Przestań się nad sobą użalać! - zniecierpliwiła się Kinga. - Jesteśmy tu tylko tymczasowo.

Tym razem Leon, słysząc te słowa, nie poczuł złości, tylko ulgę.

- Prowizorki są najtrwalsze - zrzędziła dalej brunetka.

- To zależy tylko od ciebie.

- Nic nie zależy ode mnie. Ani od ciebie. Jeszcze się nie zorientowałaś?

- Jeśli się poddamy, to na pewno.

- Jestem za stara na zaczynanie wszystkiego od początku. Ile razy można?

- Tyle, ile trzeba - powiedziała Łucja.

- Po co?! Po co się oszukiwać? Nikt nas nie chce! Świat jest przepelniony,

przeżarty takimi jak my. Bezrobotna stara panna, samotna emerytka, przeterminowany kawaler i siksa, której wyimaginowany talent nikogo nie obchodzi, bo takich jak ona jest na pęczki. Nikomu nie jesteśmy potrzebni. Lepsze dni nie nadejdą. Szkoda prądu na respirator.

Zapadła cisza jak po nokaucie. Nikt nie czuł się na siłach podważyć bezlitosnych racji Weroniki. Wszystko, co powiedziała, było prawdą. Z jednym małym wyjątkiem.

- Nie jestem kawalerem - Leon przerwał milczenie.

Wszystkie kobiety obecne w pokoju skierowały na niego swój wzrok. A potem jak na komendę wybuchły śmiechem.

- Gratulacje - powiedziała Weronika, ocierając wierzchem dłoni rozmazany makijaż.

- Gdzie wobec tego jest twoja żona? - zapytała Kinga, starając się zachować powagę.

Zdecydował się puścić kpinę mimo uszu.

- Chcecie się na coś przydać? - zapytał. - To pomóżcie mi ją odzyskać.

Łucja

Jakże jej tego brakowało! Jak długo na to czekała! Nareszcie czuła się potrzebna. Bardzo tego potrzebowała.

Kiedy usłyszała prośbę Leona, nie mogła uwierzyć swemu szczęściu.

- Z największą przyjemnością! - odparła natychmiast.

- A co my mamy z tym wspólnego? - tradycyjnie zawetowała Weronika. - Powinien sam to załatwić.

- To chyba nie jest nasza sprawa - zgodziła się Kinga.

- Trzeba pomóc. Widać sytuacja tego wymaga.

- To mnie właśnie wkurza. Kobiety oczekują od mężczyzn samodzielności, a jednocześnie nigdy nie przestają im matkować. Nie zamierzam w tym uczestniczyć. Jeśli Leon ma problemy z żoną, powinien stanąć na wysokości zadania i rozwiązać je sam.

- A ty? Sama rozwiązujesz swoje problemy? - wypaliła Łucja. - Coś słabo ci idzie. Tak jak każdemu z nas. Pora zrozumieć, że w pojedynkę niewiele zdołamy. Być może los nieprzypadkowo zetknął nas ze sobą. Zamiast narzekać na to, że musieliśmy tu zamieszkać, możemy to wykorzystać. Spróbujmy sobie pomóc. Zaczniemy od Leona.

Z największą przyjemnością zakasała rękawy i wzięła się do roboty. Jednym z powodów, dla których sprowadziła się do Laskowskiego, był on sam. Samotni mężczyźni kompletnie sobie nie radzą. Teoretycznie to kobiety wydają się bardziej zależne: czekają przy telefonie, bez końca wybaczą, wizja samotności napawa je paniką. Ale kiedy to, czego najbardziej się obawiają, już się stanie, odżywają. Po rozstaniu zaczynają o siebie dbać, najpierw z przekory, by udowodnić byłemu, co stracił, potem dla siebie, z czystej przyjemności. Dostrzegają, że w ich życiu zamiast pustki pojawiła się przestrzeń. Mają czas na podróże, pasje, przyjaciółki. Za rozstaniem idą też dodatkowe pieniądze, bo wcześniej dziwnym trafem wszystko szło na dom i leniwego partnera. Dom bez mężczyzny staje się czystszy i przyjemniejszy. W miejsce papierosowego dymu pojawia się zapach świeżych kwiatów. Zamiast dwudaniowych obiadów – lekka i zdrowa dieta. Z czasem być może też nowy mężczyzna, ale przed wpuszczeniem go do swojego życia kobieta dobrze się zastanowi, czy jej się to opłaca.

Co innego panowie. Pozornie niezależni, bez kobiety popadają w ruinę. Wystarczy takiego odwiedzić w domu: brud, smród i ubóstwo. W lodówce kawałek spleśniałego sera, w słoiku przy barłogu obrzydliwe niedopałki. Wokół stare skarpety, resztki jedzenia i plamy nieokreślonej, cuchnącej materii. Pomysł na wieczór: wódka i telewizor, sposób na dzień: sen. Obraz nędzy i rozpacz. Dlatego wdowcy i rozwodnicy rzucają się w objęcia pierwszej napotkanej wybawicielki. Choć to kobiety myślą „nie mogę bez niego żyć”, w rzeczywistości jest odwrotnie.

Leon nie stanowił wyjątku. Wywieszane przez niego ogłoszenie oznaczało desperacką próbę wypełnienia domowej pustki. Łucji wystarczył rzut oka, by połapać się, o co chodzi. Obecność kobiety zostawia na mężczyźnie ślad, którego na Leonie nie było. Tacy jak on zawsze wzbudzali w niej litość. Przypominał małego, zabiedzonego pieska, wyrzuconego po drodze z samochodu.

Złożyła mu niecodzienną bądź co bądź propozycję, a on szybko na nią przystał. Kiedy stanęła w progu jego domu, przywitała się łagodnym głosem i pozwoliła, by wziął od niej torbę. Gdy prowadził ją w głąb mieszkania, rozglądała się z ciekawością. Przeczucie jej nie myliło. Choć uprzątnięte na jej przybycie, przedstawiało żaloszny widok. Gołe, niedoczyszczone szyby szczyrzyły się nieprzyjaźnie, pozbawione zasłon czy choćby firany. Rozeschnięte klepki parkietu nieprzyjemnie obłaziły z resztek lakieru. No i zieleń. W całym mieszkaniu nie znalazła choćby złamanego kaktusa.

Rzut oka na kuchnię napełnił ją jeszcze większym zapałem. Po męsku pusta i bezosobowa, miała duży potencjał. Spora, widna, z kuchnią na cztery fajerki. Gdzieś tam widniały pamiątki jej dawnej świetności: a to resztki zastawy z Włocławka, a to pokryty tłuszczem dekor przedstawiający martwą naturę. Wystarczyło gruntownie tu posprzątać, powiesić zazdrostki i warkocze czosnku, a na parapecie ustawić doniczki świeżych ziół. Łucja wiedziała, że przy odrobinie wysiłku zacznie tu bić serce całego domu.

Kiedy dowiedziała się o dwóch kolejnych lokatorkach, pomyślała, że Leon jest bardziej przebiegły, niż sądziła. Na szczęście, jak szybko się okazało, dziewczyny również potrzebowały jej pomocy.

Kinga to jeszcze dziecko, należało ją wprowadzić w życie. Nieśmiała i zagubiona,

z lękiem wchodziła w wielki świat. Pochodziła z małego miasteczka, pewnie tęskniła do domu i ojca. Przydałoby się znaleźć miłego chłopaka. Od razu przyszedł jej do głowy Duduś, ale szybko odgoniła tę myśl. Musiała zacząć się odzwyczajając.

Prawdziwe pole do popisu stanowiła jednak Weronika. Ładna, bezczelna i pozornie pewna siebie, sprawiała wrażenie silnej, a w istocie była najbardziej kruchą i zabiedzoną istotą z ich nieszczęsnej czwórki.

Ich czwórka.

Łucja uśmiechnęła się do tej myśli. Znalazła sobie nową rodzinę. Ci ludzie, wczoraj obcy i bez znaczenia, dziś stali się brakującym ogniwem. Przypominali, dlaczego warto żyć. Potrzebowali jej, a ona potrzebowała ich.

Rozdział dwunasty

Weronika

Stara działała jej na nerwy. Czepiała się jak pijany płotu. Po incydencie z oknem uznała Weronikę za paranoiczkę, którą trzeba objąć nadzorem. Już pierwszego wieczoru zamieniła się z Kingą na pokoje, zajmując ten sąsiedni. Obie radośnie przystały na nowe rozmieszczenie. Jedna potrzebowała miejsca do pracy, a druga chciała mieć niedoszłą samobójczynię na oku.

Początkowo Weronika wzięła Leona za syna Łucji. Nic w tym dziwnego: stary kawaler spędzający całe życie uczepiony matczynej spódnicy. Ale nie, ona też wynajmowała u niego pokój. Starsza kobieta znikąd budziła oczywiste podejrzenia. Pewnie ktoś jej szukał i zastanawiał się, co się z nią dzieje. A może była niepoczytalna i straciła pamięć? Albo nie chciała czegoś pamiętać? Kiedyś musiała mieć rodzinę, bo odruchowo przyjęła rolę opiekunki domowego ogniska. Najdotkliwiej odczuwała to Weronika.

Łucja codziennie budziła ją na śniadanie, choć i tak nosowe chrapanie zza ściany nie pozwalało zmrużyć oka. Kaczym głosem wołała ją na obiad i siłą wciskała w nią kolację. Wszystko tłuste, zawiesiste, aż łyżka stała na baczność. Na nic zdawały się kłamstwa Weroniki, że jest wegetarianką, a rosół z wyciągniętym z niego kurczakiem wciąż jest potrawą mięsną, podobnie jak kopytka podsmażane na smalcu i skwarki dyskretnie rzucone pomiędzy ziemniaki.

Starsza pani nic sobie z tego wszystkiego nie robiła. Lekceważyła protesty i zbywała zapewnienia, że po pierwsze Weronika nie jest głodna, po drugie ma tendencje do tycia, po trzecie nie jest w stanie partycipować w kosztach zakupów.

- Co ty opowiadasz, dziecko. Musisz wrócić do zdrowia. To żaden kłopot. Dla mnie to sama przyjemność.

Z tym ostatnim nie dało się nie zgodzić. Łucja należała do kobiet, których dzień kręcił się wokół przygotowywania posiłków. Ledwie zakończyły smażenie jajecznicy, już nastawiały wywar na zupę, biły kotlety i jednocześnie obmyślały wieczorne menu. Kuchenna krzątająca nadawała im życie bezpieczne ramy. Chochlą odmierzały sens życia, a szorując naczynia, eliminowały ze świata wszelkie zło. Serwowały jedzenie jako remedium na wszystko, przede wszystkim na własną samotność.

Weronika nie miała dokąd uciec. Wciąż nie znalazła pracy. Potencjalni pracodawcy nie różnili się od jej niedoszłych narzeczonych: po jednorazowej schadzce chcieli jak najszybciej o niej zapomnieć. Niczym zawiedziona kochanka, podejmowała beznadziejne próby ich usprawiedliwiania: zawieruszyli namiary, pomylili nazwiska, czekają na zatwierdzenie z opieszalej centrali. Wiedziała, że to na nic. Gdyby zrobiła dobre wrażenie, mieliby ochotę na więcej, a milczenie oznaczało brak zainteresowania. Tej złotej zasady większość kobiet nie potrafi przyjąć do wiadomości. Spędzała więc dni, odpowiadając na natrętne pytania Łucji. Przesiadywały w domu same. Leon i Kinga wybiegali do swoich zajęć i wracali

dopiero wieczorem. Po szybkiej kolacji sprytnie uciekali przed starszą panią: on ukryty za rozpostartą gazetą padał na kanapę, ona zniknęła za drzwiami swojego pokoju, wymawiając się dużą ilością pracy. Nie dostrzegając w tym komentarzu, rzuconym w towarzystwie Weroniki, niczego niestosownego.

- Naprawdę nie wymagam stałego nadzoru. To, co zrobiłam, było nierozsądne. Nastraszyłam was, ale to jednorazowe załamanie. Nie powtórzy się, możesz być spokojna.

Na próżno usiłowała przemówić Łucji do rozumu. Ta nieustannie wpraszała się do jej pokoju, siadając w nogach łóżka jak starsza siostra. Przypominały dwie podstarzałe dziewczynki, wyrzucone ze świata dorosłych.

- Depresji nie wolno lekceważyć.

- Depresja? Jestem tylko bankrutką. To sensowniejszy powód samobójstwa - zaśmiała się gorzko.

Szybko zrozumiała swój błąd. Łucja najwyraźniej miała bardziej prostolinijne poczucie humoru.

- Twoje położenie to nie powód do żartów - zawyrokowała. - Ale i nie powód do rozpacz.

- Pewnie, nie ma się czym przejmować.

- Zdarzają się gorsze rzeczy.

- Na przykład jakie? Śmiertelna choroba? Śmierci się nie boję, bo potem jest już wszystko jedno. To, czego obawiałam się najbardziej, już mnie spotkało.

- Może właśnie dlatego tak się stało. Przyciągnęłaś stratę pracy i pieniędzy, bo podświadomie o tym myślałaś.

- I dlatego zaciągnęłam kredyt we franku szwajcarskim, dzięki czemu moje zadłużenie wciąż rośnie, zamiast maleć? To nielogiczne. Ale nieważne, nie to jest najgorsze.

- Tylko co, kochanie?

Łucja instynktownie wzięła ją za rękę. Było to dziwne, krępujące uczucie. Weronika nie chciała być nieuprzejma, dlatego krótko ścisnęła starą, pergaminową dłoń, a potem wstała.

- Wiesz, co kazało mi wtedy otworzyć okno? Widok kartonowych pudeł w wynajętym pokoju. Zmieściło się w nich całe moje życie, po latach pracy i wyrzeczeń. Świadomie zdecydowałam się na różne ograniczenia: studia połączone z pełnoetatową pracą, zmuśna ścieżka awansu zamiast okazjonalnych zleceń, finansujących podróże po świecie, wysiłek związany z kupieniem własnego mieszkania zamiast wynajmowania. Inwestycje w rozwój osobisty. Oszczędności, wyrzeczenia, stresujące decyzje. Niektórzy unikają takich wyborów, bojąc się nieodwracalnej utraty pewnych możliwości. Ja świadomie zamykałam za sobą wiele drzwi. Czuję się oszukana. Dlaczego spotkało mnie to właśnie teraz?

- Muszę cię zmartwić - powiedziała Łucja. - To może się zdarzyć zawsze. Popatrz na mnie. Moje życie zmieściło się do torby na kółkach.

- Po co więc się starać? Mogłam iść przez życie po linii najmniejszego oporu. Mniej bym straciła. Mniej bym cierpiała.

- Ale mniej byś zyskała.

- Zyskała? Przecież nie mam nic. Mieszkanie oddałam obcym ludziom, poza tym

czyha na nie bank z komornikiem. Resztę wyprzedalam lub rozdalam.

- To, co najcenniejsze, wziełas ze sobą.

- Myślisz, że te pudełka kryją jakieś skarby? - Wskazała na wciąż nierozpakowany bagaż. - Muszę cię rozczarować.

- Pudełka są nieistotne. Twój kapitał to ty.

Weronika spojrzała na Łucję zaskoczona, a potem pokręciła głową.

- Gdzie przeczytałaś takie mądrości? W tych kolorowych szmatławcach, które trzymasz przy łóżku?

- To krzyżówki, ćwiczenie dla szarych komórek. A mądrość jest życiowa. Posłuchaj starej kobiety.

- Cały świat utwierdza mnie w przekonaniu, że jestem nic niewarta.

- Utwierdza, bo chcesz być utwierdzona. Zawsze przeczuwałaś, że jesteś do niczego. Prawda? - Wycelowała w nią oskarżycielski palec.

Weronika zacisnęła powieki i skinęła głową. Jedna po drugiej łzy zaczęły kapać na podłogę, aż w końcu ruszyły strumieniem, jakby gdzieś w środku niej pękła tama. Płakała i płakała. Skurcze w samym środku brzucha wstrząsały całym ciałem i głośno rwały oddech. Łucja wstała i wyciągnęła do niej rękę, i zaprowadziła do przedpokoju, gdzie wisiało staromodne lustro w czarnej ażurowej ramie. Kiedy przed nim stanęły, ich sylwetki spowijała mgła. Mogła być skutkiem starości szkła lub zażawionych oczu Weroniki.

- Czuję się jak nikt.

- Nikt? Na moje oko to kawał baby - orzekła Łucja, energicznie klepiąc ją w pośladki.

W zestawieniu z kruchą i wysuszoną jak jesienny liść staruszką, bliżej jej było do kłody.

- Osobliwa terapia. - Zmarszczyła brwi. - Jeśli to ma mi poprawić samoocenę...

- Figura klepsydry. Kształtna pupa, okazały biust. Solidne nogi twardo stojące na ziemi. - Dotykała kolejnych partii ciała Weroniki, które ona najchętniej by ukryła.

- Kiedy się stresuję, jem - tłumaczyła się. - Może podświadomie gromadzę rezerwę na czarną godzinę. No to mam teraz z czego czerpać.

- Faceci nie lubią kościstych, a jedzenie jest lepsze niż seks. Dalej: dwie silne ręce, zdolne do pracy i trzymania sterów życia. Głowa pełna wiedzy i pomysłów. Mocny kręgosłup, stworzony, by nosić cię prosto i pewnie. Widzisz to?

- Chyba tak. - Nie wyglądała na przekonaną. Zasmarkana, zgarbiona postać po drugiej stronie lustra przedstawiała obraz nędzy i rozpacz.

- Tego wszystkiego nikt ci nie odbierze. To więcej warte niż całe bogactwo świata. To twoje ciało i dusza wprawiają twój świat w ruch. Rozumiesz?

Weronika bez entuzjazmu pokiwała głową.

- No. To mamy załatwione. Teraz pora na Leona.

Łucja odwróciła się na pięcie i oddaliła w kierunku kuchni.

- Jak dzieci - mruknęła do siebie, a potem zaczęła ledwo słyszalnie pogwizdywać. Ona jedna zdawała się być w doskonałym humorze.

Leon

- Musisz nam wszystko dokładnie opowiedzieć - powiedziała z naciskiem Łucja, obsypując cukrem pudrem świeżą porcję faworków. - Nie pomijaj żadnych szczegółów. Dla was, mężczyzn, one nie mają znaczenia, ale dla kobiet to drobiazgi odgrywają decydującą rolę.

Znowu siedzieli przy stole w największym pokoju, tym razem przybranym obrusem w kolorze wypełniającego kieliszki czerwonego wina. Cotygodniowe spotkanie organizacyjne niespodziewanie przerodziło się w wiwisekcję romantycznej przeszłości Leona. Sam był sobie winien, niepotrzebnie się wtedy zdradził.

- To już zamknięty rozdział - uciał.

- Przecież chciałeś naszej pomocy - odparła Łucja tonem zawiedzionego dziecka.

- Zmieniłem zdanie. Nie ma do czego wracać.

- I to niby kobiety nie wiedzą, czego chcą - mruknęła Weronika.

- I tak jest za późno. Nic się już nie da zrobić.

- Z takim nastawieniem na pewno - stwierdziła Kinga.

- Zawracanie głowy. Jak nie chce, to nie.

- Sprawy zaszły za daleko. Zbyt dużo czasu, zbyt wiele rozczarowań, zbyt wiele słów.

- Leon popełnia podstawowy błąd - zawyrokowała Łucja. - Zaniedbanie przez zaniechanie. Przytłoczony konfliktem mężczyzna reaguje ucieczką. Kiedy emocje opadną, dochodzi do wniosku, że jest już za późno. Ale nigdy nie jest. Kobieta zawsze czeka.

- Nie przesadzajmy - zaprotestowała Weronika. - Czasy się zmieniły. Kobiety nie muszą już oglądać się na ruch mężczyzny.

- Otóż to - przyklasnął Leon. - Gdyby chciała, sama by wróciła.

- Zaczekaj - nie zgodziła się Kinga. - Pytanie, kto komu jest winien przeprosiny.

- Nie pamiętam. - Leon wepchnął do ust garść faworków.

- Nic tu po nas. - Weronika wstała zza stołu. - Szkoda naszego czasu.

Westchnął i poprosił, by usiadła, a sam sięgnął do barku po coś mocniejszego.

- To skomplikowane. Dawno się w tym pogubiłem. Chyba żadne z nas nie było niewinne, ale też ciężko kogoś winić.

- Mów dalej - zachęciła Łucja. - Od czego się zaczęło?

- To akurat łatwo stwierdzić. Zbankrutowaliśmy.

- Ty też? - Weronika wciąż stała w progu pokoju, jakby czekała na punkt programu, który przekona ją, by zostać.

- Tak. Mieliśmy własny biznes. Sklep spożywczy w miejscu dzisiejszego lombardu. Szło nam bardzo dobrze, aż...

- Inwazja supermarketów? - podpowiedziała dziewczyna.

Leon kiwnął głową.

- I to was poróżniło? - zapytała Łucja. - Ludzie radzą sobie z takimi sytuacjami.

- My sobie nie poradziliśmy. Za dużo... za dużo wszystkiego było w tym naszym braku. Złamana kariera, stracony majątek, urażona duma. Zawiedzione

oczekiwania, wobec siebie nawzajem i wobec siebie samych. Przeszłość za bardzo bolała, przyszłości nie mieliśmy.

- Czas leczy rany. - Kinga poparła Łucję.

- W naszym przypadku było odwrotnie. Każdy kolejny dzień stawał się trudniejszy. Coraz mniej nadziei, coraz więcej frustracji, coraz większa presja. Czas nie leczył ran, tylko je jątrzył. Zaczęliśmy się kłócić, obwiniać, spierać o to, co dalej. W oczach mojej żony nie znajdowałem dawnego szacunku, dawnej miłości. Nawet gniewu. Tylko rozczarowanie.

- To niemożliwe, żeby wszystko rozbiło się o pieniądze. Może gdybyście spróbowali spokojnie porozmawiać...

- Jeśli musisz utrzymać tylko siebie, brak pieniędzy da się przełknąć. Ale kiedy odpowiadasz za drugiego człowieka, albo za trzeciego, sprawa zdecydowanie się komplikuje.

- Trzeciego? - zapytała Kinga.

- Halina bardzo chciała zająć w ciążę. Dobiegała czterdziestki. Wcześniej w ogóle o tym nie myśleliśmy, skupiliśmy się na rozkręceniu biznesu. Ona zawsze robiła wszystko we właściwej kolejności, według planu: najpierw firma, potem dom, a później dzieci.

- Tak to jest, kiedy się zwleka - mruknęła Łucja, ale szybko umilkła.

- Źle ją oceniasz. Na początku nie mieliśmy nic. Chcieliśmy się dorobić, a wiadomo, na swoim pracuje się dwadzieścia cztery godziny na dobę. A potem wszystko się posypało.

- Może to właśnie był odpowiedni moment? - spytała Kinga. - Mniej pracy, więcej czasu, więc mogliście oboje zająć się dzieckiem.

- To tak nie działa - nie zgodziła się Weronika, podstawiając Leonowi kieliszek. - Kiedy zjada cię lęk o przyszłość, wolny czas jest przekleństwem.

Pokiwał głową i odkręcił butelkę.

- Poza tym z czego byśmy je utrzymali? Nie mieliśmy nic poza długami.

- Za moich czasów nikt w ten sposób nie myślał - westchnęła Łucja. - Nikt nie planował, nie liczył. Dzieci rodziły się z miłości, nie z kalkulacji. I zawsze jakoś to było.

- Właśnie. Jakoś - powiedziała cierpko Weronika.

- A co wy możecie o tym wiedzieć?

- Ja jestem tym dzieckiem, które urodziło się z wizją „jakoś to będzie”. I było chujowo.

- Nie kłóćcie się znowu - przerwał Leon. - To wszystko i tak już nie ma znaczenia.

- Nie odpuszczaj tak łatwo - przekonywała Kinga. - Wyszedłeś na prostą, mogłoby wam się udać.

- Nie. Chodzi o zasady.

- Jakie znowu zasady? - zniecierpliwiła się Łucja. - Zasada jest taka, że małżeństwo powinno być nierozzerwalne.

- To ona złamała przysięgę. Ona mnie zdradziła.

Zapadła cisza. Weronika wnikliwie obserwowała swoje stopy, a Kinga rozczesywała splątane frędzle firanki.

- W sensie biblijnym? - zapytała cicho Łucja.
- Jak zwał, tak zwał. Nie zachowała uczciwości małżeńskiej.
- Mam tego dosyć. - Weronika podniosła głos. - Gdzie ona jest?

Leon przełknął łyk wódki.

- Mieszka z matką. Tak mówią.

- Ryzykowny teren. Przydałoby się spotkanie na neutralnym gruncie - orzekła Kinga.

- Pracuje gdzieś? - podpowiedziała Weronika.

- Tak. Ale ja tam nigdy nie pójde.

Domyśliły się. Rozpoznał to w ich milczeniu.

- Możemy iść z tobą - zaproponowała Kinga.

Rozszyfrowały go, choć nic nie powiedział. Czarownice. Wszystko działo się tak szybko, aż zakręciło mu się w głowie. Musiał je powstrzymać.

- Zastanowię się. Łucjo, a może teraz ty opowiesz nam o sobie?

Kinga

Jak w domu. Codzienne powroty w to samo miejsce, wieczorne spotkania z tymi samymi ludźmi. Wspólne sprawy, rozmowy, domowe posiłki. Ale Kinga miała już przecież inny dom. Kilkadziesiąt kilometrów dalej znajdował się jej drugi pokój, a właściwie - pierwszy, ten prawdziwy. Bo sypialnia, którą zajmowała u Leona, tylko udawała tę właściwą, jak kochanka lub druga, nielegalnie założona rodzina. Oszukiwała obydwie domy, w żadnym z nich nie będąc na serio. Potrzebowała jednego i drugiego. Nie potrafiła między nimi wybierać, jeszcze nie teraz.

Nie dało się pogodzić ze sobą pracy w Łodzi, kwalifikacji do programu i opieki nad ojcem. Gdyby powiedziała tacie o nagraniu w Warszawie, zabroniłby jej przyjeżdżać i kazał skupić się na przygotowaniach. Zwolnienie się z pracy, by zyskać więcej czasu, oznaczałoby, że nie miałyby z czego żyć, a powrotu na utrzymanie ojca nie brała pod uwagę. A jeśli zrezygnowałyby z udziału w programie, nigdy by sobie nie wybaczyła, że zaprzepaściła taką szansę. Dlatego nic nikomu nie powiedziała. Żonglowała swoim zaangażowaniem i jak każdy szanujący się kłamca, sama musiała uporać się z ciężarem milczenia i zapłacić za nie konieczną cenę. Tą ceną było chroniczne zmęczenie i ciągłe wyrzuty sumienia. Przywiozła z domu maszynę i materiały i po godzinach pracowała nad kolekcją. Od środy do soboty po powrocie z galerii szła do późna w nocy. Po dwudziestej drugiej ze względu na współlokatorów starała się nie używać maszyny, zajmowała się więc krojem i ręcznie dopracowywanymi detalami. Kładła się nad ranem i nerwowo nasłuchując porannego dźwięku budzika, nie mogła zasnąć. W niedzielę po pracy, niewyspana i przemęczona, jechała do ojca, by spędzić z nim poniedziałek i wtorek.

- Zwolnij, bo się wykończysz - radziła Edith. - Za dużo na siebie wzięłaś.

- Sama mnie namówiłaś - Kinga uśmiechnęła się blado.

- Chwileczkę, umowa była inna. Miałaś wziąć udział w *Młodych zdolnych*, a nie w *Wybiegu*. Miałaś grać o trzysta tysięcy, a nie charytatywnie szyc kostiumy dla

amatorskich modelek. - Edith wynurzyła się z przymierzalni second-handu w sukience w geometryczny wzór.

- Sami wyszli z propozycją *Wybiegu*, gdzie będę jedyną projektantką. Jestem elastyczna - odpowiedziała, a potem skinęła na tunikę. - W przeciwieństwie do tej sztuczniczny. Spróbuj tę.

Edith z powątpiewaniem spojrzała na dzianinową sukienkę w kolorze ciemnej zieleni, ale posłusznie schowała się z nią za zasłoną przymierzalni. Kinga przeczesywała sąsiednią sekcję z odzieżą skórzaną.

- Nie daj się wykorzystać - rozległ się głos zza kotary. - Będą próbować na tobie zaoszczędzić, mówiąc, że jesteś nieznana.

- Bo jestem.

- Oho. To ile ci zapłacą?

Kinga westchnęła.

- Nazwijmy to barterem.

- Jaki, do cholery, barter? Normalnemu projektantowi musieliby zapłacić fortunę!

- Widać ja nie jestem normalna.

- Ale robotę masz zrobić? Szmacciarze!

- Trafiłaś - roześmiała się Kinga.

Edith gniewnym ruchem rozsunała zasłonki i znów zwróciła się w stronę lustra. Przyglądała się sobie krytycznie, uważnie badając strój. W nieprzychylnym świetle jarzeniówki wypatrywała zmechaceń, zaciągniętych nitek i przetarć. Nic nie znalazła, a jej dłonie z niemym uznaniem gładziły talię i biodra, gładko opinane przez tkaninę. Sukienka leżała idealnie.

- Bierze to pani? - zapytała kobieta w bezkształtnym swetrze, która przystanęła z naręczem równie bezkształtnych zdobyczy.

- Sprzedane! - Edith zasunęła jej zasłonkę przed nosem.

- Dobry wybór. Mój też jest dobry, zobaczysz. Nie dałabym rady w rywalizacji, kompletnie się do tego nie nadaję. W *Wybiegu* będę bezkonkurencyjna.

Urwała i zamilkła. Edith przeżywała właśnie kolejną telewizyjną porażkę. Miesiące przygotowań i godziny oczekiwania na swoją kolej w dniu castingu zakończyły się fiaskiem. Usłyszała, że śpiewa przyzwoicie, ale nie ma w niej niczego, czego by jeszcze nie widzieli. Przez tydzień nie przychodziła do pracy. Kinga tłumaczyła sobie, że to dlatego przyjaciółka jest tak sceptycznie nastawiona.

- Masz ubrać te wszystkie dziewczyny, tak? Ile ich jest? - Edith wyszła z przymierzalni i surowo jej się przyglądała.

- W pierwszym odcinku dwanaście.

- W pierwszym odcinku?

- Być może zdecydują się na cały sezon, jeśli zaproponuję im odpowiedni wybór projektów. Nie wiem, jak to pogodzę z pracą... Ale będę musiała. Taka szansa się nie powtórzy. W każdym odcinku programu trzeba pokazać coś nowego. Do pierwszego dam projekty z castingu, ale później muszę proponować coś nowego. Co tydzień.

- Ile zestawów miałabyś przygotować?

- Dokładnie nie liczyłam. Nie tak dużo, w końcu w każdym kolejnym odcinku jest mniej uczestniczek. Kilkadziesiąt.

- Kilkadziesiąt?! - wykrzyknęła Edith. - A robocizna? Materiały? Przecież cię nie stać. Zarabiasz grosze, a oni oczekują Bóg wie czego.

- Nie martw się. Mam swoje sposoby.

Kinga potrząsnęła sporym naręczem skórzanych kurtek i mieniących się cekinami i srebrną nicią wieczorowych sukienek.

- Wystroisz te nadęte lasencje w kreacje z lumpeksu? - parsknęła Edith. - Gdyby tylko wiedziały...

- To ekologiczna moda z recyklingu - mrugnęła. - Nikt się nie pozna.

Stały w kolejce do kasy. Drzwi szmateksu nie domykały się z powodu wchodzących do środka tłumów. W dzień dostaw dziewczyny korzystały z zalet pracy na popołudniową zmianę. Dzięki temu mogły przychodzić na polowanie jako jedne z pierwszych, startując z lepszej pozycji. Umawiały się rano i zaliczały całą ulicę ciucholandów, zaczynając od tych z największym potencjałem. Nowy towar schodził na pniu.

- Mimo to stacja powinna ci zapłacić. Stać ich.

- Gdybym to zaproponowała, przeliczyliby mi czas antenowy według cennika reklamy. Sama mówiłaś, że to świetna promocja.

- Chyba nie taka świetna, skoro nie znaleźli sponsora odzieżowego.

- Nie wnikać, dla mnie to lepiej. Wiesz, jaki oni mają zasięg?

- Jak znam życie, ciebie nawet nie pokażą. Będziesz pracować na nich, a nie na swoje nazwisko.

- Nieważne. - Kinga położyła na ladzie okazały stos ubrań. - Pokażą kolekcję. A kolekcja to ja.

W takich chwilach zupełnie nie myślała o roli córki, która też składała się na jej „ja”. Ale kiedy patrzyła na Łucję zajmującą się Weroniką, przypominała sobie, że sama powinna występować w tej konfiguracji. Powinna być opiekunką, ale obiekt jej troski znajdował się w innym miejscu.

- Błado wyglądasz - martwił się ojciec, ledwie odcinający się na tle szpitalnego prześcieradła.

- Przyganiał kocioł garnkowi. Wezmę urlop, potrzebujesz mnie teraz.

- Przecież na zleceniu ci nie zapłacą. Poza tym jesteś na zastępstwie, więc kto cię zastąpi? Zresztą, mam tu opiekę. Nic tu nie pomożesz.

- Mogłabym spędzać z tobą więcej czasu. Zresztą niedługo wyjdiesz do domu.

- Nie, nie chcę, żebyś mnie takim oglądała. - Dłoń ojca, kiedyś ciepła i silna, dziś przezroczyta i wiotka, pogładziła ją po policzku. - Masz teraz ważniejsze sprawy na głowie niż stary ojciec.

Kinga chciała zaprzeczyć, krzyknąć, żeby się nie wygłupiał, bo to rodzina jest najważniejsza, ale była jak sparaliżowana. Spojrzała ojcu w oczy i nie powiedziała ani słowa.

Łucja

Zimowe dni wypełnił jej wir nowych wyzwań. Gromadziła akcesoria do

odświeżenia Leonowej jaskini. Obrusy, serwety, narzuty i poszewki w towarzystwie roślin doniczkowych działały cuda. Wesole barwy tkanin i cudne kwiaty nawet w środku zimy wprowadziły zapowiedź rychłej wiosny. Po urządzeniu wspólnej przestrzeni przeszła na wyższy poziom wtajemniczenia. Ku radości Łucji wszyscy nowi współlokatorzy przystali na rolę jej podopiecznych. Nie przypuszczała, że sama również będzie musiała poddać się zasadom tej gry. Oni też chcieli się nią opiekować. Nie przyznała się jeszcze, że odeszła bez słowa i jej rodzina może odchodzić od zmysłów, ale prędzej czy później będzie musiała coś wymyślić. Inaczej nowi przyjaciele mogli zrobić to za nią.

Może to głupie, ale nawet jej się to podobało. W końcu po raz pierwszy to o nią, Łucję, ktoś się martwił. Odczuwał jej brak, doceniał, zamiast przyjmować za pewnik bez słowa wdzięczności. I tęsknił.

Nie miała pojęcia, co teraz robi Renata. W ogóle jej to nie obchodziło. No dobrze, obchodziło, ale nieoficjalnie. Chciała, by córka myślała, że Łucję zupełnie przestało interesować jej życie. Tak jak Renaty nie interesowało życie matki. Dlatego zniknęła, zatarłszy wszystkie ślady (opuszczone mieszkanie, zmienione zamki, wyłączony telefon). Pożyczka w banku gwarantowała, że nie przestaną o niej myśleć. Lub wreszcie zaczną.

Teraz jednak musiała skupić się na innych sprawach, a najważniejsza z nich to pogodzenie Leona i jego żony. Należało zmobilizować faceta do działania. Ryzykowała co prawda utratą mieszkania, ale było warto. Potem Weronika. Łucja długo przekonywała ją do wizyty w rodzinnym domu. Życie w konflikcie z rodzicami stanowiło ukrytą przyczynę wszystkich jej niepowodzeń. Musiała zrzucić z siebie ten ciężar. Czasami krok wstecz bywa jedyną drogą naprzód. A potem całą ich czwórkę czekała wycieczka. Kinga nie mogła przecież jechać do Warszawy sama. Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego.

Rozdział trzynasty

Weronika

Melodramat Leona przypomniał jej o jeszcze jednym braku, który jej doskwierał. Nie miała nikogo i odczuwała to dotkliwiej niż kiedykolwiek. Biorąc pod uwagę, że jej poprzednie związki zazwyczaj rozpadały się z powodu pieniędzy, jej bezrobocie byłoby ironią losu. Do tej pory zawsze znajdowała się na górze huśtawki i nigdy nie zazdrościła tym na dole.

Pieniądze. Cokolwiek by nie mówiono, ostatecznie wszystko rozbijało się właśnie o nie, bo partnerzy Weroniki zawsze radzili sobie gorzej od niej. Nieważne, czy spotykała się z nieogolonym informatykiem z zamiłowaniem do gier i pizzy na wynos, czy pachnącym luksusem dyrektorem grywającym w tenisa. Przy niej wszyscy zupełnie przestawali sobie radzić. Zaangażowani zalotnicy, czarujący oryginalnymi pomysłami na pierwszą randkę, po kilku miesiącach znajomości jak jeden mąż wchodzili w koleiny rutyny. Najpierw wyczerpywała się ich kreatywność, a potem już tylko obojętnie wzruszali ramionami na propozycje Weroniki. Znowu kino? Przecież jest tyle filmów w sieci. Kawiarnia? Po co, skoro jest ekspres? Wyjazd na weekend? Lepiej bezpłatnie wypaść się we własnym łóżku. Ani się obejrzała, kochankowie wskakiwali w rozczłapane kapcie i zakręcali kurek z tym, co mieli do zaoferowania. Niepostrzeżenie w miejsce aromatu korzennej wody kolońskiej na kołnierzyku świeżej koszuli pojawiał się stęchły zapaszek przybrudzonego T-shirtu, a sprężyste brzuchy zmieniały konsystencję na maślaną. Mniej więcej na tym etapie posady każdego z jej partnerów okazywały się mało rozwojowe lub oni nie widzieli potrzeby, by sięgać dalej. I te kretyńskie oczekiwania. Mięśniak czy prezes, każdy w mniej lub bardziej subtelny sposób zaczynał domagać się zupy i ciasta, a w koszu na pranie w tajemniczych okolicznościach załęgały się cuchnące skarpety. Durnie, nie rozumieli, że takie przywileje przysługiwały mężczyznom w czasach, kiedy jeszcze umieli utrzymać swoje kobiety. A ci nie potrafili nawet zarobić na siebie. Stawali się ociężały i bezradni, pozbawiając się szans na awans lub pozwalając się zwolnić – najpierw przełożonym, potem Weronice.

Jak to się działo? Różnica między nią a mężczyznami była taka, że jej się po prostu chciało. Apetyt na życie prowadził ją dalej i dalej, a ich zostawiał w tyle, aż w końcu dystansu nie dało się już nadrobić. W przeciwieństwie do nich ona nigdy nie miała dosyć nauki, rozwoju, nowych inspiracji. Z zapałem organizowała wspólne wyjazdy, testowała nowe restauracje, planowała finansową przyszłość, a im większą wykazywała inicjatywę, tym bardziej mężczyźni stawali się bierni. Prędzej czy później przestawali się starać, a Weronika starała się zawsze. Aż do tej pory. Opuściła się. Może dlatego aktualnie jedyni mężczyźni w jej życiu to podstarzały właściciel lombardu i młody wilczek z banku? Telefon od tego drugiego stał się codziennym rytuałem. Nigdy wcześniej nie mogła liczyć na żadnego faceta tak, jak na niego. I żaden inny tak na nią nie działał.

Gdyby nie był windykatorem jej długu, można by powiedzieć, że zachowywała się jak zakochana kobieta. Kiedy dzwonił telefon, jej ciało przebiegały dreszcze, a kiedy milczał, trawiło ją nerwowe oczekiwanie. Swoją komórkę traktowała kapryśnie i niezdecydowanie. To nosiła ją ze sobą wszędzie, nawet do toalety, co chwila sprawdzając wyświetlacz, to ukrywała w torebce lub pod poduszką, by nie wyczekać sygnału dzwonka. Próbowowała przekonać siebie, że żyje innymi sprawami. Nie żyła. Uzależniła się od niego.

Ze zdumieniem zauważyła, że zaczyna ją to pociągać. Po raz pierwszy w życiu ktoś nad nią dominował. Stał się jej panem. Groził, wydawał polecenia. I silnie działał na erotyczną wyobraźnię. Kilka miesięcy wcześniej nie potrafiłaby wytłumaczyć, co mogło być ponętne w plajcie, ale teraz stosunek windykator – dłużniczka ujrzała w nowym świetle.

Zafascynowana niespodziewaną grą i swoją nową rolą, popełniła błąd. Nie zauważyła, kiedy chłopak z banku z wierzyciela stał się jej powierzycielem. Rozmawiali codziennie. Ich kontakt stał się jedynym stałym punktem w jej życiu. Między odgrywaniem ról przydzielonych im w bankowej grotesce opowiadała mu o sobie i wyciągała informacje o nim. Zapamiętywała je, choć nie wiedziała jeszcze po co. Zaczynali się poznawać, a przynajmniej tak jej się wydawało. I wtedy Damian przestał dzwonić. Milczał od ponad tygodnia. No tak, przypomniała sobie, że normalni ludzie spędzali teraz przerwę świąteczno-noworoczną. Pewnie nie brakowało mu w tym czasie ciekawszych zajęć. Poza tym przecież spłaciła część zaległości. Zanim wymyśli coś na przyszłość, zyskała chwilę spokoju. Powinna wybić sobie z głowy głupoty i wziąć się za znalezienie pracy. Teraz nie miała już żadnej wymówki: musiała brać cokolwiek.

Damian

Oczywiście Andrzej się nie obraził. Tacy jak on dają się wyprowadzić z równowagi wyłącznie w poczuciu zagrożenia. Roześmiał się tylko, rozdziawiając szczęki jak pyton przed ofiarą, a potem jak gdyby nigdy nic kazał mu przekazać obowiązki.

Ku zdziwieniu Damiana zmiana stanowiska nie napełniła go entuzjazmem, raczej nostalgią. Miał teraz zarządzać kilkunastoosobowym działem, ale wiedział, że będzie mu brakowało tego, czym dysponował w kontaktach z klientami: władzy absolutnej. Był chyba jedynym pracownikiem, który lubił pracę na słuchawce. Czuł przyjemność, kiedy po drugiej stronie słyszał drżące od emocji głosy. To on decydował, czy czyjś dzień będzie dobry, czy zły. Mógł straszyć naliczaniem karnych odsetek i opłat za wezwania do uregulowania należności albo wydłużyć termin zapadalności kolejnej raty. Mógł pogrążyć albo okazać łaskę, przedłużyć agonię lub wymierzyć śmiertelny cios. Zawsze wybierał to pierwsze, zabawa trwała wtedy dłużej. Niechętnie oddawał swoje zabawki. Zwłaszcza brunetkę.

- W hipotece jest jedenastu problematycznych dłużników, z tego czterech najbardziej opornych. Mam ich na widelcu, więc chętnie poprowadzę te sprawy do

końca – spróbował przekonać Andrzeja.

- Doceniam, ale nie trzeba. Przed tobą teraz inne zadania.

- Czwooro to niewiele, a psychologicznie lepiej, by proces kontynuowała ta sama osoba. Nowego będą zwodzić, każą się ponownie o wszystkim informować, będą grać na czas. Dla mnie to żaden problem.

- Szkoda zachodu. Całej jedenastce wypowiadamy umowy.

Damian spojrzał na szefa zdumiony.

- Wypowiadamy? Przecież to ostateczność. Na pewno da się coś jeszcze z nich wycisnąć.

- Nie ma na co czekać. Gdy sejm wprowadzi ustawę o pomocy frankowiczom, i tak będziemy pod wodą. Lepiej pozbyć się problemu od ręki. Zresztą, góra już postanowiła.

Jak niby miał to wytłumaczyć brunetce? Przez cały dzień nie mógł znaleźć sobie miejsca. Krążył po nowym gabinecie i nie potrafił się na niczym skupić. Nawet nie zaczął wdrażać się w nowe obowiązki. Kilka razy wybierał jej numer, który znał na pamięć, ale przerywał połączenie. Był na siebie wściekły. Ostatnio działo się z nim coś niedobrego. Mazał się jak baba. Jeśli nie weźmie się w garść, mógł wszystko zepsuć. Ckliwe rozedrganie odbierało mu jasność myślenia. Może dlatego kiedy wieczorem na wyświetlaczu komórki zobaczył numer klienta, odebrał. Westchnął i postanowił porozmawiać z nim ten ostatni raz. Ten błąd drogo go kosztował.

- Tu Maciej Młynarczyk. Na pewno mnie pan pamięta.

Oczywiście, że pamiętał. Młynarczyk, bezrobotny alimenciarz, od roku nie spłacał hipoteki. Brał kredyt, gdy frank kosztował niecałe dwa złote.

- Właściwie nie prowadzę już pana sprawy, ale proszę mówić. W czym mogę pomóc?

- Może pan. To znaczy bank. Jeszcze raz proszę o to samo. Chcę przewalutować kredyt po kursie z dnia zaciągnięcia. Mam do tego prawo.

- Nie ma pan. Za to od początku znał pan ryzyko.

- Rozstałem się z żoną. Żadne z nas nie może spłacić drugiego. Nie możemy sprzedać mieszkania, bo jest warte mniej niż zadłużenie.

- A co na to ludzie z kredytem w złotówkach? Przewalutowanie nie byłoby wobec nich w porządku. Nawet przy wzroście kursu i tak jest pan do przodu.

- Straciłem pracę. Muszę płacić alimenty. Przeszacowałem swoje możliwości i zapadam się w bagno.

Słowa Młynarczyka stały się mniej wyraźne, a w tle coś zaczęło szumieć.

- Wszedł pan na zewnątrz? Proszę mówić wyraźniej, nic nie rozumiem.

- Wiesz, jak to jest, gdy tracisz grunt pod stopami...

- Nie przypominam sobie, żebyśmy przeszli na ty.

- Idziesz pod górę coraz węższą ścieżką, aż nagle okazuje się, że balansujesz na cienkiej linii nad przepaścią.

W głosie Młynarczyka brzmiała znajoma rozpacz. Ale słyszał w nim coś jeszcze. Jakiś dodatkowy, nieokreślony odcień, który budził niepokój.

- Proponuję porozmawiać w przyszłym tygodniu. Zapraszam pana do placówki na spotkanie z pracownikiem banku.

- Przecież nie ma już czasu, tak mówiłeś.

Młynarczyk bredził jak pijany. Dyszał, jakby coś sprawiało mu duży wysiłek. Szum w tle nie ustawał. Damian rozpoznał stłumione dźwięki ulicy, jakby słyszane gdzieś z boku. Lub z góry.

- Dowie się pan, jakie są możliwości - skłamał.

- Powiedz mi, co jeszcze mam zrobić - bełkotał Młynarczyk. - Pomóż mi.

Damianowi nie podobała się ta rozmowa.

- Przykro mi - odpowiedział. - Nic więcej nie mogę w tej chwili zrobić. Muszę się teraz rozłączyć.

Dlaczego nie odłożył słuchawki?

- Jesteś pewien?

- Nie mogę wziąć odpowiedzialności za pana sytuację.

- Nie? No to łaap...

Szum z tła nagle stał się wyraźniejszy, a potem rozległ się głuchy dźwięk, jakby uderzenie. A zaraz po nim delikatniejszy, szklany, jakby coś pękało na wiele drobnych kawałeczków. Zanim Damian zdążył otworzyć usta, w słuchawce zabrzmiał szarpany sygnał przerwanego połączenia.

Leon

Wyśpiewał wszystko. Po kilku kieliszkach wyznał całą prawdę o Halinie. Wypowiedziana na głos, przed murem solidarnej kobiecej publiczności, nie brzmiała już tak oburzająco, jak ją zapamiętał.

W markecie, który wykończył ich delikatesy, potrzebowali zastępcy kierownika sklepu. Halina miała doświadczenie, znała rynek i preferencje lokalnych klientów, umiała też zarządzać zespołem pracowników i dostawców. Pensja była nieduża, ale stała, niezależna od łaski i niełaski kupujących. Halina uznała tę ofertę za mannę z nieba, Leon zaś za zdradę. W praktyce zastępca kierownika niewiele różnił się od szeregowego pracownika. Halina musiała sprzątać, pomagać w rozładowywaniu towaru, a w razie konieczności sama siadać na kasę. Sąsiedzi widzieli, jak dawna pani właścicielka lata ze szmatą i waży ziemniaki. Leon nie mógł znieść takiego upokorzenia. Jego zdaniem Halina się sprzedała, i to tanio. Przeszła do obozu wroga i jadła z jego ręki. Leon potrafił wiele zrozumieć, ale zasady to zasady. Przez pamięć o tym, kto pozbawił ich chleba, powinna się trzymać od marketu z daleka. Kiedy z plotek sąsiadki dowiedział się, że niby Halina pracuje w pampersie, bo kasjerek nie puszczają nawet do toalety, wpadł w szał i zrobił żonie karczemną awanturę. Zadbał o to, by niosło się po całym bloku i ludzie wiedzieli, co on o tym wszystkim sądzi. Zabronił jej tam pracować. Zażądał od niej odejścia ze skutkiem natychmiastowym. Odeszła. Od niego.

Wtedy poprzysiągł sobie, że jego noga nigdy więcej w markecie nie postanie. A teraz stała, w towarzystwie trzech par damskich stóp.

Wielokrotnie wyobrażał sobie ten moment. W myślach odgrywał różne scenariusze konfrontacji, od dumno-mściwego po romantyczno-ckliwy. Snuł wizje oczyszczającego wygarnięcia całej prawdy i łaskawego zaproszenia do pojednania.

Wisienką na torcie miało być nonszalanckie zaprezentowanie Halinie jego osiągnięć. Bo przecież Leon świetnie sobie poradził. Założył dobrze prosperującą firmę, jak na swoje lata trzymał się wcale nieźle, a w ostatnim czasie nie mógł narzekać na brak kobiet w swoim życiu. Czas, rysujący na twarzy Haliny kolejne zmarszczki i pozbawiający ją szans na znalezienie nowego partnera, dla Leona był sprzymierzeńcem. Dlaczego więc myśl o spotkaniu z samotną sklepową w średnim wieku odbierała mu całą pewność siebie?

To ona go zostawiła. Niby czemu Leon powinien pierwszy wyciągnąć rękę do zgody? I dlaczego akurat teraz? Co miał jej dzisiaj powiedzieć, po kilku przemilczanych latach? Uderzyła go oczywistość tych podstawowych pytań. Czemu lepiej tego nie przemyślał? Wszystko należało rozegrać inaczej. Przede wszystkim przyjść o innej porze. Po osiemnastej trwały godziny zakupowego szczytu i supermarket pękał w szwach, ale tylko popołudniowa pora pasowała wszystkim. Ustalili, że pójdą razem i tego też żałował. Powinien to załatwić sam, w spokoju. No, ale teraz było za późno. Szklane rozsuwane drzwi zamknęły się za ich plecami. Stali w przejściu, rozglądając się dookoła. Po prawej stronie znajdowała się bramka, którą należało pokonać, by wejść do strefy zakupowej. Metalowa przegródka zawieszona na wysokości pasa kołysała się jak drzwi saloonu, wprawiana w ruch przez wchodzących klientów. Tuż za nią rozpoczynał się towarowy tor przeszkód, obmyślony tak, by zaliczyć wszystkie. Wystające kosze, pełne kolorowych warzyw i owoców, dalej półki z pachnącym, parującym pieczywem, wreszcie lodówki pękające od wędlin i serów o nazwach niewróżących nic smacznego. Po lewej stronie od wejścia stały kasy, a przed nimi wężyk klientów nogami przesuwających wypchane po brzegi plastikowe koszyki, zbyt ciężkie, by schylać się i przenosić je o kilkanaście centymetrów. Kolejka nieprzyjemnie wyhamowywała zakupowy wyścig, pozbawiając ludzi dobrych manier. Posłuszni pracownicy i cierpliwi rodzice w sklepie przeradzali się w arogantów i ordynusów, skaczących sobie do gardeł w walce o swoją kolej, prawa konsumenta i ostatni produkt na półce. Choć każdy z satelitów krążących wśród regałów napełniał swój koszyk w samotności, a obsługa odzywała się niechętnie i zdawkowo, w sklepie panował nieustanny harmider. Świst otwieranych i zamykanych drzwi. Pogłos kroków. Szum klimatyzacji. Bzyczenie lodówek. Szelest torebek odrywanych ze szpuli i rozpościeranych u wrót pojemników wypełnionych dobrami. Stukot paleciaków rozwożących kolejne partie towaru. I pikanie kasowych skanerów. Pik, pik, pik. Dla każdego ten dźwięk był czym innym: oznaką rosnącej liczby produktów w koszyku, zwiastunem uszczuplenia konta, miernikiem czasu marnowanego na beczynnym oczekiwaniu, zapowiedzią zbliżającego się końca zmiany lub zwiększeniem szans na wyrobienie miesięcznego obrotu. Na jednych wywierał presję, innym dodawał otuchy. Leonowi nie pozwalał zebrać myśli.

Pole widzenia klientów sklepu ograniczało się do koszyka na zakupy. Kupujący patrzyli na swoje łupy jak na plamę światła rzucaną w ciemności przez latarkę. Czasami nie zauważali osoby obok albo wystającej ekspozycji produktów i dochodziło do frustrujących wypadków. Każdy myślał tylko o tym, by wyjść z tym, po co przyszedł. Leon też zjawił się tu w określonym celu. Ale w przeciwieństwie do większości obecnych, istniała duża szansa, że wyjdzie z pustymi rękami.

- Nawet nie wiem, czy ona wciąż tu pracuje - spróbował się wycofać.

- Przekonamy się. - Łucja niezrażona parła do przodu.

- Poza tym mogliśmy nie trafić na jej zmianę.

- To akurat łatwo sprawdzić. - Weronika niebezpiecznie wychyliła się w stronę

kas. - Pytać o Halinę Laskowską?

- Nie! - zaprotestował.

Tak. Laskowska, czyli jego. Złączona z Leonem urzędowo i sakramentalnie. O ile nie zmieniła nazwiska. Czy można wrócić do panińskiego, jeśli się wcześniej nie wzięło rozwodu? Po współczesnych kobietach można się spodziewać wszystkiego.

- Leon powinien załatwić to osobiście - powiedziała Kinga. - Jesteśmy tu w roli grupy wsparcia, ale się nie wtrącamy.

- Właśnie - mruknął Leon.

Młoda od razu wydała mu się najrozsądniejsza z całego tego towarzystwa.

- No to do dzieła - ponagliła Weronika. - Nie stójmy tak, bo wyglądamy podejrzanie.

Blokowali przejście, co chwila poszturchiwani i przestawiani przez nerwowe „przepraszam”. Ochroniarz w kantorku wciśniętym między kasy uważnie wpatrywał się w ekran monitoringu, aż w końcu podniósł się i spojrzał w ich stronę. Wtedy Leon ją zobaczył. Siedziała przy kasie w głębi sklepu. Wcześniej musieli ją zasłaniać ludzie podchodzący do kas znajdujących się bliżej wejścia. Wspólny wężyk formujący się przy ostatnich regałach rozwidlał się na mniejsze odnogi, prowadzące do poszczególnych kasjerek. Cztery identyczne boksy, cztery pomarańczowe uniformy, cztery sylwetki kobiet tkwiące w kasach jak w ramach obrazu, wciśnięte między taśmy na towary a gabloty z papierosami. Trzy kobiety zdawały się co najmniej o połowę młodsze od Haliny. Dla większości bezrefleksyjnych klientów była to jedyna różnica. Dla Leona jednak żona różniła się fundamentalnie.

- Jest - powiedział cicho.

- Wchodzimy - zarządziła Weronika. - Ochrona zaraz tu przyjdzie.

Uzbroili się w pomarańczowe koszyki i kolejno przeszli przez bramkę.

- Udawajmy, że robimy zakupy - syknęła Łucja, sięgając do rolki z foliówkami. Drżącymi dłońmi bezskutecznie próbowała rozwinąć przezroczystą jednorazówkę.

- Nie musimy udawać. I tak trzeba uzupełnić lodówkę - stwierdziła Weronika.

- Musimy się rozproszyć, bo dziwnie wyglądamy - powiedziała Kinga. - Niech każdy pójdzie w inną alejkę.

- Biorę warzywa. - Łucja zatrzymała się na początku sklepu.

- Ja obstawię chemię. - Weronika skrzyła w bok.

- Będę przy pieczywie. - Kinga ruszyła przed siebie.

I już ich nie było. Leon został sam. Chciał tego przez cały czas, ale z chwilą, gdy dziewczyny porzuciły go pośród regałów, stracił resztki animuszu, a całe przedsięwzięcie wydało mu się jeszcze bardziej absurdalne. Zajął bezpieczną pozycję za paletą puszek kukurydzy i ponownie spojrzał w stronę kasy. Nie widziała go. Leon musiał przyznać, że wyglądała ładnie. Starzała się, ale w całkiem przyjemny sposób. Zmarszczki dodawały jej twarzy łagodności, pogodnie mrużąc powieki, zamiast ponuro ciągnąć w dół kąci ust. Zrezygnowała z dawnych rudości i włosy farbowała teraz na kasztanowo. Zapewne sięgały ramion, bo spięła je

klamrą w kucyk, by nie przeszkadzały w pracy. Leon usiłował sobie przypomnieć jej fryzurę, kiedy się ostatnio widzieli, ale nie pamiętał. Nigdy nie zwracał uwagi na takie detale. Za to teraz wypatrzył na jej ustach pomadkę. A niech to, coś musiało być w tych kosmetykach, ciuchach i fryzurach, bo dojrzałe kobiety wyglądały nawet lepiej niż za młodu.

Nie odrywał oczu od Haliny, ale sam poczuł, że ktoś mu się przygląda. Spomiędzy słoików korniszonów błysnęło znajome spojrzenie. Potem drugie znad koszy z bułkami. I trzecie z za regału z proszkami do prania. Pierwsze ciekawskie, drugie zachęcające, trzecie naglące. Wściekł się. Nie mają za grosz wyczucia. Nie tylko nie zostawiły my krzty prywatności, ale jeszcze kręciły się w kółko po sklepie jak jakieś złodziejki. Ledwie zdążył to pomyśleć, przy Weronice wyrósł ochroniarz.

- W czymś pomóc? - zapytał.

Leon nadstawił uszu. Jeszcze tego brakowało, by narobiły zbiegowiska.

- Przepraszam, szukam... czy nie wie pan... - plątała się. - Gdzie znajdę jajka?

- Tutaj, skarbie - dziadziśko w uniformie ściszyło głos i z lubieżnym uśmiechem poklepało się po pasku wypiętrzającym opasłe brzuszysko.

Leon zapowietrzył się i prawie zawrócił z orbity wokół Haliny.

- Pytałam o świeże - poradziła sobie Weronika.

Miał ostatnią szansę, żeby zdążyć przed burzą. Ruszył z miejsca i zaczął wrzucać do koszyka przypadkowe przedmioty, pozorujące przemyślane zakupy. Kiedy później w mieszkaniu wypakowywał ocet, damskie rajstopy, kredki świecowe i worek ziemi ogrodniczej, pomyślał, że mógł wykazać większą przytomność i kupić coś, co nadawałoby się do użytku. Ale wtedy nie potrafił racjonalnie myśleć. Halina zawsze powtarzała, że umiał skupić się tylko na jednej rzeczy na raz.

Ustawił się we wspólnej kolejce. Czuł na karku trzy palące spojrzenia, ale patrzył tylko przed siebie. Halina była coraz bliżej. W miarę jak przesuwiał się bliżej kas, zaczynał słyszeć rozmowy kasjerek. Żartowały lub konsultowały ze sobą różne rzeczy. Przeważnie te młodsze zadawały pytania Halinie, która odpowiadała, nie przerywając obsługi swoich klientów.

- Halinka, a chleb z dynią? Zapomniałam kodu.

- Dwa trzy pięć pięć.

- A awokado?

- Sześć osiem trzy dwa.

- A takie pomarańczowe? Co to jest?

- Mango.

- A imbir to na wagę czy na sztuki?

- Na wagę. Pięć dwa trzy jeden.

Halina udzielała informacji jak automat. Cierpliwie pomagała identyfikować produkty i bez wahania wyciągała z pamięci kilkucyfrowe kody. Skupiona i małomówna, ale zarazem życzliwa i pomocna. W przeciwieństwie do rozchichotanych, nienaturalnie opalonych pannic z sąsiednich kas, były od niej doświadczenie i klasa. Chyba ją tu lubili, bo ciągle ktoś ją pozdrawiał i zagadywał. Nawet nadęty ochroniarz co i rusz strzelał oczami w jej stronę. Obmierzły typ. Otwarcie taksował wzrokiem biust jego żony! Resztę sylwetki przesłaniała kasa, więc Leon nie mógł ocenić, czy Halina zachowała dawną figurę.

Już tylko jedna osoba dzieliła go od rozwidlenia wspólnej kolejki. Za chwilę miał podjąć brzemienną w skutki decyzję, do której kasy podejść. Wtedy niespodziewanie Halina po raz pierwszy podniosła głowę znad skanera. Wykorzystała moment, gdy niezdarny staruszek wolniej niż reszta człapał do kasy, z trudem ciągnąc przepełniony wózek. Wyprostowała kark i dotknęła go ręką, delikatnie masując. A potem spojrzała prosto w oczy Leona.

Wiedział, że będzie musiał długo tłumaczyć dziewczynom, dlaczego w tej samej chwili odwrócił wzrok i ruszył do kasy obok. Sam też chętnie by się tego dowiedział.

Kinga

Niedawno się z nich śmiała, a teraz robiła to, co one. Tak jak klientki galerii, chodziła na zakupy, by nie zwariować. Już wcześniej zaobserwowała, że ludzie nie odwiedzali second-handów z oszczędności, ale dla frajdy. Instytucja ciucholandu odwoływała się do tych samych instynktów co wszystkie inne landy: zapewniała doskonałą rozrywkę i uzależniający dopływ adrenaliny.

Wyprawa „na ciuchy” przypominała polowanie lub zabawę w poszukiwanie skarbów. Praca w galerii sporo nauczyła Kingę o psychologicznych mechanizmach, leżących u podłoża decyzji o zakupie. Nie ma lepszego sposobu na skuteczną sprzedaż niż przecena i informacja, że to ostatni egzemplarz. W second-handzie były same przecenione ostatnie egzemplarze, dlatego w klientkach budził się instynkt łowcy. Te zakupy nie wynikały z potrzeby, nie chodziło też o ładną zdobycz czy dobrą jakość. Liczyła się cena. Tani zakup dawał to nieporównane z niczym uczucie satysfakcji i przekonanie o własnej zaradności, pozwalające triumfować nad tymi, którzy kupowali drożej.

Kinga również nie przychodziła do ciucholandów z konieczności – nią kierował inny impuls: ciekawość. Cotygodniowa dostawa towaru stanowiła pasjonujące studium mody ostatnich dekad. Oferowała przekrój fasonów, deseni i tkanin, gotowych do ponadczasowego starcia. Z perspektywy współczesności mogła je osądzić i zawyrokować, czy nie zdały egzaminu, czy też wygrały z przemijaniem. Przekopując odzieżowe targowiska różności, Kinga nie odrzucała niczego, a już na pewno nie dziwacznych okazów z minionych epok. Uważnie przyglądała się bufkom i złotym niciom, splotom tureckiej wełny i ewoluującym fasonom džinsów. Badała grubość naramiennych poduch, próbując uchwycić moment, gdzie kończy się poprawa proporcji sylwetki, a zaczyna jej deformacja. Studiowała kolory, nie bacząc na aktualne trendy i próbując dobrać klucz barw najlepiej komponujących się z cerą przeciętnych Polek. Nie zależało jej, żeby niższym kosztem kopiować stylizacje ze sklepowych wystaw. Przychodziła do lumpeksów, bo chciała stać się wizjonerką. A to wymagało pokory. Dawała więc szansę odzieżowym kopciuszkom, by po zdjęciu z wieszaka zmieniały kobiety w księżniczki. Ich magiczne właściwości sprawdzała na sobie lub przypadkowych klientkach, którym nawykowo doradzała. Wszystkie obserwacje pieczołowicie notowała, szukając recept na doskonałość.

Mimo licznych niespodzianek używane ubrania dawały też pewne gwarancje – historia poprzednich użytkowników potwierdzała ich jakość. Skoro do tej pory nie straciły kształtu ani koloru, powinny dobrze zachowywać się w przyszłości. Kinga nieraz zastanawiała się, dlaczego tak dobre gatunkowo ciuchy trafiają do szmateksów. Doszła do wniosku, że jeśli ubrania się nie zmieniały, musiały zmieniać się ciała ich właścicieli. Dorastali, tracili lub przybierali kilogramy lub umierali. Wśród klientek krążyły na ten temat liczne legendy.

– Mówili kiedyś o pannie młodej, co zmarła nazajutrz po weselu. A suknię ślubną miała z lumpeksu – konfidencjonalnym szeptem ostrzegła ją kiedyś pewna starsza pani, pochylając się nad koszem odzieży na wagę.

Kinga oglądała akurat przykurzony welon z koronki.

– Sukienka była przeklęta? – zapytała z udawanym zdumieniem.

– Należała do panny młodej, która zginęła w wypadku. Ale ta druga oczywiście nie mogła tego wiedzieć.

– A ten wypadek to też klątwa? – Kinga starała się utrzymać poważną minę.

– Tego nie wiadomo. W każdym razie podobno w sukni po nieboszczce został trupi jad. Musiał przeniknąć do ciała przez jakieś zadrapanie. I po kobiecie.

– To chyba niemożliwe. Na pewno oddałaby wcześniej suknię do pralni – Kinga delikatnie punktowała słabości mrocznej anegdoty.

– Ja tam nie wiem. Ale przyzna pani, że to trochę dziwne, prawda? Nigdy nie wiadomo, na co się trafi.

Miała rację. Kinga sama lubiła snuć domysły na temat poprzednich właścicieli rzeczy. Jej wyobraźnię uruchamiały wyhaftowane monogramy, naszywki i indywidualne krawieckie przeróbki. Stanowiły osobisty ślad wcześniejszych posiadaczy, jednocześnie dając świadectwo przemijalności ludzkich tkanek względem trwałości tkanin.

Starsza pani obracała w dłoniach gobelinową torebkę. Dyskretnie wsunęła dłoń do środka, badając wewnętrzne kieszonki. Z jej skupionej miny Kinga wywnioskowała, że obudził się w niej dziecięcy zew poszukiwacza. Kobieta przeszukiwała podszewkę z takim samym napięciem, z jakim kilkulatka zagląda na strych lub na dno babcinej szafy. Gdy jej wiotkie, pokryte cienką skórą palce natrafiały na okruszek herbatnika lub zmięty papierek, w jej oczach pojawiał się błysk nadziei.

– Sąsiadka znalazła tak dolarówkę – szepnęła znów starsza pani, najwyraźniej nabierając do Kingi zaufania. – Ze szczerego złota.

– Naprawdę? I co sobie za nią kupiła?

– No co pani! Toż to szkoda. Zaszyła w poszewkę i dobrze ukryła.

Kinga uśmiechnęła się i podniosła wieszak z wełnianym płaszczem w odcieniu śliwki.

– Proszę przymierzyć. Będzie pani dobrze w tym kolorze.

– Kochana, ja tu nie przyszłam kupować! Inaczej dawno bym poszła z torbami.

Kinga ze zrozumieniem pokiwała głową i zamiast odwiesić płaszcz, przyłożyła go do swojej twarzy. Spojrzała w swoje odbicie w lustrze. Ojciec taktownie nigdy nie zapytał, dlaczego chciała zostać projektantką, choć przecież taki zawód musiał wydawać mu się szalenie niepraktyczny. Ona sama też nigdy nie odpowiedziała

sobie na to pytanie. Znajomym mówiła, że chce w ten sposób pomagać innym czuć się dobrze w swojej skórze i odnaleźć ich prawdziwe ja. W rzeczywistości od zawsze próbowała ubrać siebie. W niczym, co miała na sobie, nie czuła się dobrze. Może z wyjątkiem czerwonej sukienki z wystawy. Wciąż wydawało jej się, że jest przeźroczysta. A może po prostu była pusta w środku?

Rozdział czternasty

Weronika

Próbowała nie myśleć o tym, jak to jest, gdy czuje się na sobie dziesiątki krępujących spojrzeń. Była pewna, że wszyscy będą się na nią gapić, ale to ona przecierała oczy ze zdumienia. Kiedy stanęła w drzwiach urzędu pracy, wydało jej się, że pomyliła adres. Chcąc zachować resztki dyskrecji, zjawiała się już o ósmej rano, ale ku jej zaskoczeniu o tej porze budynek tętnił życiem, a raczej wegetacją. Pod osłoną nocy musieli tu przyjść bezrobotni z całego miasta. Kobiety i mężczyźni, młodzi i w sile wieku, trzeźwi i bardzo starający się takich udawać. Każdy z nich inaczej rozumiał sprawianie dobrego pierwszego wrażenia. Niektórzy ubrali się tak, jakby zaraz mieli złapać za szpadel lub widły. Dziewczyny w neonowych bluzkach i białych kozaczkach – jakby wolały chwycić za coś innego. Przyszło też kilku osiłków w dresach i sportowym obuwiu (sekcja robotnicza) i chuderławi okularnicy w skarpetach do sandałów (intelektualiści). Przy tym osobliwym dress codzie biała marynarka i błękitna koszula Weroniki raziły jak sweter w operze.

- Numer.

Najpierw poczuła szturchnięcie w ramię, a potem woń nieumytego ciała uwięzionego w sztucznej tkaninie. Mężczyzna o twarzy wypranej z wieku i perspektyw wskazywał ręką na automat.

- Bez tego nikt tu nawet na ciebie nie spojrzy, laleczko.

Miał rację. Weronika bała się, że zrobi z siebie upokarzające widowisko, a tymczasem nikt nie zwracał na nią uwagi. Traktowano ją jak wypełniające korytarz, niezbyt świeże powietrze. Zdezorientowana podeszła do automatu i nacisnęła przycisk. Przyszła na bezpłatne konsultacje z doradcą zawodowym. Ta wersja brzmiała nawet obiecująco, ale bez udziału w konsultacjach po prostu nie otrzymałaby statusu bezrobotnej uprawniającego do pobierania zasiłku. Weronika broniła się przed tym krokiem. Wydawało jej się, że dopóki nie nazwie swojego położenia wprost, nie stanie się ono rzeczywiste. Dlatego zwlekała do ostatniej chwili. Ale ostatnia chwila właśnie nadeszła. Oderwała wydruk z numerkiem. Siedemdziesiąt siedem. Najwyraźniej musiała uzbroić się w biblijną pokorę. Nawet po beznadzieję stało się w kolejce.

Zajęła miejsce pod ścianą, obok ludzi, których nie czekało już nic. Mówiły to ich oczy, sylwetki i oblicza. Spojrzenia mieli zgaszone od zbyt wielu rozczarowań, postury niepewnie zgarbione, twarze wiecznie zmęczone mimo przewlekłego braku zajęcia. Życie przyparło ich do muru, więc przywarli do niego i jak jemioly czepiali się nadpróchniałego państwowego konaru. Z pozoru wåtli i wzbudzający ciepłe uczucia, w praktyce nieusuwalni. Narośl trwale odporna na samodzielność.

Usiłując wypełnić czas oczekiwania, Weronika podeszła do tablicy z ogłoszeniami. Wcześniej przeglądała je w Internecie, dlatego wiedziała, że ci od wideł mieli większe szanse niż ona. Doświadczenie w PR-ze i przebyte kursy autoprezentacji nie wzmacniały jej pozycji w wyścigu o posadę słupolaza, spawacza czy zbrojarza-

betoniarza.

- Siedemdziesiąt siedem! - przez korytarz przetoczył się szmer nerwowych nawoływań.

Morze oczekujących niechętnie rozstąpiło się przed nią, ukazując wąski prześwit, prowadzący do drzwi zielonych jak nadzieja. Lub naiwność.

- Proszę usiąść.

Kobieta w taniej garsonce wskazała miejsce po drugiej stronie swojego biurka. Choć doradzała innym, sama nie przypominała człowieka sukcesu. Była w wieku, w którym kobiecość rozpuszcza się w przybranych kilogramach, ściętych włosach i pożegnanych złudzeniach.

- To pani jest doradcą zawodowym? - Weronika starała się ukryć niedowierzanie.

- Jakiś problem?

Najwyraźniej nie ją pierwszą ogarnęły wątpliwości.

- Chciałam się tylko upewnić, czy dobrze trafiłam. Jestem tu pierwszy raz.

- Następnym razem będzie pani wiedzieć.

- Może postaramy się, by następny raz nie okazał się konieczny? - Weronika spróbowała się uśmiechnąć.

- No właśnie. To proszę powiedzieć, co pani tu robi.

- Szukam pracy, bezskutecznie od kilku miesięcy. Myślałam, że poradzę sobie sama, ale potrzebuję pomocy.

- Dlaczego pani tak długo nie pracuje? - w tonie głosu doradczyni zabrzmiało dziecięce zdziwienie.

- Straciłam pracę. I do tej pory nie znalazłam innej.

- Z jakiego powodu?

- Nie wiem. Nie znalazłam odpowiednich ofert albo odpadłam w procesie rekrutacyjnym.

- Dlaczego?

- Trudno powiedzieć. Nie spełniałam wymogów albo nie spodobałam się. Może miałam zbyt duże oczekiwania finansowe?

- A czemu?

- O co pani teraz pyta? - Weronika zaczęła się gubić.

- O powód, dla którego nie może pani znaleźć pracy.

- Myślałam, że pani pomoże mi to ustalić.

Doradczyni poprawiła okulary i po raz pierwszy na nią spojrzała.

- Ma pani wykształcenie i doświadczenie. Zna pani języki, umie obsługiwać komputer. Jest pani w miarę młoda - przyznała niechętnie. - Więc nie rozumiem.

- Ja też nie - zniecierpliwiła się Weronika. - A może państwo mają jakieś oferty?

- Takie jak dla pani, to nie.

- Sama pani widzi.

- Co widzę?

- Staram się, ale nie mogę znaleźć pracy.

- No właśnie. Dlaczego?

Weronika zrezygnowana opadła na oparcie.

- Bo jestem do niczego.

- No cóż. W takim razie zapraszam za miesiąc. - Doradczyni przystawiła

pieczętkę i podpisała zaświadczenie. – Inaczej wstrzymają zasiłek.

Wtedy Weronika zrozumiała, że relacjom w urzędzie pracy bliżej niż do pasożytnictwa jest do symbiozy. Urzędnicy potrzebowali petentów. Bezrobotni byli ich pracodawcami.

Kinga

Nie mogła uwierzyć, kiedy Weronika zaproponowała, by poszły razem na zakupy. Powiedziała, że musi się rozerwać. Zbliżała się połowa lutego. Coraz mniej czasu zostało do premiery nowego sezonu *Wybiegu* w wiosennej ramówce. Pracowała pełną parą, więc z chęcią przystała na chwilę przerwy, a przy okazji szukała dodatku, którym mogłaby wykończyć sukienkę uszytą z połączenia czarnego golfu i prostej spódnicy. Z kolei Weronika potrzebowała czegoś ciepłego do ubrania. Chociaż przez chwilę Kinga pomyślała o złośliwej riposcie, że ich poziom tolerancji cenowej zbyt drastycznie się różni, powstrzymała się. I słusznie, bo po drodze Weronika niespodziewanie powiedziała: – Wszyscy macie mnie dosyć, wiem o tym. Przechodzę trudny okres i czasem nad sobą nie panuję.

– Każdy z nas przechodzi trudny okres – starała się nie zabrzmieć ironicznie.

– Widocznie ja najgorzej sobie radzę. Pracuję nad tym, naprawdę.

Zanim zdążyły zmarznąć, weszły do sklepu z używaną odzieżą. To również zaproponowała Weronika. Kinga starała się wybrać ten najczystszy i najmniej przesiąknięty zapachem odkażacza, aspirujący do miana butiku vintage. Był droższy, ale za to częściej trafiały się tu światowe marki.

– Nigdy nie sądziłam, że znajdę się w takim miejscu – podsumowała Weronika z wrodzonym sobie taktem.

– W lumpeksie? Nie zgrywaj księżniczki.

Młoda ekspedientka, upinająca na manekinie haftowany szal, spojrzała na nią z urazą.

– W lumpeksie, w urzędzie pracy, na stacji. Potraktujmy to metaforycznie – nie przypuszczałam, że czeka mnie taki etap w życiu.

– Zarejestrowałaś się jako bezrobotna? Dobra decyzja.

– Osadzam się w pierwszej warstwie.

Kinga spojrzała na nią pytająco.

– Jestem świeżakiem. W przeciwieństwie do tych, którzy zaczęli kilka lat temu i ugruntowali się na sztywno. Bezrobotni są jak osad na społeczeństwie – śmierdzą i szybko twardnieją.

Kinga zdążyła wypatrzyć kilka zdobyczy, między innymi żółte skórzane cyklistówki, kamizelkę z frędzlami i podniszczony kapelusz z fantazyjnym kwiatem. Zamierzała go oderwać i przyszyć do czarnej sukienki. Weronika kręciła się niezdecydowana, jakby miała opory przed tym, by czegokolwiek dotknąć.

– A ogłoszenia? Przeglądasz je systematycznie?

– Nie jestem w nastroju do żartów.

– Nie przypominam sobie, byś poza tym dniem kiedykolwiek była w nastroju do

czegokolwiek – Kinga pozwoliła sobie na szczerość. – Czy ty w ogóle wiesz, co chciałabyś robić?

– Nic. – Wzruszyła ramionami.

– Próbuję cię wspierać. Nie obrażaj się.

– Nie obrażam. Mówię, jak jest.

– Rozumiem, że nie możesz otrząsnąć się po zwolnieniu, ale to trwa już zbyt długo

– powiedziała Kinga łagodniej. – Musisz znaleźć w sobie wolę walki. A ty zachowujesz się tak, jakbyś podświadomie nie chciała znaleźć pracy. – W takim układzie nie możemy ci pomóc, choć bardzo się przejmujemy.

– Wcale tego nie oczekuję. To nie jest z mojej strony tylko głupi bunt. Ja chyba rzeczywiście nie chcę pracować. Sama niedawno to rozumiałam.

– Jesteś zniechęcona. To naturalne.

– To nie jest zniechęcenie. Po prostu nie chcę wracać do tego, czego już doświadczyłam.

Weronika podniosła wyszywaną paciorkami kopertówkę, ale bez przekonania odłożyła ją z powrotem.

– Ale nie możesz przecież...

– Życ bez pracy? Jak dotąd nieźle mi idzie – uśmiechnęła się. – Na początku byłam dezorientowana. Potem załamana, w końcu wściekła. Dopiero niedawno zaczęłam dostrzegać, że tracąc pracę, coś zyskałam. Czas. Wolność. Moje życie, którym nie muszę się z nikim dzielić.

– Ale co dalej?

– Nie mam pojęcia. Zawsze musiałam wiedzieć, co dalej. Dlatego trafiłam do korpo i świetnie się tam odnalazłam. Ale teraz trudno mi sobie wyobrazić powrót.

– Może potrzebujesz odpoczynku, nabrania sił.

– Nie o to chodzi. Nocami nadal słabo sypiam, martwię się o przyszłość. Gdyby nie kredyt, nie przygniatałby mnie taki ciężar. Miałabym większą swobodę ruchu. Mogłabym spróbować żyć inaczej, wyjechać gdzieś albo robić ciekawe rzeczy za niewielkie pieniądze. Myślę, że bym się odważyła.

– Przymierz to – powiedziała Kinga. – Benneton.

Weronika spojrzała na swoje odbicie w lustrze. Ułożyła na piersi szeroki pomarańczowy sweter z miękkiej wełny. To nie był jej kolor ani fason, przynajmniej do niedawna.

– Przyda się na chłodne dni – oceniła. – Wiesz, długo nie miałam prawie żadnych ciepłych rzeczy. I tak większość czasu spędzałam w klimatyzowanym biurze albo ogrzewanym samochodzie. Wcześniej nie dostrzegałam różnic pogody ani zmieniających się pór roku. Teraz wreszcie wiem, jak jest na zewnątrz.

Przyglądała się sobie w lustrze, jakby próbowała oswoić swój nowy swetrowy wizerunek. Miękką wełną łagodziła jej ostre rysy.

– Nawet ładne. Takie miłe i ciepłe. Za dychę? Nigdy bym nie pomyślała. Człowiek uczy się całe życie.

Damian

Nie mógł uciec od tamtego głosu. Dźwięczał mu w uszach, nie pozwalając zasnąć i zmieniając nocną ciszę w torturę myśli. Sprawiał, że odtąd każdej nocy śnił o spadaniu. Wizja była przerażająco realistyczna. Damian balansował na krawędzi dachu i chwając się, spoglądał na lecącego w dół Młynarczyka. Kiedy wyciągał do niego dłoń, tamten łapał go za mankiet i ciągnął za sobą. Koszmar nie zniknął po przebudzeniu.

„Ofiara chciwości banków”. „Pożarty przez kapitalizm”. „SKOK z kamieniem u szyi” – grzmiały mściwe nagłówki brukowców, codziennie powielających wycinki z ludzkiej niedoli. Damian kupił wszystkie tytuły, panicznie skanując pierwsze strony w poszukiwaniu swojego nazwiska. Usiłował nie zatrzymywać wzroku na informacjach wysuniętych na pierwszy plan przez redaktorów wyspecjalizowanych w rozdzieraniu szat. Nie chciał czytać o trzydziestoczteroletnim Macieju M., wzorowym uczniu, zdolnym studencie, cenionym specjaliście, lubianym koledze, który miał psa, pozostawił zdruzgotaną żonę i osierocił dwójkę małych dzieci. Tych wiadomości naprawdę nie potrzebował. Musiał wziąć się w garść i skupić się na tym, jak wytłumaczyć się w pracy.

Wytłumaczyć się. Przyłapał się na tym, że podświadomie ustawił się na pozycji winnego. Może dlatego, że następnego ranka z łóżka wyrwał go telefon od rzeczniczki banku. Kazała mu brać dupę w troki i natychmiast jechać do biura. O szóstej rano. Damian był wdzięczny, że noc się skończyła, przynajmniej na dziś.

Kiedy przed siódmą dotarł do firmy, Andrzej już na niego czekał. Musiał być wściekły, normalnie nie zjawiał się w robocie przed dziesiątą.

- Jakies pomysly? - zapytal bez kurtuazyjnych powitan.

- Dopiero sie dowiedzialem - sklamal Damian.

Po pierwszej odsłonie nocnego koszmaru posłuszny ostrzeżeniu z zaświatów wykasował z komórki wieczorne połączenie od Młynarczyka. Musiał tylko znaleźć sposób, jak dobrać się do firmowych billingów. Dopiero w tramwaju uświadomił sobie istnienie drugiego telefonu. Roztrzaskanego o ziemię, ale to bez znaczenia. Niedobrze. Bardzo niedobrze.

- Musimy dzialac szybko - naciskal Andrzej. - Zanim bedzie za pozno.

- Wszystko przebiegalo zgodnie z procedurami. - Damian otarl krople potu gromadzace sie na skroni. - Mlynarczyk nie placil, wiec przystapilismy do windykacji. Podjelimy standardowe kroki.

Nie wdawal sie w niewygodne szczegoly, takie jak czestotliwosc telefonow i sila poruszanych argumentow. W koncu mial prawo do tajemnicy swojego know-how, ktoremu zreszta zawdzieczal awans.

- Napiszesz raport, a ja przekaże rzeczniczce, że jesteście czyści.

- Rozpęta się piekło - jęknął Damian.

- To się je uciszy.

- Brukowce już wycierają sobie nami gęby.

- To najmniejszy problem. Dziś zadzwonimy i zagrozimy wstrzymaniem reklam. A ludzie i tak mają to w dupie, po tygodniu nikt nie będzie o niczym pamiętał.

Szef złapał za słuchawkę telefonu.

- I co teraz? - zapytał bezradnie Damian.

- Jak to co? Trzeba zmienić dane dłużnika. Kredyt przechodzi na spadkobierców.

- Zona Młynarczyka chyba nie pracuje. Ostatnio opiekowała się dziećmi.

- To teraz się zmobilizuje albo wypad z lokalu. - Andrzej wykonał symboliczny gest i Damian posłusznie się oddalił.

Zapisali go do psychologa, ale problemy ze snem i apetytem nie ustępowały od kilku tygodni. Do tej pory Damian traktował pracę jako remedium na wszelkie niepokoje: egzystencjalne bolączki, codzienny stres, niezaspokojone libido. Kiedy nie miał pomysłu, co zrobić, pracował. Dzięki temu szkodliwe myśli same wyparowywały mu z głowy, a on zamiast się miotać, robił coś pożytecznego. Ale od śmierci Młynarczyka ta jedyna zasada, która dawała mu poczucie bezpieczeństwa, przestała działać. Nie wziął udziału w pogrzebie, nie był masochistą. Jednak po raz pierwszy od dawna poszedł do kościoła. W środku było pusto, ciemno i chłodno. Zgiełk miasta został za ciężkimi dwuskrzydłowymi drzwiami. W powietrzu leniwie przeciągały się aromaty kadzidła i starości. Tylko czerwona lampka zawieszona gdzieś między niebem a ziemią burzyła wewnętrzny spokój jak zła, natrętna myśl. Podobnie wyglądało wnętrze umysłu Damiana.

Wsunął się między twarde, wąskie ławki i zajął miejsce. Spróbował niezgrabnie opaść na kolana, ale zaklinował się między klęcznikiem a wrzynającym się w pośladki siedziskiem. Z wdzięcznością przystał na tę niewielką pokutę. Niemoc doprowadzała go do szaleństwa. Desperacko potrzebował czegoś, co mógłby zrobić. Nadgodziny w banku nie dawały ulgi, ba, prowadziły dokładnie w przeciwnym kierunku. Jak miałby ukoić swój niepokój, w dalszym ciągu gnębiąc bliźnich? Popadł w obsesję, że będą następni. Dla przeciwwagi próbował angażować się w poszukiwania babci, ale wciąż nie miał żadnych nowych wiadomości. Zamknął oczy, złożył ręce i w myślach wypowiedział prośbę. Niech się stanie cokolwiek. Wsłuchiwał się w pustkę, w której szeptały niedające się uciszyć demony. Czy nie chciał bogacić się kosztem innych? Czy nie uważał, że powinni poświęcić życie, by jemu żyło się lepiej? Czy nie na tym oparł swój plan?

Wzdrygnął się, kiedy mistyczną ciszę nagle przerwał wibrujący dźwięk. Dzwonek jego telefonu. Płaski aparat wysliznął mu się z drżącej dłoni i z hukiem upadł na kamienną posadzkę. Damian rzucił się na ziemię, by wyciszyć rażąco głośny sygnał, zadający gwałt kościelnemu skupieniu. Na pokrytym pajęczyną pęknięć wyświetlaczu ujrział nieznany numer. Nerwowo przeciągał palcem po ekranie, bezskutecznie próbując odebrać. Zaklął.

- Halo? - krzyknął, kiedy w końcu udało mu się przesunąć zieloną słuchawkę. Natychmiast sam przywołał się do porządku i przeszedł na szept. - Słucham?

Nikt nie odpowiadał. Odsunął aparat od ucha i spojrzał na wyświetlacz. Ruchome sekundy odmierzały trwające połączenie. Ruszył do wyjścia w poszukiwaniu lepszego zasięgu. W kruchcie kościoła ponownie zapytał: - Kto mówi?

- To ja.

Chciał krzyknąć, ale bał się, że odpowie mu sygnał przerwanego połączenia. Wstrzymał oddech, a potem odezwał się cicho i łagodnie, jak gdyby próbował przywołać zdziczałe zwierzę: - Babciu?

- Jesteś z siebie zadowolony?

Wiedziała.

- Gdzie jesteś? Odchodzimy z matką od zmysłów.

- Mów za siebie.
 - Co się z tobą dzieje? Widziałem mieszkanie. Wiem, co zrobiłaś...
 - Ja też wiem, co zrobiłeś. Co robisz cały czas.
- Rozejrzał się dookoła, jakby ktoś go obserwował.
- Posłuchaj, martwimy się o ciebie. Jak cię znajdem?
 - Wszystko w swoim czasie. Teraz jest sprawa do załatwienia.

Kilkadziesiąt sekund później połączenie zostało zakończone. Damian próbował oddzwonić. Matka mu nie daruje, jeśli nie ustali miejsca pobytu babci. Ale ku jego zdumieniu w historii połączeń po ostatniej rozmowie nie został żaden ślad. Przeklęte ustrojstwo, musiało się zepsuć przy upadku.

Wyszedł z kościoła. Zmrużył oczy, oślepiiony przez nagły przyływ dziennego światła. Zachwiał się i zaczerpnął haust świeżego powietrza. Czuł się oszołomiony, ale szczęśliwy. Jego prośba została wysłuchana. Było coś, co mógł zrobić. Tylko jeszcze nie wiedział jak.

Rozdział piętnasty

Weronika

Kiedy zadzwonił do niej późnym wieczorem, po raz pierwszy po długiej przerwie, poczuła ulgę, choć przecież jego głos w słuchawce był jak zapowiedź kolejnych kłopotów. Pracował w tak późnych godzinach? Zdziwiła się i profilaktycznie nie omieszkała wyrazić swojego oburzenia.

- Dochodzi dwudziesta druga. To chyba pewna przesada?

- Przeszkadzam?

Wcześniej jakoś nigdy nie przyszło mu do głowy, że mógłby dzwonić nie w porę.

- Owszem. O tej porze zazwyczaj odpoczywa się po całym dniu pracy.

- Czyżby znalazła pani zatrudnienie? - zapytał z fałszywym entuzjazmem.

Bezczelny.

- Miałam już dziś telefon z banku. Stalking to wasza nowa metoda?

Od miesiąca kontaktował się z nią inny przedstawiciel. Czuła się tym irracjonalnie zawiedziona. Senny głos nowego windykatora kazał jej przypuszczać, że w czasie rozmowy z nią grał w Minecrafta. Był mniej natarczywy od swojego poprzednika - zwyczajnie brakowało mu ikry.

- Pani sprawę przejął kolega, ale ponieważ ja najlepiej znam pani położenie...

- Czyżby? - przerwała. - I jakie niby jest to moje położenie?

- Jest pani trudno, wiem, ale wbrew pozorom zależy nam na pani... na pani dobru

- oprawca niespodziewanie spuścił z tonu.

- Nam?

- Bankowi - poprawił się.

Weronika uśmiechnęła się, ale zadbała, by nie usłyszał tego w jej tonie.

- Przekazałam pana koledze, że nie mam żadnych nowych wiadomości - starała się brzmieć oschle i niecierpliwie. - Czy mogę w czymś jeszcze pomóc? Jest już bardzo późno.

- To ja chciałbym pomóc pani. W rozwiązaniu pani problemu.

Czy on coś pił? Mówił do niej jakoś dziwnie miękko. Jak nie on.

- To, zdaje się, nasz wspólny problem. W Stanach mogłabym po prostu oddać panu klucze i mieć czysty rachunek.

- Ale jesteśmy w Polsce, a pani zadłużenie przewyższa wartość nieruchomości. - Najwyraźniej odzyskiwał dawny pazur.

- Co więc pan proponuje?

- Spotkanie.

No proszę. On też za nią tęsknił. Randka w dziale windykacji musiała jednak poczekać. Przedtem Weronikę czekała jeszcze jedna, dużo trudniejsza konfrontacja.

- To twoje. - Leon wcisnął jej w dłoń zawiniątko, korzystając z zamieszania w przedpokoju, kiedy wszyscy szykowali się do wyjścia.

Rozchyliła torebeczkę z ozdobnego papieru, choć dobrze wiedziała, co jest w środku.

- Nie musiałeś.

- Dla ciebie znaczy więcej, niż ja mógłbym na tym zarobić.

Zdażyła się już przestraszyć, że go sprzedał. Kiedy drugi raz pojawiła się w lombardzie, miejsce łańcuszka w gablotce zajęła złota bransoletka. Weronika była pewna, że trafił w obce ręce, podarowany dalej lub przetopiony na coś innego. Ta ponowna strata zabolą ją bardziej niż wszystko, z czym musiała rozstać się w ostatnim czasie.

Teraz delikatnie gładziła złotą linkę z trzylistną koniczynką. Taka zawieszka mogła być tylko jedna. Kiedyś sama oberwała czwarty listek, przygryzając go z nerwów. Kiedy usłyszała leciutki trzask przerywanego metalu, przestraszyła się, że go połknęła.

- Zapłacę, jak tylko będę mogła. - Spojrzała na Leona z wdzięcznością.

- Trzylistnej i tak nikt nie chciał. Komu potrzebne wybrakowane szczęście?

Nieśmiały uśmiech Leona szybko zniknął, spłoszony przez zakłopotanie. Po raz pierwszy rozmawiali tak ciepło. Niedoszły skok Weroniki zmącił początek ich znajomości.

- Co to za sekrety? - zawołała Kinga. - Czujemy się pominięte.

Łucja czekała już na schodach.

- Chodźmy - ponagliła. - W takim tempie nigdy niczego nie załatwimy.

Leon bez słowa zabrał się za przekręcanie licznych zamków. Od incydentu w sklepie milczenie stało się jego ulubioną taktyką komunikacyjną.

Kiedy tamtego wieczora całą czwórką wychodzili z supermarketu, Weronika nie mogła się doczekać, kiedy zasuną się za nimi drzwi. Czuła, że eksploduje, jeśli natychmiast nie wyleje na Leonową głowę wiadra potępiających pomyj. Męskie wycofanie budziło w niej zwierzęce instynkty i nie miały one nic wspólnego z pożądaniem. Ale kiedy już na zewnątrz pewnym krokiem zagroziła mu drogę i spojrzała w twarz, słowa uwięzły jej w gardle. Pozwoliła, by ją minął i oddalił się w ciemność zimowego wieczoru. Kinga z Łucją musiały dostrzec to samo, bo nie powiedziały ani słowa. We trzy wróciły do domu, ale drzwi zastały zamknięte. Leon objawił się dopiero następnego dnia i od tamtej pory nad wizytą w supermarkecie zawisła ciężka zasłona milczenia.

Dziś dobrze go rozumiała, bo tym razem to ją czekała wycieczka w przeszłość. Sama nie wiedziała, jak i dlaczego poddała się zasadom absurdalnej gry, wymyślonej przez Łucję. Kolejny raz patrzyła na swoich towarzyszy, drepczących gęsiego chodnikiem: starszą panią w berecie, dziwacznie wystrojoną podfruwajkę i pięćdziesięciolatka o aparycji hydraulika i zastanawiała się, o co tutaj chodzi. Trójka niemal obcych świadków niczego jej nie ułatwiała. Mimo to z jakiegoś niewytłumaczalnego powodu chyba chciała ich mieć przy sobie.

- To miłe, że ze mną idziecie - powiedziała. - Choć nie wiem po co.

- Jak to po co? To już ustalone, pomagamy sobie uporządkować nasze sprawy. - Starsza pani na zmianę zbliżała i oddalała okulary, wpatrując się w plan miasta.

- Może dziś pójdzie nam lepiej niż ostatnio - odparł Leon z przekąsem. - Łucja najwyraźniej czuje niedosyt.

- Nie spodziewałabym się rewolucji - mruknęła Weronika. - Jeśli już, to żołądkowej.

- Słyszałam, że Bałuty lepiej omijać łukiem, ale nie wiedziałam, że z powodów sanitarnych - Kinga próbowała rozładować atmosferę.

- To wszystko na pewno odbije nam się czkawką. Choć stawiam bardziej na zgagę lub wrzody.

- No proszę, czyli nie tylko ja mam na pieńku z rodziną - odparł Leon.

Nowa Rodzina, jak nazywała ich Łucja, powinna być doskonalsza od tych prawdziwych. Nawet skład był idealny, czteroosobowy. Weronika zawsze marzyła o takiej liczbie. Wzorowy model komórki społecznej składa się z mamy, taty, synka i córeczki. Taki najlepiej prezentuje się w grafikach reklam i spotach telewizyjnych. W dzieciństwie Weroniki stan oficjalny, czyli trójka, częściej oscylował koło dwójki, ale ona przeważnie czuła się pojedyncza.

Na terapii dowiedziała się, że nadmierna odpowiedzialność i przedwczesna dojrzałość, jakie ją cechowały, to charakterystyczne cechy DDA - dorosłych dzieci alkoholików. Kiedy dziecko nie może liczyć na jedno lub oboje uzależnionych rodziców, musi przejąć stery codziennego życia, dźwigając ciężar nieodpowiedni do wieku. Terapeuci próbowali pomóc Weronice wyprzeć z pamięci trujące bałuckie wspomnienia. Nie, nie było awantur ani przemocy. Nie było niczego. Pracy, pieniędzy, nadziei, jakiegokolwiek reakcji bezwolnej matki, a już najmniej poczucia, że cokolwiek jest pod kontrolą. Według psychologów wcale nie musiała się tak starać i wzbraniać przed pomocą innych. A przecież tylko dzięki temu przetrwała.

Myślała o tym wszystkim, zmierzając prosto do przeszłości. Każdy kolejny zakręt prowadził w coraz brzydsze okolice, zataczając coraz ciaśniejsze kręgi wokół czasów, o których wołała nie pamiętać. Skażone wykwitami sprayu zabudowania odsłaniały wstydliwą stronę miasta i jej samej. Zawsze się bała, że pewnego dnia jej zgniłe korzenie każą jej runąć w dół, a złe dzieciństwo wybije jak szambo, niszcząc wszystko, co zdążyła naprawić i wybielić. To właśnie się działo.

- Tego się nie spodziewałaś, co? Trochę inaczej niż na Tuwima - zwróciła się do Kingi.

Posępne paszcze podwórek zdawały się leżeć lata świetlne od jej apartamentowca.

- Jaki adres? - zapytał rzeczowo Leon.

Weronika prowadziła ich bez słowa. Choć minęło tyle czasu, mogła tu trafić z zamkniętymi oczami lub wyrwana ze snu w środku nocy. Przecież często śniła o tym miejscu koszmary.

- Jesteśmy na miejscu.

Stanęli przez klatkę schodową pokrytą odrapanym tynkiem. Jego odcień współgrał z dławiącym zapachem moczu. Mózg Weroniki rozpoznał zestaw ohydnych bodźców jako wspomnienie domu. Jedno z okienek na zepsutym domofonie wciąż głosiło jej nazwisko. Tyle lat udawania, a przecież nie da się oszukać przeszłości.

- Śmiało, kochanie - zachęciła Łucja.

Weronika znów stała się małą dziewczynką.

- Tak, napatrzcie się. Jestem stąd - zaśmiała się cierpko. - I oto wracam na

tarczy. Tu, gdzie moje miejsce.

- Proszę, proszę - gdzieś ponad nimi rozległ się ochryply głos. - Teraz to jej miejsce.

Spojrzeni w górę, ale oślepiło ich ostre zimowe słońce. Odzwyczajone od światła spojówki Weroniki inni mogliby wziąć za łzy wzruszenia. Nie chciała, by tak pomyśleli, więc szybko osłoniła oczy dłonią.

- Czego tu? - głos z niebios nie przypominał anioła.

- Pani Cieślakowa? - Weronika mrużyła oczy, wołając gdzieś w górę. - Jestem Weronika. Pamięta mnie pani?

- Ja pamiętam, ale ona zapomniała. Zostawiła ojca i matkę. Teraz czego tu chce?

W cieniu pokrywającym ścianę kamienicy powoli wyostrzała się sylwetka otyłej kobiety, rozpartej na parapecie.

- Przyjechałam do rodziców, ale domofon jest zepsuty. Wpuści mnie pani?

- Nie ma tu czego szukać.

- Proszę otworzyć.

- Nikogo nie ma w domu.

- Nie szkodzi. Mam klucze.

Weronika znalazła je przy przeprowadzce. Sama nie wiedziała, dlaczego ich jeszcze nie wyrzuciła.

- Klucze! A to dobre - zagrzmiała sąsiadka. - Zamki dawno pozmieniane.

- To zaczekam na schodach.

- No to sobie poczeka. - Cieślakowa zaczęła zamykać skrzypiące skrzydła okna.

- Dość tych gier. - Wkroczył Leon. - Otwierać! Dziewczyna chce wejść do domu.

- Do domu? Jakiego domu? To ona nie wie, że tu już nic nie ma? Ojciec nie żyje, matkę eksmitowali, lokal dawno zabrany.

Weronika zastygła z uwiecznionymi w ustach pytaniami, które i tak odbiłyby się od zatrzaśniętego okna Cieślakowej.

- Kłamiesz! - krzyknęła po chwili, szarpiąc za metalowe drzwi klatki.

- Jakiś problem? - z góry dobiegł inny głos, tym razem męski.

W oknie jej dawnego mieszkania ukazał się nagi mimo zimy tors syna Cieślakowej. Od czasów, kiedy go ostatnio widziała, ubyło mu włosów, a przybyło tatuaży.

- Co ty tam robisz? - krzyczała Weronika.

Wśród firanek w innych oknach zapanowało poruszenie.

- Wynocha stąd - wycedził młody Cieślak. - Albo zejść.

- Lepiej nie - szepnęła Łucja, a Leon pokojowo pokręcił głową.

Kinga otoczyła Weronikę w talii i delikatnie popchnęła w kierunku, z którego przyszli. Za nimi z uchylonych okien posypały się słowa nienadające się do zacytowania.

Kinga

Śmierć ojca była dla Weroniki szokiem. Dla Kingi nie musiała nim być. Ona mogła próbować się do niej przygotować i być wtedy blisko. A co robiła zamiast tego? Myślała o sobie, fantazjowała, że robi karierę, i włóczyła się po podejrzanych dzielnicach z obcymi ludźmi.

Kiedy objęła roztrzęsioną Weronikę w drodze do tramwaju, nie wiedziała, czy dodaje jej otuchy, czy sama kurczowo jej się trzyma. Nie wiedziała też, która z nich miała w tamtej chwili większe wyrzuty sumienia.

- Nie obwiniaj się, kochanie. Przeżyłaś koszmar, więc chciałaś się stamtąd wyrwać. Nic w tym dziwnego - pocieszała Weronikę Łucja na kolejnym wieczornym zebraniu w stołowym.

- Może zła karma? Kara za to, że zerwałam kontakt z rodzicami?

- Co ty opowiadasz. - Machnął ręką Leon. - To nie kara, tylko pech.

- Jest taki moment, gdy przekraczasz granicę moralności. Wtedy, kiedy jesteś syty, ale nadal ośmielasz się pragnąć więcej. Rzucasz niezłą pracę i przenosisz się do lepszej. Wymieniasz niezniszczone ciuchy na lepsze, a przyzwoite mieszkanie na apartament. Zaczynasz chodzić innymi drogami, co innego jeść, oddychać innym powietrzem. Kończysz kolejne związki, bo szkoda się męczyć z przeciętniakiem. Kiedy pojawiają się kolejne cyfry wynagrodzenia, ubywa z twojego życia bliskich.

- Pieniądze nie mają tu nic do rzeczy. Może uwierzyłaś, że są złe, bo jako dziecko ich nie miałaś - powiedział Leon. - Nie robiłaś nic złego.

- Chciałam ją ukarać. - Ukryła twarz w dłoniach. - Moją matkę. Bo nic nie zrobiła. Bo wołała jego ode mnie.

- Wiem, kochanie - Łucja pogładziła ją po włosach, ale tym razem Weronika gwałtownie strząsnęła jej dłoń.

- Po co mi to było? Mogłam żyć w nieświadomości. I tak zamknęłam tamten rozdział za sobą. Ale wy pewnie jesteście z siebie bardzo zadowoleni. Podobało wam się widowisko?

- Chcieliśmy ci pomóc wszystko wyprostować - szepnęła Łucja. - Żebyś mogła pójść dalej.

Weronika objęła się ramionami i zamknęła oczy.

- Próbowałam się od niej uwolnić, a i tak przez całe życie czułam się z jej powodu winna. Teraz będę aż do końca.

W pokoju zapadła beznadziejna cisza. Nikt nie śmiał dyskutować z tym, co przed chwilą powiedziała. Skończyły im się pomysły, jak można by jej pomóc. Aż nagle odezwał się Leon.

- A jeśli spróbujesz ją odnaleźć?

Kinga drgnęła, a potem powoli zaczęła kiwać głową. Już wiedziała, co ma robić.

Łucja

Leon nie był w stanie opisać kobiety, która oddała w zastaw łańcuszek z koniczynką. Zeszli na parter do lombardu, żeby przeprowadzić wizję lokalną.

- Wysoka? Niska? Kolor włosów? Ubiór? Jakies znaki szczególne? - Kinga

wyciągnęła ołówek i kołonoatnik.

- Wiem, jak wygląda moja matka - ucięła Weronika. - Problem w tym, jak ją zlokalizować.

- Trzeba sprawdzić w urzędzie lub sądzie, może mają jej nowy adres - zasugerowała Łucja.

- Dlaczego przyszła akurat tutaj?

- Najwyraźniej moja renoma naiwniaka, któremu można wcisnąć wszystko, obiegła całe miasto - wyjaśnił Leon.

- Bardziej prawdopodobne, że mieszka w okolicy - odparła Kinga.

- A to co? - przerwała Łucja, wskazując jedną z półek. - Mogę obejrzeć?

- To stary rupieć, nie nadaje się na sprzedaż. - Leon jednym ruchem schował czarny samochodek do szafki pod ladą i zamknął ją na kluczyk.

- Jakbym miała mało kłopotów, muszę się jeszcze zastanawiać, gdzie się podziewa moja matka. - Weronika z impetem kopnęła oponę opartej o ścianę kolarki, a ta upadła na podłogę, robiąc mnóstwo metalicznego hałasu.

- Bez takich mi tu! - zaprotestował Leon i rzucił się podnieść rower.

- Trzeba było utrzymywać z matką jakiekolwiek relacje - wyrwało się Łucji.

Szorstkość w jej głosie najwyraźniej zaskoczyła wszystkich. - Być może, jeśli będzie chciała, sama spróbuje się z tobą skontaktować - dodała już łagodniej.

- Niby jak? Nie zna mojego adresu. Poza tym już tam nie mieszkam.

- Może więc tobie uda się ją odnaleźć.

- Znaleźć to ja powinnam pracę.

- O to nie musisz się już martwić. - Kinga zamknęła notatnik, a ołówek przełożyła przez rząd kółeczek. - Weźmiesz moją. Mnie już nie będzie potrzebna.

Rozdział szesnasty

Damian

Od dziecka kazano ludziom czegoś pragnąć. Jakby jakaś niewidzialna ręka krótko po urodzeniu wszczepiała pod skórę czip poczucia niedosytu. Odtąd dawał o sobie znać przez całe życie, nie pozwalając na choćby chwilę ciszy nieskażonej chciwymi myślami.

Więcej. Bardziej. Jeszcze.

Mieć. Być. Czuć.

Pipiip. Pipiip. Pipiip.

Kolejna myśl, kolejny plan, kolejny dzień, który należy rozliczyć z wyniku. Co się udało osiągnąć? Czym można się pochwalić? Co dalej na liście? Jeszcze nic? Trzeba czym prędzej nadrobić to niedopatrzenie.

Pracując w banku, Damian aktywnie uczestniczył w podtrzymywaniu tego mechanizmu. Jak wszyscy pracownicy musiał śledzić aktualną kampanię reklamową w telewizji, a wszelkie spostrzeżenia przesyłać do działu marketingu. Notował więc swoje obserwacje, siedząc przed telewizorem.

W spocie starsza kobieta otwiera oczy i patrzy na budzik. Wydaje się, że zaraz wyskoczy z łóżka, ale tylko przewraca się na drugi bok z błogim uśmiechem. Scena druga: seniorka wchodzi do sklepu, ogląda niebieską sukienkę i zatroskana patrzy na metkę z ceną. Zagląda do portfela, rozjaśnia się i idzie do kasy. Cięcie: seniorka w kawiarni. Cięcie: seniorka na masażu i u kosmetyczki. Scena ostatnia: wciąż ta sama kobieta, smukła i zadbana, w nowej sukience wiruje na dansingu. Zbliżenie na uśmiech (równe, białe zęby). Komunikat wypowiedziany przez aksamitny kobiecy głos: „Teraz już nic nie musisz. Możesz zająć się tylko sobą. Zasłużyłaś. To możliwe dzięki drugiej emeryturze! Sprawdź już dziś: www.drugaemerytura.pl”.

Myśląc o potencjalnej odbiorczynie reklamy (kobieta sześćdziesiąt plus, statystycznie żyjąca dłużej od mężczyzny i wykazująca większą troskę o przyszłość), Damian wyobraził sobie swoją babcię. Czy łatwo połknęłaby haczyk i dała się zwieść gładko brzmiącym sloganom? Wątpliwe. Ona nabrała się na odwróconą hipotekę z zupełnie innych pobudek. Bo babcia nie posiadała podstawowej umiejętności współczesnego człowieka: nie umiała myśleć o sobie. Młodym marketingowcom odpowiedzialnym za opracowanie spotu nie mieściło się to w głowie, dlatego popełnili logiczny błąd.

Damian zapisał: „spot słabo umiejscowiony w ciągu reklamowym, można było wybrać moment lepszej koncentracji widza. Za mało dowcipny w stosunku do konkurencji. Za szybki, może nie zostać zarejestrowany i zrozumiany przez grupę docelową, czyli osoby starsze”. Kiedy skończył, nacisnął czerwony przycisk na pilocie. W mieszkaniu zapanowały ciemność i cisza. Nie musiał zamykać oczu, spokojnie czekał, aż wyobrażenia zacznie podsuwać mu swoje obrazy. Nadszedł ten moment dnia, kiedy do głosu dochodziły jego pragnienia. On też je miał, tylko trochę inne niż pozostali.

Odczekał kwadrans, potem pół godziny, ale nic się nie wydarzyło. Plany i wizje, które zazwyczaj cisnęły mu się na myśl, domagając się ciągłej pielęgnacji i doskonalenia, gdzieś się rozplynęły. Ze zdumieniem spostrzegł, że nie przychodzi mu do głowy nic, czego by pragnął ani co uznałby za warte zachodu. Chwilę poszukał, próbował coś sobie przypomnieć, ale bez skutku. Pustka.

Czyżby osiągnął nirwanę, nieosiągalny stan wolności od wszelkiego pożądanego? Trudno ocenić. Nie odczuwał lekkości, stan jego ducha przypominał raczej próżnię. Siedząc bez czucia, nagle zrozumiał różnicę między nasyceniem a brakiem łaknienia. Pierwsze dawało wolność. Drugie było chore.

Leon

- Chryste.

Leon gwałtownie się cofnął, a Kinga z Weroniką zakryły usta. Z mieszkania Łucji, niczym z wnętrza odpieczętowanego po wielu wiekach grobowca, buchnął duszący odór. Niewidzialny napastnik wżerał się w nozdrza i gryzł śluzówki, powodując atak paniki na myśl o jego toksycznych właściwościach. Trudny do wytłumaczenia instynkt od razu identyfikował agresywny aromat jako zapach śmierci: tej, która już nastąpiła, albo dopiero miała zebrać swoje żniwo.

Poczynienie jakichkolwiek ustaleń w tym zakresie utrudniał fakt, że mimo wyłamanej zamka do mieszkania nie dało się wejść. Przedpokój, od podłogi aż po sufit, szczelnie wypełniały stosy przedmiotów. Zbyt pewne siebie szarpnięcie drzwi przez nieświadomego Leona niebezpiecznie naruszyło strukturę usypiska. Złowieszczo szeleszcząc, groziło runięciem na śmiałków próbujących zgłębić ów ponury skarbiec.

- Co to jest? - wyszeptała Kinga, odsunawszy się na bezpieczną odległość.

- Zbieractwo.

W normalnych warunkach Weronika posłałaby Leonowi karcące spojrzenie, ale tym razem zastygła z otwartymi ustami.

- Trochę śmierdzi, bo dawno mnie tu nie było - nadała się Łucja. - Mielśmy się nawzajem nie oceniać.

Wszyscy stali w bezruchu, zaglądając we wrogą czeluść mieszkania. Jego wnętrze było wypełnione tak szczelnie, że na korytarz nie przedostawała się ani jedna smużka światła wpadającego przez okna. Pudła i paczki zdawały się tworzyć niemożliwy do sforsowania mur. Łucja jednak śmiało wystąpiła naprzód i sobie tylko znaną ścieżką wniknęła w głąb labiryntu przedmiotów.

- Ja tam nie wejdę - zaprotestowała Weronika. - Mam klaustrofobię.

Leon ruszył w ślad za właścicielką ohydnej składowiska. Kinga niepewnie poszła za nimi. Ostrożnie stawiali kroki, nawołując Łucję. Odpowiadał im zniekształcony pogłos, utrudniający jej zlokalizowanie. Fale dźwięku wariowały, odbijając się od zbyt wielu przedmiotów, uniemożliwiających rozszyfrowanie układu pomieszczeń. W instynktownej trosce o swoje bezpieczeństwo delikatnie stąpali i wstrzymywali oddechy, by nie naruszyć spójności otaczającej ich konstrukcji. Mijali hałdy

przedmiotów, kolorem i strukturą przypominające ulepioną z przetrawionej i wyplutej treści termitierę.

- To przechodzi ludzkie pojęcie - mamrotał Leon, przedzierając się przez atakujące go pudła i torby. - Jak można tak żyć?

Otaczały ich sterty gazet, chwiejne kolumny plastikowych opakowań po margarynie i zastępy mebli ustawionych jedno na drugim. Każdy skrawek przestrzeni został zagospodarowany, sprawiając wrażenie pokrętej logiki, porządkującej pozorny chaos.

- Tu jest potrzebny kontener na wielkie gabaryty - ocenił, zniekształcając głoski przez zatkany nos. - Albo paczka zapalek.

- Jesteś tam? - Kinga wciąż próbowała ustalić położenie Łucji. - Gdzie jest najbliższy śmietnik?

- Chyba wysypisko - mruknął Leon.

- Od czegoś trzeba zacząć. Na przykład od makulatury.

- Nie tak szybko. - Starsza pani nagle wyłoniła się z mroków swojego królestwa. Jej usta zrobiły się wąskie, a głos przenikał chłód stanowczości.

- Te gazety mają ze sto lat - zauważył Leon.

- Właśnie - zgodziła się. - Są cenne. To całe roczniki.

- Myślę, że mocno się zdezaktualizowały. - Kinga ujęła w dwa palce zakurzone wydanie „Młodego technika”.

- Mają wartość kolekcjonerską!

- W takim razie spróbujmy je wystawić na sprzedaż.

- Niby jak?

- Przez Internet. Weronika zarobiła w ten sposób całkiem niezłe pieniądze.

- Mnie tam pieniądze niepotrzebne. - Wzruszyła ramionami Łucja. - Lepiej to zostawić, z czasem stanie się bardziej cenne. Będzie dla potomności.

- Ale to na pewno nie znajdzie kupca. - Leon niechcący rozsypał brzęczące nakrętki od słoików. - Do wora z tym.

- To są doskonałe nakrętki! Niewypaczone, wytrzymałe, teraz już takich nie robią. Do weków jak znalazł!

- Przecież nie masz do nich słoików.

- Są w piwnicy - odparła Łucja z miną „to oczywiste”.

- Jest jeszcze piwnica? - Kinga zbladła.

- Ale na to nie będziesz mieć argumentu. - Triumfalnie postukał w przeżarte przez korniki pudło stojącego zegara.

- Antyk.

- A to? - Kinga podniosła pogryziony przez mole płaszcz z kołnierzem z wypłowiałego futra.

- Jesionka z lisa. Retro! Kto jak kto, ale ty powinnaś to docenić. Może kiedyś ci ją podaruję.

Pertraktacje przerwał rumor w bliżej nieokreślonej części mieszkania.

- Jasna cholera! - wyłoniła się nagle Weronika. - Coś się zawaliło. Uciekajmy stąd, zanim damy się pogrzebać żywcem.

- Łucjo, musimy pozbyć się tych rzeczy - powiedziała Kinga. - One nie nadają się do użytku.

- Nadają się, tylko tu jest za mało miejsca.
- Prosiłaś, byśmy ci pomogli. - Weronika objęła się ramionami, próbując niczego nie dotykać. - Więc nam pozwól. O ile uda nam się wyjść stąd cało.
- Poczekajcie! - Łucja błagalnie zasłoniła sobą stertę kartonów.
- A na co? Trzeba się brać do roboty, zanim sąsiedzi zrobią aferę. - Leon podwinął rękawy koszuli, ale ręce bezradnie oparł na biodrach.
- Pospieszyłam się. Najpierw sama przejrzę, co będzie mi jeszcze potrzebne.
- Jak znam życie, to wszystko - mruknęła Weronika.
- Tutaj są same dobre rzeczy. Grzech to wszystko wyrzucać.
- W takim razie możemy to rozdać potrzebującym - odpowiedziała Kinga.
- Oddać za darmo? - Mięśnie na twarzy Łucji znów się napięły. - To są pamiątki, mają wartość sentymentalną. Tyle tu wspomnień...
- Te wspomnienia są toksyczne. Cuchną - skonstatowała Weronika.
- Pora rozstać się z przeszłością - zawyrokował Leon, niepewnie obmacując warstwę pudeł i testując wątpliwą stabilność wielopoziomowej konstrukcji.
- Nie. - Wątle ciało Łucji wdarło się między ścianę przedmiotów a wystający brzuch Leona. - Przyjdziemy tu kiedy indziej.
Wyglądała żałośnie, mała i krucha, ze wszystkich stron ściśnięta przez napierające na nią wyrzuczenia.
- Łucja ma rację - odezwała się Kinga. - Zawsze możemy tu wrócić.
Leon i Weronika popatrzyli na nią jak na zdrajczynię.
- Ja się tu więcej nie wybieram - orzekła Weronika.
- To jest śmierdząca sprawa - Leon podniósł głos, a cuchnące składowisko zdawało się wtórować mu jak chór z greckiej tragedii. - Lepiej to załatwić, zanim będą z tego kłopoty.
- To duża operacja, do której musimy się przygotować, a za nami intensywny tydzień. Zasłużyliśmy na chwilę wytchnienia. Niedaleko stąd widziałam apetyczną cukiernię. Zabiłabym za sernik i herbatę z cytryną. - Kinga podeszła do Łucji, podała jej ramię i poprowadziła w kierunku drzwi.
- To ja tu zamknę - zaproponował w końcu Leon.
- A ja muszę się przewietrzyć - powiedziała Weronika.
- To są dobre rzeczy - powtórzyła Łucja, ściskając ramię Kingi, kiedy schodziły po schodach. - Bardzo dobre rzeczy.

Weronika

Kiedy następnego dnia uzbrojeni w worki i rękawice wrócili uporządkować mieszkanie, cały kraj huczał od wieści o niespodziewanej śmierci znanego miliardera. Jeszcze niedawno był bohaterem bulwarówek, które analizowały jego fryzury i zmieniające się kobiety. Teraz czarno-białe okładki ze zdjęciem denata krzyczały sumą pozostawionego przez niego majątku i pytaniami o sens „tego wszystkiego”.

W przypadku Łucji sytuacja wyglądała inaczej: właścicielka wciąż żyła, to jej

dorobek przypominał cementarz. Leon rozpostarł foliowy worek w kolorze żałoby i rozpoczął gruntowne usuwanie, a Weronika rozmyślała o przewrotnej naprzemienności kumulacji i rozpadu.

- Nie wiem, czy powinniśmy to robić - jej głos zniekształcała papierowa maseczka chroniąca nos i usta.

- Przestań marudzić i bierz się do roboty. Możemy posprzątać sami, jeśli ty się brzydzisz. - Leon świecąc przykładem, zgarnął szpaler metalowych puszek prosto w gardziel worka. Żyłka handlowca kazała mu przeliczyć ich wartość w skupie złomu.

- Starsi ludzie mają swoje przyzwyczajenia - Weronika nie dawała się przekonać.

- Tak radykalna zmiana może być dla Łucji szokiem. A jeśli nie otrząśnie się z niego?

- Nie możemy przecież tego tak zostawić. - Kinga wskazała usypiska przedmiotów zasłaniające niemal całą wysokość okien. - A Łucja i tak się stąd wyniosła. Czego oczy nie widzą...

- Déjà vu - mruknęła Weronika.

- Mówisz o tym? - Leon podniósł wyglądające na mocno zużyte rajstopy.

- Rozstanie ze wszystkim, co się ma. Już to przerabiałam.

- Jeśli twój dorobek też tak wyglądał, wyszło ci to tylko na dobre.

- Co za różnica? - Wzruszyła ramionami Kinga. - To tylko rzeczy.

Dalej pracowali w milczeniu. Zgarniali, zgniatali, sortowali. W dwójkę lub trójkę przenosili ciężary, podziwiając determinację Łucji, która sama przyciągnęła je na drugie piętro. Gdyby nie zapach zapomnianych kuchennych zapasów, byłoby to doświadczenie niemal oczyszczające. Napełniali worki i z ulgą wdychając świeże powietrze, schodzili do osiedlowego śmietnika, odprowadzani przez ciekawskie spojrzenia sąsiadów. Po kilku kursach z otwartymi ramionami powitał ich miejscowy komitet ekologiczny, złożony ze zbieraczy puszek, szkła, makulatury i wszelkich Rzeczy. Gromadzony latami nieszczęsny majątek Łucji w kilka minut został rozebrany na części i z powrotem wchłonięty w krwiobieg miasta.

Kiedy wynieśli wszystko, co nie nadawało się do użytku, przyszła pora na czyszczenie. Wymiatali, szorowali, rwali i wietrzyli. Musieli spisać na straty kilka szafek, wypaczonych od ciężaru nagromadzonych w nich przedmiotów. Podobny los spotkał przetartą wykładzinę i spłowiałe zasłony. Kiedy wreszcie usiedli na pustej i w miarę czystej podłodze, choć mieszkaniu wciąż daleko było do sterylności, z dumą podziwiali swoje dzieło.

- Perfekcyjna pani domu padłaby z wrażenia - powiedziała Kinga, masując sobie nadgarstki.

- Niech się schowa - sapnął Leon, rozłożony na plecach.

Weronika nie dzieliła ich entuzjazmu. Oparła brodę o dłoń i wodziła wzrokiem po gołych ścianach.

- Nie martw się, jeszcze się tu chlapnie farbą - pocieszył ją Leon.

- Straciła wszystko. Będzie załamana - słowa Weroniki odbijały się echem po opustoszałym wnętrzu.

- Nieprawda. Popatrz tylko. Ile tu miejsca!

Kinga wstała, podeszła do okna i rozchyliła odarte ze starych, brudnych firanek

szyby. Na podłodze usiadła wesoła smuga światła.

Kiedy następnego dnia prowadzili Łucję po schodach wiodących do jej mieszkania, Weronikę bolał brzuch. Spodziewała się najgorszego, dlatego tym razem to ona chwyciła staruszkę za rękę, a Leonowi kazała iść z tyłu, by ubezpieczał je w razie omdlenia. Choć Łucja przyjęła wiadomość o przeprowadzonych porządkach ze spokojem, sytuacja w każdej chwili mogła niebezpiecznie wymknąć się spod kontroli. Wiedziała, że reakcją na szok u starszych ludzi mogły być zawał, udar albo histeria. Dlatego drzwi mieszkania na Spornej otwierała powoli, jakby blask czystego wnętrza mógł ich wszystkich oślepić. Wymieniony przez Leona zamek gładko ustąpił. Stanęli w progu i patrzyli to na pusty, odmalowany na biało przedpokój, to na Łucję, w napięciu oczekując reakcji.

Nic.

Weszli do środka i powoli obeszlili całe mieszkanie. Odgłos kroków niósł się po ogołoconym parkiecie. Nadal nic. Weronika ze ściśniętym sercem patrzyła, jak Łucja porusza się ostrożnie i oszczędnie, robiąc tylko kilka kroków w głąb każdego pomieszczenia. Tak jakby знаła tu każdy kąt i nie miała potrzeby dokładnej eksploracji. Lub jakby było tu obco.

- Pusto - wydusiła w końcu. - Dziwnie.

Wszelkie tłumaczenia wydały jej się nie na miejscu.

Weronika chciała ją przytulić i obiecać, że niedługo będzie tu pięknie, wszystko urządzi od nowa, kupią nowe meble i dodatki i będzie tu bardzo miło. Ale słowa uwięzły jej w gardle.

- Teraz nie mam już nic na głowie - powiedziała wreszcie Łucja. - Już o nic nie muszę się troszczyć.

Troszczyć się. Patrząc na nią, Weronika po raz pierwszy od bardzo dawna przypomniała sobie, co to słowo znaczy. Zaskoczyło ją to, że nie chciała już przed tym uciekać.

Łucja

Od kilku dni nie wstawała z łóżka. Schludne odzienie zamieniła na nocną koszulę, a ulubioną kuchnię na pościel w różyczki. Wszyscy byli pewni, że niedługo umrze. Bo na logikę powinna. Ostatnie miesiące przetoczyły się przez jej życie jak pasmo egipskich plag, siejąc spustoszenie i pozbawiając ją wszystkiego, co miała. Zrezygnowała z pracy, zerwała kontakt z rodziną, zrzekła się własnego mieszkania, a teraz jeszcze odebrano jej cały dobytek.

W takich warunkach starsi ludzie odchodzą od zmysłów. Gwałtowne zmiany są dla nich zbyt wielkim szokiem. Starych drzew się nie przesadza, mówią. I tak właśnie czuła się Łucja - jakby wyrwano ją z korzeniami i zawieszono gdzieś w próżni. Niczym niezwiązana, nieprzytwierdzona, nieznośnie lekka. Jeszcze nie w zaświatach, ale już po rozstaniu z dotychczasowym życiem.

Jej letarg przyciągał pielgrzymki zaniepokojonych gości. Leon i Weronika co pół godziny uchylali drzwi, na zmianę pytając, czy czegoś jej nie trzeba, a Kinga, która

wyjechała tuż po akcji sprzątanie, przynajmniej raz dziennie dzwoniła z domu ojca. Łucję to wszystko bawiło. Do tej pory to ona zabiegała o innych. Dopiero teraz, z dystansu, ujrzała swoją śmieszność.

Całe życie czuła się jak etatowa poganiaczka wielbłądów. Poprawiała, napominała, przyglądała. Czyściła cudze mieszkania z brudu, a życiorysy z problemów, zupełnie zapominając o sobie. Chciała, by było miło i ładnie, a wszyscy syci i szczęśliwi. Tak należało. Gdzieś w głębi zawsze ją bolało, że rzadko kiedy ktoś jej dziękował. Teraz zrozumiała. Przecież nikt nigdy o nic jej nie prosił. Głupia. Kiedy Renata karciała ją za kaloryczne ciasta, a Duduś z niekrytym obrzydzeniem odstawiał za tłuste zupy, czuła w sercu klucie, a pod powiekami pieczenie. „Niewdzięczni” – szeptało coś wewnątrz niej. A oni po prostu niczego od niej nie chcieli. Sama siebie zapędziła w kozi róg troskliwości. Na własne życzenie zrobiła z siebie męczennicę. A może, jak kiedyś usłyszała od córki, w gruncie rzeczy myślała tylko o sobie. Ale jeśli tak, to dlaczego nadal tak mało o sobie wiedziała?

W każdym razie teraz nie musiała się już troszczyć o nikogo ani o nic. Nie pytając jej o zgodę, zwrócono jej wolność. Nie bardzo wiedziała, co ma z nią zrobić. Egoistka. Niech będzie. Łucja odsunęła szufladkę szafki nocnej, wyciągnęła lusterko i zapatrzyła się w siebie.

Rozdział siedemnasty

Weronika

- Mam kryzys. - Weronika opadła na fotel, chowając dłonie w kieszeni powyciąganej bluzy, odzieży raczej dla niej niecodziennej.

Półożący na kanapie Leon bezmyślnie skakał po kanałach telewizora. Dołączyła do nich Łucja, która wciąż wydawała się pozbawiona zwykłego entuzjazmu. Świadczyły o tym niezakręcone włosy i brak serwetki na stole. A faworki były już tylko odległym wspomnieniem.

- Wszyscy mamy. Od lat - odparł Leon beznamiętnie.

- Ale ja wymiękam po tygodniu pracy. Siedemnaście lat edukacji, drugie tyle praktyki, doświadczenie na kierowniczym stanowisku i dokąd mnie to zaprowadziło? Za ladę sklepu. Nie dam rady.

- Cóż. - Nawet nie próbował jej przekonać.

Weronika pytająco rozejrzała się za nalewką.

- Nie ma - odpowiedziała Łucja ze wzrokiem utkwionym w telewizorze.

Pokój wypełniało mdłe, szarawe światło, z trudem przedzierające się przez gęstą zawiesinę chmur. Od tygodni wisiała nad miastem i niektórzy mówili, że to budowlany pył przysłonił niebo jak krztuszący się wulkan, uniemożliwiając nadejście wiosny. Umęczeni Łodzianie wyczekiwali oczyszczenia atmosfery, nawet za cenę eksplozji.

- Co z wami? - zapytała Weronika, przyzwyczajona do cotygodniowych pogadanek.

Nikt jej nie odpowiedział ani się nie poruszył. Łucja i Leon w milczeniu spoglądali na ekran. Od kilku miesięcy główne wydania wiadomości żyły szturmem uchodźców na państwa środkowej i zachodniej Europy. Dramatyczne obrazy, okraszone posępnym głosem lektora, pokazywały zatłoczone łodzie i pontony, oblegane dworce i pochody uciekinierów objuczonych tobołkami i dziećmi.

- Jeszcze tych tu brakowało - warknął Leon.

- I kto to mówi.

Spojrzał na Weronikę zaskoczony.

- Jedziemy na tym samym wózku. - Skinęła głową na ekran z białymi namiotami obozu dla uchodźców.

- Niby jak? - oburzył się. - To najeżdźcy. Chodzi im tylko o pieniądze.

- To zupełnie jak nam. My też zabiegamy o lepsze życie. Dlaczego zabraniamy tego innym?

- Bo dla wszystkich nie starczy. - Z emfazą nacisnął czerwony przycisk na pilocie.

- Ja jestem u siebie. A inni niech wracają tam, skąd przyszli.

Obraz w ekranie znikł.

- Tak? To my się wynosimy. I zobaczymy, z czego będziesz żył.

Weronika wstała i demonstracyjnie ruszyła w kierunku drzwi. Leon nie spodziewał się takiego ciosu. Zamykał i otwierał usta jak przyduszona ryba.

- Poczekaj! Nie o to mi chodzi - powiedział w końcu łagodniej. - Nie o dom, o kraj.

- Kraj to dom.

- Ale po co oni chcą tu przyjechać? Przecież nas nie stać. Sami ledwie wiążemy koniec z końcem.

- Nie martw się, dla nich to tylko stacja przesiadkowa. Oni jadą dalej. Do Niemiec albo Skandynawii.

- Dosyć!

Oboje podskoczyli, kiedy o podłogę rozbiło się coś, co wcześniej musiało być karafką po nalewce.

- Zamknijcie się! - wrzasnęła starsza pani głosem, o jaki jej nie podejrzewali. - Nie mogę tego słuchać!

Głośny brzęk obwieścił rozpad kolejnego naczynia, tym razem kryształowej cukiernicy, która trafiła do lombardu ze zlikwidowanego majątku po jakiejś zamożnej zmarłej. Leon i Weronika spojrzeli na Łucję osłupiali. Przekrzykując się, nie zauważyli, kiedy wstała i chwyciła za zastawę. Jej głos dźgał powietrze jak ostre odłamki.

- Pomyśleć, że jestem tu najstarsza, a to wy cały czas zrzedzicie! Nic tylko wieczne jęczenie. Co wy wiecie o kryzysie, o biedzie! O pracy ponad siły, braku dachu nad głową, o zimnie i głodzie! Uszy więdną od tych waszych bredni. Nigdy nie odczuliście prawdziwego braku. Przestańcie pieprzyć głupoty, tylko bierzcie się do roboty. Ale już!

Po tej przemowie opuściła pokój stołowy i trzasnęła drzwiami. Roztrzaskana karafka milczała dramatycznie, a kryształki cukru przemieszane z rozprysniętym szkłem oznajmiały nieodwołalny koniec dawnej Łucji. Weronice i Leonowi nie pozostało nic innego, jak zabrać się za sprzątanie.

- Chyba nam pacjentka odzyskuje krzepę. Wysprzątaaliśmy jej norę, a ta jeszcze stroi fochy.

- Żeby Kinga to widziała - roześmiała się Weronika.

- Tamta też nie lepsza. Narobiła zamieszania i zaraz się wyprowadziła.

- Nie marudź, zostawiła ci kaucję.

- Chociaż tyle. W galerii też wycięła numer, musiałaś ją zastąpić, choć sama przyszła na miejsce koleżanki. Ci młodzi, niczego nie potrafią doprowadzić do końca.

Weronika chciała zaprotestować, ale zastygła z szufelką w dłoni.

- Gdzie program telewizyjny? - zapytała.

- Na dziś mam już dość uchodźców.

- *Wybieg.*

- Słucham?

- Program Kingi. Kiedy pierwszy odcinek?

Leon

Tego dnia klientów było jak na lekarstwo. Widać zmarnowani przednówkiem ludzie nie wyściubiali nosów na zewnątrz. Pojawiło się tylko kilku przedpołudniowych menelików w pilnej potrzebie sfinansowania klina, a potem cisza. Może to i dobrze. Ostatnio ludzie działali Leonowi na nerwy, chętnie więc przystał na dzień, gdy dla odmiany mógł skupić się na przedmiotach. Nie pochłaniały tyle bezsensownej energii. Dlatego kiedy tuż przed zmrokiem skrzyknęły drzwi, zaklął pod nosem. Podniósł wzrok, by sprawdzić, kto ośmielił się zakłócić jego spokój.

- Tak? - warknął, chcąc jak najszybciej przejść do konkretów.

Nie miał nastroju do uprzejmości i cackania się ze speszoną klientką. Tamta jednak nie odpowiedziała, rozglądała się tylko dookoła. Przygarbiona i zawstydzona, wyraźnie chciała pozostać niewidoczną. Wszystko było w niej średnie: wzrost, wiek, waga, uroda, jakoś wyblakłej od wielokrotnego prania odzieży. Emanowała z niej jakaś rozedrgana płochliwość, która jak samospełniająca się przepowiednia sprowadzała na nią irytację i zniecierpliwienie otoczenia. Choć powinno się takiej żałować, w jakiś niewytłumaczalny sposób wprawiała człowieka w rozdrażnienie. Chciało się nią potrząsnąć, ponaglić, krzyknąć: ogarnij się! To się po prostu czuło. Wydzielala zapach ofiary.

- W czym mogę pomóc? Zaraz zamykam.

- Przyszłam, bo... - kobieta urwała w pół zdania i nadal nieprzytomnie wodziła wzrokiem po lombardzie.

Leon pomyślał, że może być pijana, co jeszcze bardziej go zdenerwowało.

- Potrzebuje pani pieniędzy? - ponaglił. - To proszę pokazać, co pani przyniosła. Zaraz zamykam.

- Nie o to chodzi. Szukam czegoś. Chcę kupić.

„No i się zacznie” - pomyślał.

- Konkrety. Bo nie mam czasu.

- Nie mogę znaleźć.

- Ale czego?

- Czegoś, co tu kiedyś było.

- Na litość boską! - wyrwało się Leonowi głośniejszym, niż zamierzał.

Kobieta drgnęła i zrobiła krok do tyłu, jakby chciała uniknąć ciosu. Poczuli się podle, bo drażniła go coraz bardziej i nie mógł nic na to poradzić. Może to dlatego, że choć nie najbrzydsza, to pozwoliła dokonać na sobie takich zniszczeń? Miała niekompletne zęby, siwe włosy i pomarszczoną skórę, a przecież mogła być co najwyżej w jego wieku.

- Pamięta mnie pan? - zapytała cicho.

- Nie. Przychodzi tu mnóstwo ludzi. - Starał się nad sobą panować.

- Zastawiłam u pana rodzinną pamiątkę. Chciałabym odkupić.

To się nie zdarzało. Sporadycznie bywało, że członkowie rodziny przychodzili po coś, co w tajemnicy zastawił nieznośny małżonek lub rodzic, próbując wymóc na Leonie zwrot po cenie skupu, na co oczywiście nigdy się nie godził. Ale sami winowajcy nie wracali prawie nigdy. Ludzie prędzej prosili o pożyczkę na lichwiarski procent, niż ryzykowali utratę czegoś, na czym im naprawdę zależało.

Przyjrzał się kobiecie. Zaczął nabierać pewnych podejrzeń, ale zapytał: - Kiedy to

było?

- Kilka miesięcy temu.
- I pani myśli, że po takim czasie jest czego szukać?
- Mówiłam panu, że przyjdę.
- Każdy mówi.
- Ja mówiłam prawdę.
- Cóż, lombard to ruletka. Sprawdźmy. Co to niby było?

Kobieta położyła na ladzie zdjęcie. Przedstawiało ciemnowłosą dziewczynkę, na oko w wieku szkolnym. Poniżej jej twarzy zakreślono coś czerwonym długopisem. Leon spojrział i nic nie odpowiedział. Wyszedł na zaplecze, a stamtąd do magazynku, który ochotniczo porządkowała Weronika.

- Ktoś do ciebie.

Damian

Rodzice powinni kochać swoje dzieci albo ich nie robić. A jeśli nie mogą się zmusić do miłości, powinni chociaż przy nich być. Na całe życie. To ich psi obowiązek. Nawet matka, duża już przecież dziewczynka, bez babci odchodziła od zmysłów. Trzaskała drzwiami, z byle powodu wpadała w histerię i co chwila coś upuszczała. Wykonywała niezdarne i nerwowe ruchy, jak za mocno przyciskany długopis rozrywający kartkę. Mamrotała do siebie mściwe słowa, miotając obietnice tego, co zrobi babci, kiedy tamta się znajdzie. Była wściekła. A Damian był wściekły na swojego ojca.

Oto brakujący element ich rodzinnej układanki - nawet trzymając się z daleka, potrafił wszystko spieprzyć. Od zawsze nieobecny, nie pozwalał o sobie zapomnieć. Jak dziura w dnie, brakujące koło roweru, bez którego nie da się ruszyć z miejsca. Radzili sobie bez niego, udając, że wszystko jest w porządku. Ale nigdy nie było. Odszedł, nie oglądając się za siebie. Zostawił młodą dziewczynę z dzieckiem i nie zapytał, jak będą dalej żyć. Nawet przez chwilę nie spróbował być częścią ich życia, nie interesowali go. Jeśli tak postępuje mężczyzna, to Damian mógł się zrzec tego wątpliwego miana.

Kiedyś jednak przychodzi czas zapłaty. Po dawno zapomnianych uniesieniach trzeba spłacić zaciągnięty dług, bo ten trwa znacznie dłużej od nich. Prędzej czy później każdego czeka rozliczenie. A tym akurat Damian zajmował się zawodowo. Ojciec się nie wywinie. Syn miał go na widelcu. Po kolei wbił w niego wszystkie ząbki i ostatni raz przyglądał się mu przed połknięciem. Obracał go i obwąchiwał, wyobrażając sobie smak satysfakcji.

Wszystko przebiegało według planu i zgodnie z odwiecznym porządkiem dobra i zła. Wreszcie sprawiedliwości miało stać się zadość, i to za życia wszystkich zainteresowanych. Czyli przede wszystkim jego samego. Tym razem chodziło o coś więcej niż pieniądze. Stawką było wyrównanie rachunków. I pokuta. Żeby nie wyjść z wprawy, poćwiczył na wdowie po Młynarczyku.

- To szantaż - płakała w słuchawkę.

- Nie. To konsekwencje - odpowiedział.

Ojciec też musiał je ponieść. Spłodził go, zniknął i liczył, że wszystko pójdzie w niepamięć. Ale czas nie leczy ran. Czas nalicza odsetki.

- Wiesz co? - Wdowa znów zadrżała w słuchawce. - Gdybym miała być takim płatnym ścierwojadem, to wolałabym już być bezrobotna. Możesz w nocy spać?

Gdyby rozmowa nie była nagrywana, odparłby, że nic tak dobrze nie robi na sen, jak poczucie dobrze spełnionego obowiązku.

- Przykro mi z powodu pani sytuacji.

- Przecież mąż wam płacił, dopóki mógł. To się nie liczy?

Brak wyobraźni. Brak kręgosłupa. Brak odpowiedzialności.

- Z umowy wynika co innego - odparł. - Dlatego musimy ją wypowiedzieć.

- Komornik ma więcej serca niż wy.

- Być może wkrótce go pani pozna.

Bez wątpienia był w formie. Nadchodził czas konfrontacji.

Rozdział osiemnasty

Weronika

- Jak mogłaś go sprzedać?
- Wróciłam po niego.
- I już go nie było!
- Trafił do ciebie. Tak miało być.
- To przypadek.
- Czasami trudno w to uwierzyć, prawda?

Weronika opierała się dłońmi o ladę, jakby chciała bronić swojego terytorium. Po drugiej stronie stała jej matka. Leon zostawił je same, oznajmiając, że na dziś skończył. Wanda postarzała się o wiele bardziej, choć dziś przed lustrem dołożyła pewnych starań. Wypastowała buty ze sztucznej skóry, pod szyją zawiązała apaszkę, a na usta nałożyła szminkę. Na jej policzkach widniały nawet ślady różu. Czy wiedziała, że się spotkają?

- To jedyna cenna rzecz, jaka mi została z dzieciństwa - wyrzucała Weronika.
- Teraz wróciła na miejsce.

Weronika złączyła dłonie na karku, odpięła zapięcie i przesunęła łańcuszek po ladzie w stronę matki. Kiedy ta wyciągnęła rękę, szybko cofnęła swoją i ukryła w bezpiecznej przystani kieszeni.

- Możesz go sobie zabrać. Nie zależy mi na nim.

Wanda delikatnie pogładziła niepełną koniczynkę. Ten ruch wprowadził Weronikę w gniew.

- Dlaczego po śmierci ojca nie próbowałaś mnie odnaleźć?
- Uznałam, że byś sobie tego nie życzyła.
- Miałam prawo wiedzieć.

- Byłam w szoku. Dostałam nakaz eksmisji. Mieszkanie było komunalne, zapisane na niego. Nie mieliśmy ślubu, za to sporo długów. Dopiero teraz zaczęłam wychodzić na prostą. Pracuję. - Jej oblicze stało się ciut jaśniejsze.

- Gratuluję.
- To nic wielkiego. Pilnuję dzieci.

Weronika chciała uderzyć ją w twarz.

- Ty i dzieci? A jakie ty masz kwalifikacje?! - wybuchnęła gorzkim śmiechem.

Wanda przyjmowała wyrzuty cierpliwie, jak ktoś, kto nie tylko się ich spodziewał, ale uznał za w pełni zasłużone.

- Po raz pierwszy w życiu mam swoje pieniądze. Czuję, że coś umiem, że coś ode mnie zależy, że mogę coś zrobić ze swoim życiem. Kiedyś nie mogłaś na mnie liczyć, ale chcę, byś wiedziała, że dojrzałam.

- Po co tu przyszłaś? Mam ci się rzucić na szyję? I żyć z tobą długo i szczęśliwie?

- Matka zamilkła, jak dawniej, kiedy czekała, aż mała wzburzona Weronika się uspokoi. Nie wiedziała, że działało to na nią jak płachta na byka.

- Nie - powiedziała w końcu. - Przyszłam cię od siebie uwolnić.

Łańcuszek wciąż leżał na ladzie, kiedy dzwonek nad drzwiami obwieścił ich zamknięcie. Wtedy ciałem Weroniki wstrząsnął szloch.

Kinga

Nie wzięła pod uwagę jednej rzeczy: że wróci do innego domu. A może to ona się zmieniła? Przecież dawniej tęskniła. Za każdym razem wyjeżdżała stąd z poczuciem, że to tutaj jest jej miejsce. Jej ziemia, rodzina, wspomnienia. Ale kiedy wróciła, już tu nie pasowała. Choć minęło zaledwie kilka miesięcy, jej dawny pokój dziwnie się skurczył, a miasteczko zbrzydło jeszcze bardziej. Doskwierał jej brak ulubionych sklepów i to, że wieczorami wszystko zamykało się na cztery spusty. I jakby ubyło znajomych. Mijali ją ludzie widma, echa tych, których kiedyś znała. Tu kuzyn kogoś, tam czyjaś ciotka. Reszta wyjechała.

Kiedy po dniach wypełnionych gotowaniem dietetycznych potraw, wizytami w aptece, odmierzaniem leków i pielęgnowaniem ojca kładła się do łóżka, patrzyła na sufit swojego pokoju i czuła się obco. Pstrykała klawiszami starego magnetofonu, stojącego na szafce nocnej, i cicho odtwarzała ulubioną kasetę, raz po raz przewijając do tyłu. Dobrze znana melodia zniekształciła się od zbyt częstego słuchania, nie przypominając już niczego.

Znów mieszkała z ojcem, spała w panińskim pokoju, nie miała własnych pieniędzy. Marzenia odłożyła na „może pewnego dnia”. Tłumaczyła sobie, że wybrała najrozsądniejsze wyjście, ale coś w niej krzyczało. Poruszanie się starymi ścieżkami przypominało próbę wciśnięcia się w dziecięcy sweterek, za mały i drapiący. Kinga po prostu z tego wyrosła. Wyrzuciła ścienny kalendarz z kotami. Próbowwała nie myśleć o dacie nagrania pierwszego odcinka programu. Bo zdecydowała się nie jechać. Nie, nie stchórzyła. Przeciwnie, gdzieś w głębi musiała chyba czuć, że ma szansę, skoro wołała nie kusić losu. Bo co by zrobiła, gdyby jej się udało?

Wysłała do Warszawy projekty na pierwsze nagranie, ale zdecydowała, że na tym koniec. Dokonała wyboru między ojcem a pracą przy pozostałych odcinkach. Oszukiwanie marzenia nie przychodziło jej łatwo. Coś szalało w niej z niepokoju i zniecierpliwienia, jak więzień skreślający dni wryte na ścianie celi. Kiedy do nagrania na żywo zostało już tylko kilka dni, pewnego popołudnia usłyszała dzwonek do drzwi.

- Co wy tu robicie?

W drzwiach stały Łucja i Weronika. Kinga skrzyżowała ręce na piersi, usiłując przesłonić powyciąganą koszulkę, do której wbrew własnym zasadom włożyła legginsy. Tu, w miasteczku, znaczenie stroju „po domu” miało inny wymiar niż w mieście. Dlatego niezapowiedziane wizyty zawsze niosły ze sobą ryzyko kompromitacji.

- Zabieramy cię stąd. Pakuj swoje rzeczy.

- Poczekaj, wypada się chociaż przywitać. - Łucja ciekawie zaglądała ponad głowę Kingi.

- Wejdźcie.

Nie okazała entuzjazmu, a przecieź poczuła ulgę. Zamknęła za nimi drzwi i zaprowadziła je do dużej i jasnej kuchni. Zawsze ją lubiła, szczególnie po gotowaniu w ciemnej kiszce w kamienicy ciotki, ale na myśl o apartamencie Weroniki boazeria i przebrzmiały łuczek nad wejściem wprawiły ją w zawstydzenie.

- Miło tu. - Weronika jakby czytała w jej myślach.

- Aż się prosi, by napić się herbatki - zgodziła się Łucja.

- Oczywiście, przepraszam. - Kinga odwróciła się w stronę kredensu. - Czarna czy zielona?

- Zielona.

- Dla mnie też. Tylko sprawnie, bo zaraz jedziemy - powiedziała Weronika.

- Nie mogę. Przecieź wiecie - Kinga ściszyła głos.

- Jest sprawa do załatwienia.

- Coś z pracą? Mówiłam, żebyś uważała na Sylwię.

- W pracy w porządku, nawet bardziej, niż przypuszczałam. Podobno mam gust i naturalny talent. Chodzi o ciebie.

- Ale najpierw: niespodzianka. Przywiozłyśmy ci prezent. - Łucja nie mogła się doczekać i spojrzała na Weronikę, a ta podała Kingie papierową torbę ze znanym jej logo.

- Nie rozumiem. Co to jest?

- Sprawdź.

W środku mignęła krwista czerwień śliskiej tkaniny. Kinga tylko raz w życiu widziała ten odcień. Nie dał się pomylić z żadnym innym.

- Skąd wiedziałyście... - zabrakło jej słów.

- Pomyślałam, że będzie ci w tym ładnie na pokazie. Projektantka powinna zadać szyku - odparła Weronika, a potem puściła do niej oko. - Nie przejmuj się, była wyprzedaż. To od nas wszystkich.

- Kto przyszedł, Kingusiu? - W zwieńczonych łukiem drzwiach stanął ojciec. Kinga wciąż nie mogła przywyknąć do jego wyglądu. Wesole oczy nie pasowały do siwych włosów i twarzy poranej zmarszczkami jak u kogoś, kto w krótkim czasie stracił dużo wagi. - Masz gości? - uśmiechnął się ciekawie i zapraszająco. - Kwiatkowski, miło mi.

- To Łucja i Weronika. Koleżanki są tylko przejazdem. - Kinga powstrzymywała się, by nie położyć im rąk na plecach i nie popchnąć w kierunku wyjścia.

- Kiniu, dlaczego nie zaproponowałaś herbaty?

Ojciec ruszył w kierunku czajnika, a ona wykorzystała moment na rozpaczliwą serię migowych znaków.

- Dziękujemy, ale czas nas goni - odczytała jej intencje Weronika. - Chciałyśmy na chwilę porwać Kingę do miasta. Czy nie ma pan nic przeciwko temu?

- Skądże znowu. Kingusi przyda się chwila wytchnienia. Kisi się tu ze mną, starym pierdzielem - roześmiał się, ale zamilkł, kiedy spojrzał na Łucję.

- A co z twoim nagraniem? - zapytała tamta. - To przypadkiem nie jutro?

Kinga zamarła.

- Jakie nagranie? - zapytał ojciec.

- Pójdę po moje rzeczy - szepnęła.

Zagwizdał czajnik.

- Świetnie. A my sobie porozmawiamy.

Leon

Chciał tylko jeszcze raz ją zobaczyć. W końcu wciąż była jego żoną. Poza tym czuł, że to jeszcze nie koniec, że nie załatwił i nie powiedział wszystkiego. Tym razem przyszedł sam wczesnym popołudniem i lepiej się przygotował, choć tego, co wydarzyło się potem, nie planował i zupełnie się nie spodziewał. Kiedy znalazł się w środku sklepu, pikanie kasowych skanerów znów ustawiło go na baczność, wprawiając w stan podświadomego zagrożenia. Ich dźwięk kojarzył mu się z aparaturą szpitalnej sali, gdzie dokonywano operacji na otwartym sercu. Jego sercu. Pocił się i drżał, a jego żołądek przypominał gejzer. Kto by pomyślał, że przez jakąś kobietę będzie się płonił jak sztubak. I że tą kobietą będzie Halina, którą znał na wylot. A przynajmniej tak mu się wydawało.

Wystarczył rzut oka, by potwierdzić to, co wyczuł, gdy tylko przekroczył próg supermarketu. Może to przez cząsteczki zapachu, może przez jakieś szczególne światło lub coś w powietrzu, ale od razu wiedział: była.

I on też znów tam był, znów czekał w kolejce i rzucał jej ukradkowe spojrzenia. Tym razem nie zgarnął na oślep irracjonalnych zakupów. Zrobił wiarygodną listę. Mimo to nie czuł się lepiej przygotowany. Słowa układane w myślach przed przyjściem, nagle wydały mu się ckliwe i żalosne. Wszystko, co usiłował przekazać, ubrane w język przybierało formę głupstwa i on sam też stawał się głupcem. Może gdyby Halina nie wyglądała tak pięknie i dostojnie, byłoby mu łatwiej. Ale ona najwyraźniej świetnie sobie bez niego radziła.

Jak na złość kolejka poruszała się szybko, pozbawiając Leona czasu potrzebnego do opanowania nerwów. Jeszcze ten sklep pełen gapiów. Gdyby chociaż jakaś awaria lub ciężarna, którą trzeba przepuścić. Leon czekał na coś, co go wybawi lub chociaż da mu chwilę do namysłu. I to coś nastąpiło.

Ktoś podniósł głos. Odpowiedziało kilka innych głosów. Poruszenie, tupot, szamotanina. Leon rozglądał się, próbując ustalić, co się dzieje, aż usłyszał krzyk Haliny. Wtedy wszystko przestało mieć znaczenie. Nieważne, że minęło kilka lat. Pierwotny instynkt mógłby spać i sto, a w odpowiednim momencie też by zadziałał. W tym momencie. Leon rzucił koszyk na ziemię, odepchnął stojących przed nim ludzi i rzucił się naprzód.

„Wyszedł i nie zapłacił! Kto? Przecież nie ja! To ten przede mną. Ja go nie znam. To nie mój problem. Ochrona! Policja! Szukaj wiatru w polu”.

To jej, Haliny, вина.

Leon zrozumiał, co zaszło, i poczuł narastającą furję. Znowu oni. Wszystkiemu byli winni chciwi, bezmyślni ludzie, bo dla nich nie liczył się nikt i nic poza produktami w ich koszykach. Za towary z promocyjnej gazetki potrafili wyrzec się wszelkich ludzkich odruchów. Tacy jak oni trutowali się na otwarciach marketów, wydzierali sobie ostatnie sztuki z wyprzedaży i własnym ciałem rzucali się na

przecenione meble, aby nikt ich nie ubiegł. To oni sprzedali jego i Halinę za kilka procent rabatu. Tak matki chowają małych konsumentów. Od najmłodszych lat uczą ich, jak zająć lepszą ławkę w klasie i miejsce w szkolnym autokarze, jak ściągać, samemu nikomu nie podpowiadając, jak dostać stypendium, nie mówiąc o nim innym studentom. Załatwić, załapać się, zakręcić. Łapać, chapać, drapać. Zwierzęta. To zaślepione żądzą posiadania zwierzę krzyczało na Halinę i zwierzę próbowało wyjść ze sklepu bez płacenia. A dzikie, niemyślące, niebezpieczne zwierzęta należy poskromić.

Leon w sekundę znalazł się przy drzwiach.

- Nikt stąd nie wyjdzie - powiedział.

Z rozkoszą dał w ryj ochroniarzowi, który do niego doskoczył. Należało to zrobić przy pierwszej wizycie, w imieniu Weroniki. Zatarasował drzwi blokadą z wózków i koszyków, zastraszając wszystkich obecnych wibrującym rykiem. Chciał nimi potrząsnąć, by przejrżeli na oczy. Chciał złapać oszusta i obronić Halinę. Ale przede wszystkim chciał krzyczeć. Tłamszona latami męskość wreszcie dorwała się do głosu. Właśnie tu, w mekce konsumpcji, w przybytku kapitalistycznego wroga, który w białych rękawiczkach pozbawił go wszystkiego. Ale teraz Leon był w środku i rozpierdalał system. Na taki moment czeka się całe życie.

Zgasił światło, by zmylić nadchodzących z zewnątrz. W bunkrze bez okien automatycznie zapanował półmrok. Klienci sklepu zamarli na swoich pozycjach. Tylko ochroniarz udawał, że próbuje przejąć inicjatywę, niezbyt się zresztą do tego przykładając. Na wszelki wypadek Leon spacyfikował go kopniakiem. W całym sklepie panowała cisza, nie licząc szumu chłodziarek i klimatyzatorów.

- Obudźcie się! - zagrmiał Leon. - Okradacie siebie nawzajem!

Wśród metalowych regałów jego głos rozniósł się jak po stadionie Widzewa.

- To nie my! - wyrwało się młodej blondynce z symptomami nadużycia solarium. - Złodziej dawno uciekł.

- Milczeć! - huknął. - To się dopiero okaże. A swoją drogą, wszyscy jesteście złodziejami!

Ostrzyżony na jeża dryblas w różowych adidasach rękoczynem uciszył blondynę. Leon z zadowoleniem zauważył, że wszyscy w napięciu czekali na kontynuację jego orędzia.

- Przestaliście myśleć, bo zaślepia was chciwość! A gdzie w tym wszystkim jest drugi człowiek? - Tu Leon spojrzał na Halinę. Drugi człowiek był czerwony jak ćwikła na warzywnym. - Ta kobieta, harująca świątek piątek za marne grosze, ma zapłacić za kogoś, kto wyniósł zakupy i nie zapłacił? A was nic to nie obchodzi! Opamiętajcie się!

Halina zasłoniła czoło dłonią.

- Mnie obchodzi - stęknął ochroniarz.

- Stul pysk!

Leon wziął zamach. Jego pięść zawisła nad twarzą ochroniarza, kiedy Halina krzyknęła: - Nie! - Wybiegła zza kasy i opadła na kolana. - On jest po zawale! Nie rób mu krzywdy.

Leon chciał spytać, o co chodzi, ale dłonie Haliny obejmujące leżącego na ziemi mężczyznę same przyniosły mu odpowiedź.

- Za długo cię nie było - wyszeptała.

Nagle szalone tempo ostatnich sekund zwolniło, a w otaczającej ciszy Leon zaczął słyszeć łomot swojego serca. Pytająco omiół wzrokiem kolejkę, gdzieś w kąciku oka dostrzegając błysk ekranów telefonów komórkowych. Potem usłyszał łomotanie. Spojrzał na zablokowane drzwi. Z drugiej strony, w niemym tańcu rozpostartych rąk, napierały na nie trzy kobiece sylwetki.

Rozdział dziewiętnasty

Weronika

To Łucja zorientowała się, że Leon poszedł do supermarketu. I to ona kazała im potem pójść w następne miejsce. Ostatnio często ich zaskakiwała, co obudziło we wszystkich wątpliwości. Leon próbował ustalić szczegóły jej planu, ale trudno było mu występować jako głos rozsądku w sytuacji, kiedy opuszczali nieco zdemolowany przez niego sklep. Uparła się, by Halina poszła z nimi. Potrzebowali jej, by dowieść, że nie zamierzali nikogo skrzywdzić, oraz ostudzić zapał ochroniarza, bo ten dochodził już do siebie i mógł zacząć myśleć o zawiadomieniu policji. Leon zaprotestował, ale Halina go uciszyła i wyszła razem z nimi tylnym wyjściem, przez rampę dla dostawców.

- Zrobię to dla ciebie - powiedziała. - Ale potem będziemy kwita.

Starsza pani stwierdziła, że teraz nie mają już nic do stracenia i muszą się zdobyć na ostatni krok. Zagrać *va banque*. Zrozumieli jej słowa dopiero, kiedy stanęli przed placówką banku. Wtedy Weronika zaczęła krzyczeć, że się nie zgadza i że ona nigdzie się nie wybiera, a Łucja, od której bił zdumiewający spokój, zapytała jej, czy wobec tego woli wrócić do supermarketu albo zaczekać na patrol. Nie czekając na odpowiedź, ruszyła w kierunku wejścia do biurowca.

Po budynku poruszała się jak po swoim. Uśmiechnęła się do dziewczyny w recepcji, a ta odpowiedziała uśmiechem i naciśnięciem przycisku zwalniającego metalowe bramki. Przeszli całą piątką. Recepcjonistka odprowadziła ich do wind, przyłożyła kartę do czytnika i nacisnęła przycisk. Dopiero wtedy zasunęły się drzwi.

- Co to za ustrojstwo? Nawet nie można samemu wjechać windą? - zdziwił się Leon.

- Ten budynek nie jest przystosowany do człowieka - wyjaśniła Weronika. - To człowiek musi być przystosowany do budynku.

- No to jesteśmy niewłaściwie ubrani - Kinga po raz pierwszy od przekroczenia progu supermarketu wydusiła z siebie jakieś słowa.

Spojrzeli na siebie w lustrze windy. Halina miała na sobie pomarańczowy polar z plaketką z imieniem opatrzonym logo sklepu. Szybko ją odpięła i schowała do kieszeni. Kurtka Leona, naderwana w starciu z ochroniarzem, sypała z rękawa białym pierzem. Weronika próbowała przyglądać rozwiane włosy. Podejrzewała, kogo mogą spotkać. Najlepiej wyglądała Łucja. Odzyskiwała formę i nawet na okoliczność napadu prezentowała naszyjnik z pereł i niezachwiany splot utwardzonych lakierem loków. Kiedy drzwi windy rozsunęły się na boki, pewnym krokiem ruszyła przed siebie.

Przejscia do biur banku strzegła młoda recepcjonistka.

- Znów recepcja? - zdziwił się Leon. - Przecież jedną minęliśmy na dole.

- Każde piętro ma osobną - wyjaśniła Łucja, a potem zwróciła się do dziewczyny.

- Do pana Małka. Proszę zapowiedzieć jego babcię. Z pewnością mnie oczekuje.

- On jest twoim wnukiem?! - zapytała Weronika. - Dlaczego nic nie powiedziałaś?

- Kiedyś ci to wyjaśnię.

Szli długim korytarzem. Łucja nałożyła okulary i studiowała tabliczki z nazwiskiem, wiszące z prawej strony każdych drzwi. Kiedy trafiła na tę właściwą, bez pukania szarpnęła za klamkę.

- Nie mogę uwierzyć, że nadal siedzisz w tym gównie - przywitała się.

Za biurkiem siedział wilczek z banku, z którym Weronika nie zdążyła spotkać się na osobności. Wcześniej nie doceniła, jaki z niego przystojniak. Chciała zapaść się pod ziemię, ale on wcale na nią nie patrzył.

- Babcia? - zapytał, zdejmując okulary. - Co ty tu robisz? I co on tu robi? -

Spojrzał na Leona, który rozglądał się pytająco.

- My się przecież nie znamy - odparł zdziwiony Leon.

- To mój wnuk. I twój syn - Łucja wyjaśniła ich wątpliwości.

- To ty - powiedziała oschle Kinga, czym wzbudziła w Weronice mnóstwo niewypowiedzianych pytań.

- I jeszcze ty - Damian zwrócił się wreszcie do Weroniki.

Poczuła dreszcze.

Leon zbladł i oparł się o ścianę. Odwrócił twarz, nie patrząc na Halinę.

- Lepiej mów, co zamierzasz z tym zrobić. - Łucja zajęła jedno z dwóch krzeseł naprzeciw wnuka siedzącego za szerokim biurkiem. Drugie wskazała Weronice.

- Babciu, co się z tobą działo?

- Nie pora na to. Zajmijmy się sprawą Weroniki.

Damian włożył palec między szyję a kołnierzyk koszuli.

- Łucjo, załatwię to sama - zaprotestowała Weronika. - Zresztą, na razie nic więcej nie da się zrobić.

- Zaszły pewne dodatkowe okoliczności. Damianek jest teraz dyrektorem. I ma więcej do powiedzenia, prawda? - Słodycz w jej tonie brzmiała jak groźba.

- Zastępcą - poprawił ją. - A to wszystko nie jest takie proste, babciu.

- Pewnie, że nie jest proste. Nikt nie wie lepiej ode mnie, ile kosztował twój awans. - Spojrzała na niego karcąco. - Pora, byś się na coś przydał.

Współlokatorzy Łucji przyglądali jej się z rosnącym zdumieniem. Nie poznawali jej.

- Niestety nie mam dobrych wieści. Nie zdążyłem przekazać ich Weronice. Bank postanowił zerwać z nią umowę. Niestety nie da się uratować mieszkania. Naprawdę niesamowicie mi przykro. Nie mogłem nic zrobić.

Damian spojrzał na nią, a ona poczuła, że traci grunt pod nogami.

- Wciąż możesz temu zapobiec.

- Dłużniczka...

- Na imię jej Weronika - syknęła Łucja.

- Weronika nie ma wystarczających dochodów, które by na to pozwalały. Już to przerabialiśmy. Mieszkanie zostanie zabezpieczone i przeznaczony pod licytację komorniczą, żeby pokryć przynajmniej część zadłużenia.

- A gdyby tak wymazać ten plan z pamięci?

- Czyjej? Mojej? To nie wystarczy. Wszystko jest w systemie.

- Z pamięci... komputera.

- Babciu, nie zdajesz sobie sprawy...

- Ta dziewczyna straciła swój dom i wszystkie swoje oszczędności, a ty zamierzasz beczynn timer się temu przyglądać?

Damian zaczął uważnie studiować płytki swoich paznokci.

- To już zamknięta sprawa - stęknął. - Nie mogę nic zrobić.

- Czyli nie masz w tym bałaganie nic do powiedzenia?

- Kredyt Weroniki przestał dostarczać prognozowany zysk. Bank też jest stratny.

- Wystarczy - przerwała Weronika. - Zostawmy to. Takie są zasady. Może tak będzie lepiej. Przynajmniej ten koszmar się skończy. - Wciąż nie czuła ziemi pod stopami. Nie umiała powiedzieć, czy leci, czy spada.

Wszyscy umilkli, kiedy za drzwiami rozległo się głośne pukanie.

- Otwierać! Policja!

Leon przejechał ręką po resztkach spoconych włosów.

- To po mnie.

Rozdział dwudziesty

Łucja

- W jaki sposób udało wam się opuścić sklep? Patrol właśnie tam jechał.

Zwalisty cień komisarza Henryka Grosika, siedzącego tyłem do okna, rzucał na Łucję przytłaczający cień. Przed przesłuchaniem zażądała mydła i grzebienia, a najlepiej dostawy świeżych rajstop. Oraz dzbanka mocnej herbaty. Dopiero potem zgodziła się zeznawać.

- Pomagaliśmy sobie. Słyszał pan kiedyś o czymś takim?

- Nie przypominam sobie.

- Kiedyś, dawno temu, ludzie tak robili.

Łucja uniosła szklankę i spojrzała na nią pod światło. Stan czystości szkła pozostawiał wiele do życzenia. Mimo to napełniła ją herbatą.

- Wyprowadziła was kasjerka? Przecież jej były mąż pobił jej konkubenta.

- Do rozwodu nigdy nie doszło. - Wzruszyła ramionami.

- Dlaczego pojechała pani do banku? Ci ludzie panią zmusili?

- Nikt nikogo pod pistoletem nie trzymał. A bank to mój pomysł.

- Jak się tam dostaliście? Samochodem? Został gdzieś porzucony?

- Pieszko. Przecież całe miasto jest rozkopane. Nie wie pan? - Łucja zgadywała, że w myślach Grosik obliczał odległość, jaką musieli pokonać. Całą dzielnicę postawiono na nogi, a ścigani spokojnie dreptali sobie między rozkopami.

- Pracownik banku to pani krewny.

- On też potrzebował pomocy. A przy okazji mógł pomóc nam.

- Sprowadzając napastników, z których jeden na pani oczach pobił ochroniarza i zabarykadował się w sklepie, naraziła pani własnego wnuka. - Komisarz próbował grać na jej instynkcie opiekuńczym. Nie wiedział, że ten etap już dawno zostawiła za sobą.

- Nie. Przedstawiłam mu jego ojca.

- Leon jest ojcem Damiana? - Grosik zastygł z długopisem w ręku.

Przez chwilę słyszeli tylko trzeszczenie dyktafonu. Łucja pokiwała głową.

- Oni to wiedzą?

- Teraz już tak.

- A pani? Od dawna pani wiedziała?

- Domyśliłam się. - Przechyliła imbryk i nalała sobie porcję świeżej herbaty.

- Ale skąd ten bank? Nie próbowaliście żądać pieniędzy. O co więc chodziło?

- O zasady.

- Jedna z zatrzymanych miała tam kredyt hipoteczny. Pani też jest klientką tego oddziału.

- Lepiej pasuje tu słowo „ofiara”.

- W tym przypadku pań też, zdaje się, nikt do niczego nie zmuszał - Grosik uśmiechnął się chytrze.

- Nie musiał. Wystarczyło pozbawić nas wyboru.

- Na co liczyliście? Pani wnuk miał sfałszować jakieś dokumenty? Wymazać obciążenia z hipoteki? Przelać jakieś środki?
- Nie wiem. Chcieliśmy tylko cofnąć czas.
- I po co!? - Komisarz pokręcił głową. - Wszystko stracone. Żona, dwa mieszkania, szanse na przyszłość i spokojną starość.
- Myli się pan. - Łucja upiła łyk herbaty. - To jeszcze nie koniec. Czas na wielki finał.

Leon

Nie mógł sobie darować, że przez niego Kinga nie pojechała do Warszawy. Zamiast na scenę trafiła do pokoju przesłuchań. Nie dostała zgody na opuszczenie posterunku, choć bardzo starali się wziąć komisarza Grosika na litość. Przdowała w tym Weronika. Teatralnie łamiącym się głosem tłumaczyła, że Kinga tak się starała, tyle przygotowań, że po prostu muszą tam być. Próbowwała ubłagać, by chociaż pozwolił jechać samej dziewczynie, ale Grosik był niewzruszony. Wieczorem łaskawie pozwolił im obejrzeć program w odbiorniku w pokoju socjalnym.

Szczyście w nieszczęściu, kreacje przeznaczone do prezentacji w pierwszym odcinku programu pojechały osobnym transportem odpowiednio wcześniej. Podczas prób telewizyjne stylistki miały dopasować rozmiary do modelek, dobrać buty i opracować odpowiedni makijaż. We wszystkim miała uczestniczyć Kinga, ale z wiadomych przyczyn nie dojechała. Przepadły bilety i zakwaterowanie w hostelu na starówce. Nie wiedziała, czy przygotowania przebiegły pomyślnie i przeżywała z tego powodu katusze.

Halinę zwolnili od razu po złożeniu przez nią zeznań. Leon nie zdążył z nią porozmawiać, ale też nie było już o czym. Zostali w piątkę, w tym Damian na własne życzenie. Widać chłopak zachował resztki honoru.

W sobotni wieczór komisariat stał pusty jak bazar w niedzielę, choć w każdej chwili mogło się to zmienić, jeśli na mieście wybuchłaby jakaś rozróba. Grosik zaprowadził ich do socjalnego, skinieniem głowy dał im sygnał, by usiedli na zużytych od ciężaru solidnych funkcjonariuszy krzesłach. Na owalnym stole stały kubki z zaschłymi resztkami płynów i przepełniona popielniczka.

- Znowu najarali - zirytował się i uchylił okno, a potem łokciem zepchnął bałagan na peryferie blatu. Ustawił się pod ścianą, zasłaniając kalendarz z zakutą w kajdanki blondynką, ujeżdżającą policyjny motocykl. Sięgnął po pilota i włączył telewizor.

Program poprzedzał blok reklam. Wątpliwe moralnie pożyczki, remedia na refluks i dziecięce środki przeciwwymiotne nieznośnie odwlekały moment rozpoczęcia show. Leon wiedział, że szczyt oglądalności przyciąga reklamodawców, ale nie mógł się oprzeć wrażeniu, że z przekroju promocyjnych spotów wyłania się przygnębiający obraz aspiracji społeczeństwa. A w ciągu najbliższych kilkadziesiąt minut obraz ten miał jeszcze bardziej sposepnąć.

Wreszcie głośny dzingiel obwieścił początek programu.

- Światło! - syknęła Weronika, a Grosik posłusznie nacisnął wyłącznik.

Półmrok rzeczywiście stanowił stosowniejszą oprawę dla półnagich kobiecych ciał, rytmicznie kołyszących się w czołówce. Nim Leon zdążył się rozmarzyć, raptowne cięcie ostudziło jego zapały i kamera skierowała się na rzęście oświetlone podwyższenie, gdzie jak na podium zasiadały cztery osoby. Burza oklasków i nienaturalne makijaże kazały mu się domyślić, że chodzi o jakieś sławy. Niestety, nie był wymarzoną odbiorcą *Wybiegu*. Kojarzył nazwiska lokalnych gangsterów i co bardziej charakterystycznych ulicznych oberwańców, ale tych tam nie.

- Co to za pajace? - Grosik podzielił jego wątpliwości.

- To guru współczesnego show-biznesu - skarciła go Weronika.

Na ekranie pojawił się mężczyzna w niebieskim garniturze, za małym o co najmniej jeden rozmiar. Prezenter przywitał widzów i oddał głos jurorom: fotografowi rozbieranych sesji, fryzjerowi gwiazd i modelce w stanie spoczynku. Po kilku żartach wspomaganych śmiechem z podkładu, kilkakrotnie przerywanych melodyjką z prezentacją logo programu, emitowaną na wypadek, gdyby widzowie zapomnieli, co oglądają, w studiu pojawiła się gromadka dziewcząt. Kinga podniosła się z krzesła i mimo chrząknięcia Grosika podeszła do ekranu, ale kamera już zdążyła odjechać w górę, pokazując oklaskującą publiczność. Po chwili niebieski prowadzący zapowiedział blok reklamowy.

- Że co? - zdziwił się Leon. - Znowu reklamy?

Ekran przyćmiła hałaśliwa parada środków na wzdęcia i nietrzymanie moczu przy wtórce kobiet śpiewających o urokach menstruacji. Jedyne Damian zdawał się śledzić reklamy z zaciekawieniem, czemu Leon przyglądał się z pewnym rozczarowaniem.

- Równie kwadrans - obwieściła Łucja, patrząc na zegarek.

Uciszyło ją nerwowe posykiwanie. Rozpoczęły się właśnie cenne, bo nieliczne minuty programu. W końcu w programowym studiu zapanował półmrok, zwiastujący rozpoczęcie pokazu mody. Rozbrzmiała pulsująca muzyka i na wybieg wkroczyła pierwsza dziewczyna.

- Jest! To moja sukienka! - krzyknęła Kinga. - O Jezu.

- Co, co? - dopytywała się Weronika.

- Coś nie tak? - dołączyła Łucja.

- Po prostu nie wierzę, że to się dzieje naprawdę.

Wysoka brunetka na ekranie rytmicznie wyrzucała przed siebie nogi. Na jej chudych biodrach tańczyły falbany z czarnych piór.

- Cudowna! - zawołała Weronika.

- Tragedia. - Nie zgodził się z nią zasiadający w jury fotograf, który jako pierwszy wydał swój werdykt. Zwrócił się do dziewczyny: - Czy ty chociaż raz włożyłaś szpilki? I zrób coś z cerą.

- Za to masz pięknie odżywione włosy - przyszedł z odsieczą fryzjer. - Jajko czy piwo?

- Wódka - jęknął zrezygnowany Leon. - Od razu zero siedem.

- Żelatyna - wydukała drżącym głosem dziewczyna.

Przez publiczność przebiegła fala oklasków i okrzyków uznania.

- Widzieliście, jacy tam wszyscy wystrojeni? - zapytała zde gustowana Łucja.

- Następna! - zawołała Weronika.

Na podświetlonym wejściu na wybieg stała kolejna dziewczyna. Oparła ręce na biodrach i zaczęła zmysłowo poruszać się w takt muzyki, jakby chciała kołysaniem złagodzić kanty chłopięcej sylwetki. Srebrna nić śliskiej tkaniny połyskiwała w świetle reflektorów, rzucając skaczące refleksy na pokrytą bladym fluidem skórę.

- Sukienka koktajlowa - szepnęła Kinga. - Siedziałam nad nią dwa miesiące. Idealna dla blondynki.

Koścista brunetka zajęła miejsce przed plutonem jurorów.

- No nieźle, nieźle - orzekła modelka o wydętych ustach. - Góra całkiem OK, ale musisz zrzucić brzuch.

- Z tyłu liceum, z przodu muzeum - poparł ją fotograf.

- Ale oczy piękne! Ta oprawa! - rozpląwał się fryzjer.

- To przecież makijaż - zauważył prowadzący w ciasnym garniturze.

- Nie wierzę. - Kręcił głową Leon, zanurzając palce w przerzedzonych włosach.

- Nie mówią nic o kreacjach - zauważył Damian.

- Gdyby Kinga tam dojechała, pewnie by ją przedstawili - oceniła Weronika. - Powinni przynajmniej pokazać logo i adres strony. Wysłałaś im?

- Nie... nie mam nic takiego.

- Na pewno wszystko powiedzą - uspokajała Łucja.

Leon nawet nie próbował zrozumieć, o co w tym wszystkim chodzi. Przede wszystkim zaś nie pojmował, kto z własnej, nieprzymuszonej woli zgadza się wystawiać swój tyłek na publiczne oględziny na oczach całego narodu. Choć dziewczyny były ładne i zgrabne, łoża czterech szyderców w każdej znajdowała jakiś feler, przyprawiając dzierlatki o łzy. Z przykrością patrzył na to widowisko. A już najbardziej na upokarzające, wypacykowane alter ego rockmana, którego kasety piętnaście lat temu zdzierały się w jego samochodowym odtwarzaczu.

- Dziękujemy wszystkim uczestniczkom - przemówił niebieski prowadzący tuż po tym, jak obwieścił, że do następnego odcinka nie przechodzi kościsto-brzuchata brunetka. - Wszystkie miały na sobie kreacje młodych polskich projektantów, promowanych i wspieranych przez *Wybieg*. Do zobaczenia za tydzień!

Nie wiadomo, co bardziej dźwięczało w uszach, huk programowych fanfar czy cisza publiczności zgromadzonej w socjalnym.

- Nic. Ani słowa - wypalił w końcu Leon jak gwizdek nabrzmiałego wrzątkiem czajnika.

- Co za dupki! Ten show jest tylko o nich, nikim więcej. Są podstawy, by ich pozwać, prawda? - Weronika surowym tonem zwróciła się do Grosika, wciąż wstydliwie zasłaniającego kalendarz z jakże innym kanonem kobiecego piękna od tego prezentowanego w programie.

- Skurwiele - zawyrokował Damian.

- Przykro mi, kochanie. - Łucja pogładziła Kingę po ramieniu.

- Nie ma się czym przejmować. To gówno, nie program. - Leon sięgnął po leżącego na blacie pilota i wycelował go w ekran jak pistolet. - Dzisiejsza telewizja to nie to samo co kiedyś. Straciła dawną moc. Ludzie są ogłupieni nadmiarem

bezwartościowych programów. Wszyscy pchają się na ekran i nikt nie zostaje zapamiętany. Każdy chce być wyjątkowy, godny uwagi, ale w tym natłoku przechodzi bez echa.

Weronika wyjątkowo zgodziła się z przedmówcą.

- Mimo wszystko możesz na tym skorzystać - radziła. - Na pewno zaraz wrzucą ten odcinek do sieci. Zrób pod spodem komentarz, że to twoje projekty, i zostaw swoje zamiary, by każdy, kto to obejrzy, mógł się z tobą skontaktować. Załóż sobie profil na Facebooku i podlinkuj nagranie. No i koniecznie skontaktuj się z nimi w sprawie jakiejś rekompensaty. Tylko wtedy raczej nie zaproszą cię więcej do współpracy.

- I bardzo dobrze! - krzyknęła Łucja. - Niech sobie w dupę wsadzą takie propozycje. Łaskawcy!

- Nie martw się, może uda mi się jakoś przekonać Sylwię, by znów cię przyjęła na moje miejsce.

- Przestańcie! Niczego nie rozumiecie.

Wszyscy zamilkli, kiedy Kinga po raz pierwszy w historii podniosła głos.

- O co wam chodzi? Pokazali moją kolekcję w telewizji. Nie możecie się ze mną cieszyć?

- Wykorzystali cię.

- Nie. To ja wykorzystałam ich. I swoją szansę.

- Zapłacili ci chociaż? - włączył się Leon. - Skoro nikt nie wie, że to twoje projekty?

- Ja wiem - odpowiedziała Kinga. - To wystarczy.

„Wystarczy”. Leon zadumał się nad tym słowem. Nie przystawało do teraźniejszości. Wyszło z powszechnego użycia. Ludzie zdawali się zapomnieć, co ono znaczy. Może stąd brała się większość kłopotów.

- I my wiemy - niespodziewanie odezwał się Grosik. - Nie znam się na tym, ale podobało mi się. To było nawet ładne. Lepsze niż cały ten cyrk na kółkach.

Damian

Przyjechała po niego na komisariat, ale nie pozwolił jej zadać żadnych pytań. Tym razem to on zamierzał zabawić się w przesłuchanie.

- Nie rozumiem, dlaczego nawet nie chcesz z nim porozmawiać - zaatakował.

- Wyjaśniliśmy sobie wszystko dawno temu. Poza tym muszę się zająć babcią.

- Wstydzisz się? To on może bać się spojrzeć ci w oczy. Ty powinnaś dochodzić swoich praw.

Renata westchnęła.

- Wiem, że masz do mnie żal, ale to naprawdę zamknięta historia.

- Żal? Jestem, kurwa, wściekły! - nie wytrzymał. - Jaka zamknięta historia? Kiedy robisz kobiecie dzieciaka, to nigdy nie będzie zamknięta historia, czy tego chcesz, czy nie.

- Proszę cię, nie idź w to dalej. Zaufaj mi, wszystko jest w porządku - mówiła

zawstydzonym szeptem. Położyła ręce na stole i próbowała dosięgnąć jego dłoni, jakby chciała zamknąć dzielącą ich przepaść. Nie pozwolił jej.

- Co ty pieprzysz, kobieto? Wychowywałem się bez ojca, a ty spędziłaś całe życie z bękartem na karku. To nazywasz porządkiem?

- Całą odpowiedzialność za to ponoszę wyłącznie ja.

- Sama sobie zrobiłaś dziecko?

- Nie, ale tylko ja go chciałam.

Damian milczał. Wyciągnął przed siebie palec i zaczął rysować niewidzialne kółka na blacie stolika. Renata wstała, podeszła do niego i spróbowała położyć mu rękę na ramieniu, ale gwałtownie ją odepchnął. Siedział nieruchomo. Słuchał.

- To bardzo ważne, byś zrozumiał - on cię nie odrzucił, po prostu wtedy nie chciał żadnego dziecka. Ani ciebie, ani żadnego innego. I otwarcie o tym mówił. Był ze mną szczery. Zaszłam w ciążę, ale nie zamierzałam go zmuszać do tego, by cię wychowywał. To byłoby nieuczciwe.

- Ty mówisz o uczciwości? Oszukiwałaś mnie przez te wszystkie lata!

- Nie kłamałam, tylko nie powiedziałam ci całej prawdy. Czekałam na odpowiedni moment. Byłam naiwna. Powinnam przewidzieć, że sam zaczniesz go szukać.

Damian kopnął krzesło w posterunkowej poczekalni, które z hukiem uderzyło o podłogę. W drzwiach ukazał się dyżurujący funkcjonariusz. Renata dała mu znak, by ich zostawił.

- Jak myślisz, dlaczego go szukałem? Bo chciałem go poznać? Dowiedzieć się, kto mnie zrobił? Odkryć brakujący element mojej popieprzonej osobowości? Przebaczyć po latach i prowadzić do niego wnuki? Mam go w dupie, tak jak on mnie. Chcę tylko jego pieniędzy.

- Naprawdę chodziło ci tylko o to?

- Kto bezmyślnie kręci fiutem, musi płacić.

Renata westchnęła i opadła na krzesło.

- Zrobiłem wyliczenie. Zresztą zdążyłem je już szczegółowo wyłożyć. - Sięgnął do kieszeni spodni i wyjął z nich pomiętą kartkę. Rozwinął ją i zaczął czytać: - Jedzenie: razy dwadzieścia pięć lat. W końcu powinien łożyć do końca studiów, nie ma co się szczypać. Ubrania: wzrost kosztów proporcjonalny do wieku. Kurtki, sprzęt sportowy. Chociaż teraz mnie tknęło, że buty trzeba było wymieniać częściej, bo szybko rosła mi stopa. Muszę to skorygować, oczywiście na plus. Dalej: koszty związane z edukacją. Podręczniki i pomoce naukowe, posiłki w szkole, wycieczki, prywatne kursy i korepetycje. W tej kategorii umieściłem też kilka komputerów, wiadomo, zużyłyby się przez lata. Kieszonkowe, prywatne wizyty lekarskie, szczepienia.

Z każdym kolejnym hasłem głos Damiana chrypl, a dłoń trzymająca listę coraz bardziej się trzęsła. Po chwili całe jego plecy drżały. Kiedy Renata wyjęła kartkę z jego ręki, na pognieciony papier spadła pojedyncza, ledwo widoczna kropla.

- Zapłacił za wszystko - powiedziała cicho Renata.

- Nie kłam.

- Płacił od samego początku, choć nigdy go o to nie prosiłam. Przygotowałam się, zanim podjęłam decyzję o dziecku. Także finansowo. Z mojej pensji wystarczało nam na życie, pomagała nam też babcia. Dlatego wszystko, co Leon wpłacał na

twoją rzecz, odkładałam.

- Przecież to nieprawda. Nigdy nam się nie przelewało.

- Ale też niczego nam nie brakowało.

- Do tej pory gnieźdzymy się razem w zapyziałym mieszkanku w wielkiej płycie. Gdzie niby wyparowały te wszystkie pieniądze?! - krzyczał. - Nie próbuj go chronić. Z tego, co wiem, był kiedyś nadziany. Dopiero teraz zszedł na psy.

- Odłożyłam wszystko na lokatę. Twoją.

- Wymyśliłaś to teraz.

- Chciałam powiedzieć ci o tym na twoją osiemnastkę. Potem czekałam, aż zwiążesz się na poważnie z jakąś dziewczyną, ale wciąż to odkładałam. Bałam się, że cię stracę. Wyprowadzisz się i zostanę sama. Nie potrafiłam się z tobą rozstać. Klasyka samotnych matek - mówiła łamiącym się głosem. Odwróciła twarz, wstydzając się łez.

Damian rzadko widział ją w tym stanie. Prawie nigdy nie okazywała przy nim słabości. Jej płacz nie wzbudził w nim żadnych uczuć.

- Ile? - zapytał.

- Czterysta tysięcy. Wystarczy na mieszkanie.

Weronika

- Na szczęście ochroniarz wycofał oskarżenie. Mimo wszystko do dupy to wszystko wyszło - orzekł komisarz Grosik. Wyraźnie próbował zdobyć się na słowa pokrzepienia, ale ich nie znajdował. Na jego obliczu nieprzespana noc mieszała się z rezygnacją i czymś w rodzaju poczucia winy.

- Trudno się z tym nie zgodzić - przyznała Weronika.

- Przynajmniej nic nam nie ciąży. Mniej powodów do zmartwień. Jesteśmy wolni, prawda, panie komisarzu? Nie ma już nic, możemy iść? - zapytała Łucja z fałszującym zaśpiewem.

Grosik skinął głową, ale wyraźnie rozważał, czy wszystko z nią w porządku, jakby areszt i przesłuchanie okazały się dla niej zbyt wielką traumą.

- Szkoda, że tak to się skończyło - powiedział.

- Przecież to jeszcze nie koniec! - zawołała Łucja. - Nie powiedzieliśmy ostatniego słowa.

Wyszli na plac przed komisariatem. Patrząc na wyblakły budynek, chciałoby się powiedzieć, że oddział komendy pamiętał lepsze czasy, ale nikt nie przypominał sobie, by kiedykolwiek było tu inaczej. Stali tak jeszcze przez chwilę, poprawiając kurtki, czapki i sznurowadła. Najwyraźniej nikt się nie spieszył.

- Co zamierzacie? - zapytał Grosik poza protokołem.

- Na początek jedziemy do mnie - zdecydował Leon, wyciągając dłoń do komisarza. - A potem się zobaczy.

- Ale ja tylko na chwilę - zastrzegła Łucja. - Wyjeżdżam. Pierwszy raz zobaczę polskie morze. W końcu jako jedyna z was jestem nadziana, mam podwójną emeryturę.

Wszyscy poza Damianem spojrzeli na nią zaskoczeni.

Kinga wskazała na swój telefon.

- Przed chwilą rozmawiałam z ojcem. Puścił famę w okolicy i podobno po programie w domu urywają się telefony z zamówieniami na moje sukienki. A za tydzień kolejny odcinek.

- Cieszę się, że zmieniłaś zdanie - powiedziała Weronika. - Ja zaczynam od zera. Biorąc pod uwagę, że wcześniej był potężny minus, to całkiem niezła perspektywa.

Na zieleniejącym od świeżych chwastów parkingu stał srebrny samochód, z którego wysiadła kobieta. Pomachała do Damiana i Łucji, a potem ledwie dostrzegalnie skinęła głową w stronę Leona. Ten zmrużył oczy i długo jej się przyglądał. Obejrzał się na Damiana, włożył ręce do kieszeni naderwanej kurtki i powoli zaczął iść w jej stronę.

- Wciąż mamy zaległe spotkanie. - Damian odwrócił się w stronę Weroniki. - Musimy omówić twoje perspektywy.

- To będzie bardzo krótka rozmowa - uśmiechnęła się.

- Niekoniecznie - powiedział. - Zadzwoń. Numer znam.

Niebo nad Łodzią jak przez większość roku zasnuwała gęsta zawiesina z chmur. Trudno było mówić o świetle dnia, ale jeśli wierzyć zegarkom, noc się skończyła. Ciemna linia dachu komendy ledwie widzialnie żarzyła się na białło. Gdzieś tam, dobrze ukryte, musiało wspinać się słońce.

Spis treści

Strona tytułowa
Rozdział pierwszy
Rozdział drugi
Rozdział trzeci
Rozdział czwarty
Rozdział piąty
Rozdział szósty
Rozdział siódmy
Rozdział ósmy
Rozdział dziewiąty
Rozdział dziesiąty
Rozdział jedenasty
Rozdział dwunasty
Rozdział trzynasty
Rozdział czternasty
Rozdział piętnasty
Rozdział szesnasty
Rozdział siedemnasty
Rozdział osiemnasty
Rozdział dziewiętnasty
Rozdział dwudziesty
Strona redakcyjna